

Rozdzierająca i rozgrzewająca duszę opowieść o dziewczynie,
która kochała tak mocno, że aż pękło jej serce.
I która raz jeszcze poświęciła swoje życie, żeby uratować ukochanego



Po Tamtej Stronie Ciebie i Mnie

Jess Rothenberg



Rothenberg Jess

Po tamtej stronie ciebie i mnie

Życie Brie jest doskonałe: wspaniała rodzina, najlepsze przyjaciółki i chłopak, o jakim marzy każda dziewczyna. Ale dzień przed swoimi szesnastymi urodzinami słyszy od Jacoba straszne słowa: „Nie kocham cię”.

Nieważne, że ma wiele innych powodów do szczęścia. Nieważne, że jej ojciec jest sławnym kardiologiem. Nic nie może zapobiec temu, co ma nastąpić: z rozpaczy Brie pęka serce - dosłownie...

Lecz jej pęknięte serce jest nadal pełne emocji: żalu za tym, co straciła, wściekłości na cały cholerny świat, tęsknoty za tymi, których kocha, bólu, kiedy patrzy z tamtej strony na to, jak jej śmierć zmieniła ich życie.

A jeśli mogłaby wrócić - na jeden dzień? Czy zdołałaby coś zmienić?

Patrick - przewodnik Brie, który jest po tamtej stronie o wiele dużej niż ona - ostrzega ją, jak wysoka jest cena takiego powrotu...

Czy można zacząć życie od nowa? Czy trzeba spojrzeć na nie z drugiej strony, by pojąć, co jest w nim dobre, a co złe? Czy można naprawić błędy, zrozumieć tych, których się kocha, i wybaczyć - im i sobie? I co trzeba poświęcić, by móc znów kochać?

A może to miłość wskazuje nam zawsze najlepszą drogę?

Miłość to fortepian zrzucony z trzeciego piętra,
a ty byłeś w nieodpowiednim miejscu i czasie.
Ani DiFranco

CZESC 1

KAWALEK NIEBA

1

Don't You (Forget About Me)

Zawsze jest ten jeden chłopak, któremu dasz się złapać. Nie tak jak bratu twojej najlepszej przyjaciółki, który łapie cię w chwyt zapaśniczy. Ani jak dzieciakowi, którego pilnujesz i który czepia się twojej nogi.

Mówię o doniosłych wydarzeniach. Odmieniających życie. O chłopaku, przez którego nie możesz jeść, nie możesz spać, nie możesz odrabiać lekcji, nie możesz przestać chichotać, nie pamiętasz nic poza jego uśmiechem. O czymś tak wielkim jak Romeo i Julia. Harry i Sally. Elizabeth Bennet i pan Darcy. Jak wszystkie twoje ulubione piosenki z lat 80., w rodzaju *Must Have Been Love*, *Take My Breath Away* czy *Eternal Flame*. Piosenki, które śpiewasz do mikrofonu ze szczotki na całe gardło z przyjaciółką w sobotni wieczór. O czymś takim, jak w pamiętniku starszej siostry, który czytasz, kiedy jest na randce z chłopakiem, i masz

* nie waż się (o mnie zapomnieć).

nadzieję, modlisz się i błagasz, żeby to samo przydarzyło się tobie. Aż w końcu się przydarza i kompletnie, totalnie wariujesz, całkowicie tracisz kontakt z rzeczywistością i wszelką pamięć o tym, jak wyglądał świat, zanim on pojawił się w twoim życiu i kompletnie je rozwalił.

Miłość jest właśnie taka: megapodstępna. Zakrada się, kiedy na sekundę odwrócisz głowę, żeby sprawdzić, jak fajnie wygląda twój tyłek w nowych džinsach. Kiedy jesteś zajęta testami sprawdzającymi albo tym, kto pocałował kogo na szesnastce twojej najlepszej kumpeli. Albo faktem, że nie dostałaś głównej roli w szkolnym musicalu (nienawidzę cię, Maggie Elliot) i musisz grać Kopciuszka, choć wszyscy wiedzą, że wiedźma to lepsza rola. Aż budzisz się któregoś ranka i dociera do ciebie prawda: że jakiś gość - gość, którego znałaś całe życie i nigdy ci się nawet nie śniło, że mógłby nadawać się na chłopaka; gość, którego nigdy nie uważałaś za szczególnie przystojnego; gość, który jest trochę przy-głupem i wiecznie nosi tę samą skejtowską koszulkę; gość, który ma obsesję na punkcie *Władcy Pierścieni* i tatuażu smoka, który robi sobie na nodze, jak skończy osiemnaście lat - nagle jest wszystkim, co cię obchodzi.

Problem w tym, że w zakochaniu nie ma absolutnie nic fajnego. O nie. Na ogół dostajesz od tego mdłości i obłędu, panikujesz i denerwujesz się, że cała historia skończy się katastrofą i zrujnuje ci życie. I - zgaduj-zgadula - właśnie tak się dzieje.

Okej, zgoda, pachnie niesamowicie. Owszem, rozpływasz się, kiedy pisze ci SMS-a na dobranoc. A także: to prawda, że jego oczy są strrrasznie niebieskie. I zgadza się, trzyma cię za rękę w drodze na geometrię, poznaje twoje dziwne, małe tajemnice i rozśmiesza cię tak bardzo, że parszkaś przy nim mountain dew, ale nie przejmujesz się tym, choć to największa żenada wszech czasów. Prawdą jest również to, że kiedy cię całuje, cały świat znika, twój mózg się wyłącza, czujesz tylko jego usta i nic innego się nie liczy.

I owszem, mówi ci, że jesteś piękna, i nagle jesteś.

Mam dla ciebie newsa: to wszystko to jedna wielka pomyłka i gigantyczny koszmar. A cała historia eksploduje ci w twarz, bo nie masz najbledszego pojęcia, w co się pakujesz. Miłość to nie zabawa. Ludzie obcinają sobie przez nią uszy. Skaczą z wieży Eiffla, wyprzedają cały majątek i wyprowadzają się na Alaskę, żeby żyć z niedźwiedziami grizzly, a potem zostają pożarci i nikt ich nie słyszy, kiedy wrzeszczą o pomoc. Właśnie tak. Zakochać się to mniej więcej to samo, co zostać pożartym żywcem przez grizzly.

Uwierzcie mi, wiem coś o tym.

Czyżbym nie wspomniała? To przydarzyło się mnie. Nie, nie zostałam żywcem pożarta przez grizzly. Mnie spotkało coś o wiele, wiele gorszego.

W wieku piętnastu lat umarłam, bo pękło mi serce. Nie mówię o żadnych miejskich mitach ani legendach. Mówię o autentycznej, prawdziwej śmierci z powodu pękniętego serca.

Nie, nie popełniłam samobójstwa. Nie,

nie podjęłam strajku głodowego. Nie złapałam zapalenia płuc, błakając się zapłakana w deszczu, w stylu *Rozważnej i romantycznej*, chociaż mam poniekąd obsesję na punkcie Kate Winslet. Nie, zrobiłam to tradycyjnie. Moje serce dosłownie pękło na pół.

Wiem. Ja też nie sądziłam, że można umrzeć na coś takiego. Ale jestem żywym (czy raczej martwym) dowodem. Nawet jeśli prawie wszyscy wiążą moją nagłą śmierć ze szmerami w sercu, które miałam od urodzenia. Choć nie miałam z nimi problemu, kiedy rosłam, i byłam całkowicie zdrowa. Nigdy nie musiałam brać leków ani zwalniać się z wuefu, było dokładnie na odwrót.

Byłam silna. Pełna energii. Lubiłam rozrabiać. W siódmej klasie zostałam nawet wybrana do szkolnej drużyny skoków do wody.

To wszystko nie miało znaczenia.

Moje serce i tak pękło.

Miałam na imię Brie. Tak, tak jak ser. To dość zabawne, bo wszyscy zawsze zakładają, że moi rodzice byli jakimiś serowymi świrusami - skoro mieli córkę Brie i syna Jacka, jak ser Monterey Jack - ale tak naprawdę mnie nazwali Aubrie, a jego Jackson.

Rok przed śmiercią wszystko układało się świetnie. Mieszkałam w najpiękniejszym miejscu na planecie Ziemia. W Północnej Kalifornii. W małym, sennym, nadmorskim miasteczku o nazwie Half Moon Bay, wciśniętym między sekwojowe lasy i skaliste wybrzeże Pacyfiku, czterdzieści pięć kilometrów na po-

ładnie od San Francisco. Plażę miałam dosłownie za domem.

Miałam też idealną rodzinę: mamę, tatę, Jacka i Sznycla (to nasz basset).

Miałam idealne przyjaciółki: Sadie Russo, Emmę Brewer i Tess Hoffman.

I miałam idealnego chłopaka: gwiazdę biegni, wiceprzewodniczącą najstarszych klas, superciacho, Jacoba Fischera.

Przed śmiercią miałam wszystko i jeszcze więcej.

Byłam szczęśliwa.

Ale wszystko zmieniło się wieczorem czwartego października 2010 roku, kiedy poczułam straszny, przeszywający ból w piersi i zemdlałam przy stole naprzeciw Jacoba.

Już się nie ocknęłam.

Tak po prostu. Bum!. *Game over*. Nie przechodzisz dalej. Nie dostajesz dwustu dolarów.

Koniec życia. Mojego życia.

Przez pierwsze dwie godziny po śmierci myślałam, że wszystkie lata biegania, nurkowania, wspinania się na drzewa i zjazdów rowerowych ze wzgórz San Francisco z niedozwoloną prędkością wreszcie zrobiły swoje. Widocznie moje serce było słabsze, niż wszyscy sądzili. Widocznie byłam bardzo, bardzo chora. Na coś, czego nie wykrył nawet mój tato (a jest kardiologiem światowej sławy).

Swój ostatni oddech wydałam w poniedziałek. Właściwie to nie najgorszy dzień na śmierć, bo od

niedzielnego wieczoru wszyscy i tak są skwaszeni. Przynajmniej nie zepsułam nikomu piątkowych ani sobotnich planów, prawda? Czy to nie miło z mojej strony?

Po dwóch dniach sąsiedzi zaczęli zostawiać na naszym ganku najprzeróżniejsze potrawy. Zapiekanki, placki z mięsem, co tylko chcecie. Ktoś zostawił nawet indyka, jak na Święto Dziękczynienia, prosto z piekarnika, z nadzieniem i całą resztą bajerów. Pewnie tak wypada, kiedy ktoś umiera: trzeba zostawiać mnóstwo żarcia na progu domu zmarłego, żeby reszta rodziny nie zapomniała jeść. Szkoda, że zapomnieli, że wszyscy jesteśmy wegetarianami. No, z wyjątkiem Sznycla (pewnie tego wieczoru miał niezłą kolację). Jack uznał, że to on odpowiada za codzienne inspekcje ganku, szczególnie że Sznycel miał zwyczaj zżerać wszystko, co leżało na jego koślawej, zaplutej drodze. Mój brat zawsze był taki miły - zawsze się poczuwał i nikt nie musiał go o to prosić. Kiedy umarłam, Jack miał ledwie osiem lat, i choć pewnie nie rozumiał, dlaczego odeszłam, był dość duży, by rozumieć, że już nie wrócę.

Och, ta jego twarz. Wielkie zielone oczy i ciemne, falujące włosy, zupełnie jak moje. Miał nawet mały do-łeczek na lewym policzku - absolutnie uroczy, kiedy dostawał ataku chichotków, co mu się często zdarzało.

Mój brat i ja byliśmy najlepszymi przyjaciółmi od pierwszej sekundy, kiedy mama i tato przywieźli go ze szpitala i usnął mi na rękach. Jest nawet takie zdjęcie na lodówce - on, owinięty w mały, niebieski ko-

cyk, w niebieskiej czapeczce, a ja w piżamie ze Scooby Doo, z włosami ściągniętymi w dwie nieporządne kitki. Tamtego dnia zostaliśmy kumplami. Towarzyszami. Byliśmy jak w tej piosence Raffiego *Apples and Bananas*. I tylko on potrafił pobić mnie w „czwórki”. Ciężko przeżyłam uroczystość żałobną w szkole, ale najtrudniej mi było patrzeć na Jacka gapiącego się w przestrzeń.

Nie płakał. Nie musiał.

Przyszła cała szkoła. Pani Brenner z jasną, chłopięcą fryzurą - moja anglistka i sąsiadka z naprzeciwka, od kiedy skończyłam sześć lat - siedziała koło mojej mamy i trzymała ją za rękę. Tato miał na sobie grafitową marynarkę i krawat, który dałam mu na czterdzieste urodziny - ten w różowe i fioletowe słonie. Twarz miał ściągniętą, zmęczoną, a sińce pod oczami zdradzały, że nie spał od wielu dni. Po lewej miał mamę i obejmował ją ramieniem. Trzymał ją mocno, jakby bał się puścić. Jakby się bał, że mama rozpadnie się na kawałki. Albo sam się rozpadnie.

Ale przede wszystkim patrzyłam na mamę; trudno było nie patrzeć. Spojrzenie miała wbite w kwiatową dekorację na drugim końcu auli. Skórę jakby popękaną - jakby smutek po moim odejściu wżarł się w jej cerę. Czułam ledwie obecny zapach jej różanych perfum, wiszący w powietrzu między nami.

Mama.

Rozejrzałam się wśród tłumu, myśląc o tym, jakie to dziwaczne siedzieć przed tyloma ludźmi. Zauważałam

wszystkie szczegóły i zastanawiałam się, dlaczego tak wielu z nich nawet nie mówiło mi cześć, kiedy żyłam. A mimo to przyszli.

Aaron Wilsey, chłopak z geografii w siódmej klasie, nigdy nie odrabiał lekcji i wiecznie rysował w zeszycie rekiny. Lexi Rhodes, która pierwszego dnia w dziewiątej klasie zaczęła malować oczy czarnym linerem. Mackenzie Carter, która parę lat temu ostro wkłęciła się w Jezusa i już jej nie przeszło. Byłam ciekawa, czy jej zdaniem jestem z nim teraz. Byłam ciekawa, czy ta myśl poprawia jej samopoczucie.

Setki uczniów, znajomych, rodziców i nauczycieli siedziały rzędami w auli Liceum Pacific Crest, w którym właśnie rozpoczęłam jedenastą klasę. I nagle sobie przypomniałam: to nie była pierwsza żałobna uroczystość, jaka odbyła się w tej auli. Tylko druga.

Pierwsza była po śmierci dziewczyny parę lat starszej ode mnie, Larkin Ramsey; zginęła w pożarze, który wybuchł, bo zostawiła w sypialni zapaloną świeczkę. Nie rozmawiałam z Larkin przynajmniej ze dwa lata przed jej śmiercią, ale nasze rodziny podwoziły się wzajemnie, kiedy byłyśmy małe, i w tamtych czasach byłyśmy całkiem dobrymi koleżankami (skakałyśmy na trampolinie w jej ogródku, ścigałyśmy się na rolkach po szkole, takie tam). Larkin miała śliczne czarne włosy i nauczyła mnie zaplatać francuski warkocz, co podniosło moją atrakcyjność w czwartej klasie o co najmniej trzydzieści dziewięć procent.

Potem, gdzieś około jej dziewiątej klasy, a mojej siódmej, pokłóciłyśmy się o jakąś bzdurę, której nawet nie pamiętam, i nasze drogi się rozeszły. Ja wkręciłam się na całego w skoki do wody, a ona w fotografię, i właściwie nie zadawała się z nikim. Kiedy wreszcie dotarłam do ogólniaka, jej twarz stała się po prostu jeszcze jedną twarzą w bardzo zatłoczonym korytarzu.

Trochę mnie to smuciło, kiedy przypominałam sobie, jak świetnie bawiłyśmy się razem w dzieciństwie. Ale prawda jest taka, że przyjaciele pojawiają się w naszym życiu i znikają jak modne dodatki - w jednym sezonie są, w następnym już ich nie ma.

Zupełnie jak dziewczyny, prawda, Jacob?

Pamiętam tamten poranek, kiedy dowiedziałam się o śmierci Larkin. Nasza trenerka zwołała drużynę na trening o szóstej rano i właśnie wynurzyłam się po skoku - niemal idealnym twisterze z trzymetrowej wieży. Zobaczyłam, że kilka koleżanek z drużyny szepcze zawzięcie koło drzwi do szatni, więc przeplłynęłam na drugi brzeg basenu i wyskoczyłam, żeby sprawdzić, co się dzieje. Czułam jeszcze adrenalinę buzującą w żyłach, kiedy ściągnęłam czepek i zaczęłam się wycierać.

- Hej, Mo, co jest? Cyklony stchórzyły przed zawodami, czy co?

Jej oczy powiedziały mi, że spudłowałam.

- Wczoraj był pożar - wyjaśniła. - Zginęła dziewczyna z jedenastej klasy.

Znieruchomiałam. Ręcznik wypadł mi z rąk.

- Kto? Kto zginął?

Położyła mi dłoń na ramieniu; reszta dziewczyn tylko na nas patrzyła.

- To chyba twoja dawna przyjaciółka. Larkin Ramsey.

Ciągle pamiętam to uczucie w żołądku, kiedy Morgan wypowiedziała nazwisko Larkin.

Pamiętam lepki chłód kropel wody płynących po moich plecach jak łyzy.

Moja dawna przyjaciółka.

Larkin Ramsey.

Poszliśmy na uroczystość żałobną całą rodziną. Kto by pomyślał, że ledwie dwa lata później znów będziemy tu siedzieć - tym razem z mojego powodu?

Te same białe lampki wisiały wokół sali, a moje wielkie zdjęcie - miało chyba ze trzy metry - sterczało na środku sceny. Pstryknięte sześć miesięcy wcześniej w knajpce U Judy, gdzie świętowaliśmy urodziny Jacka. Miałam na sobie niebieski sweter założony na szarą bluzkę w słoneczniki, a włosy podpięte do góry błyszczącymi, niebieskimi spinkami. Tato musiał chyba złapać mnie z zaskoczenia po którymś ze swoich niedorzecznie marnych dowcipów (Jak się nazywa ser dla kobiet? E-damski!), bo śmiałam się do niego, kiedy strzelił fotkę. Nie było to moje ulubione zdjęcie, ale przynajmniej nie miałam gigantycznego pryszcza na nosie, resztek jedzenia między zębami ani niczego żenującego w tym stylu. A jednak dziwnie było patrzeć na swoją własną gigantyczną twarz ustawioną przed całą aulą i widzieć, że gapi się na nią z milion oczu.

Potem zaczęła się ta część, kiedy ludzie dzielą się wspomnieniami. Nauczyciel chemii, doktor O'Neil, opowiedział, jak o mało nie podpaliłam ławki, kiedy próbowałam zbudować elektromagnes (niewinny błąd w obliczeniach), i jak to zawsze zgłaszałam się pierwsza, kiedy młodszy uczeń potrzebował pomocy przy pracy domowej.

Moja trenerka od skoków, Trini, wstała z dwójką koleżanek z drużyny, Alli i Mo, i opowiedziała o zeszłorocznym finałowym spotkaniu z Prywatnym Liceum San Mateo, kiedy w ostatniej sekundzie, zupełnie niespodziewanie dodałam scyzoryk, który wypchnął nas na pierwsze miejsce i zagwarantował naszej drużynie udział w zawodach regionalnych. Alli mówiła o tym, że zawsze byłam pierwsza w wodzie i wychodziłam z niej ostatnia. Mo opowiedziała o mojej miłości do muzyki i niezrównanej, encyklopedycznej wiedzy na jej temat (szczególnie o tej z lat osiemdziesiątych), o mojej obsesji na punkcie frosty* z Wendy's i o tym, jak bardzo będzie mnie brakować w drużynie.

Nauczycielka hiszpańskiego, pani Lopez, wystrojona w jedną ze swoich sztandarowych lnianych sukienek, opowiedziała wszystkim, jak przetłumaczyłam na hiszpański cały odcinek *Przyjaciół* i zaśpiewałam klasie *Śmierdzącego Kota (Gato Maloliente)*.

Odśpiewała kilka wersów i wszyscy się śmiali, nawet moi rodzice.

Rzecz w tym, że wszystkie te historyjki były zabawne. Wszystkie wspomnienia miłe.

Przez chwilę

* Mrożony deser czekoladowy.

zapomniałam, że to pogrzeb. Nie miałam wrażenia, że ktokolwiek umarł. Nie było w tym nic makabrycznego ani przygnębiającego. Szczerze mówiąc, przyjemnie się dowiedzieć, jak bardzo wszyscy mnie lubili. Pamiętam, że było mi głupio, że się tym martwiłam; że spodziewałam się ciężkiego przeżycia. Ale nastrój był lekki. Jak podczas radosnej uroczystości czy przyjęcia.

I tym razem to ja byłam gwiazdą.

Potem z miejsc wstały Sadie, Emma i Tess. Patrzyłam, jak podchodzą do podium, trzymając się za ręce. Były takie młode. Takie pełne życia.

Śliczna, drobna, ciemnowłosa Sadie, ze zmieniającym kolory zależnie od nastroju pierścieniem, który dałam jej na trzynaste urodziny. Emma, z jasnymi włosami spiętymi z tyłu, z oczami spuchniętymi od płaczu. Tess, w totalnym proszku, z tymi swoimi piegami i rozczochranymi rudymi włosami, trzymająca w lewej dłoni lilię.

Mój ulubiony kwiat.

Dziwnie było widzieć je trzy, beze mnie; zupełnie jakby wszechświat stracił równowagę. Nasze inicjały tworzyły słowo BEST - NAJLEPSZE - najlepsze przyjaciółki na świecie. Kiedy byłyśmy małe, tato nazywał nas Straszliwą Czwórką. Ale teraz brakowało tej czwartej.

Nie mogły wiedzieć, że siedzę na podium, patrzę na nie, ledwie parę kroków od nich. Tak bardzo chciałam im powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, chociaż wcale nie byłam tego pewna. Ale zmarli nie mogą mówić.

Moje przyjaciółki spojrzały na siebie i wzięły głęboki wdech. Nagle Sadie zaczęła śpiewać. Jej głos był taki samotny. Piękny.

Będę o tobie pamiętać. I ty o mnie nie zapomnij. Nie pozwól, by życie szło obok. Inie oplakuj wspomnień.

Czysty sopran zadrżał jej odrobinę przy „wspomnień”, gardło jej się ścisnęło. Emma i Tess przyłączyły się do niej, biorąc się pod ręce. Moje trzy najlepsze przyjaciółki na całym świecie. Ich zrozpaczony chór rozlegał się echem po sali milczącej jak makiem zasiał.

O Boże.

Rozejrzałam się dookoła.

Mama zaczęła płakać, trzęsła się cała. Tato próbował być silny. Ale łzy i tak płynęły mu po twarzy. Mama obejmowała Jacka. Jego oczy były puste, wpatrzone w przestrzeń. Mama wtuliła twarz w jego włosy. Po pierwszych kilku wersach cała sala się rozkleiła.

Nauczyciele, koledzy. Dzieciaki, które uwielbiałam, dzieciaki, których nie cierpiałam, dzieciaki, których tak naprawdę nigdy nie znałam. Wszyscy płakali. Płakali nade mną.

I nagle zobaczyłam jego. Jego ciemne włosy, przydługie, rozczochrane. Jego chmurne, niebieskie oczy utkwione w białym linoleum podłogi. Miękką, znoszoną kurtka north face, którą otulałam się tyle razy. Jego doskonałe usta. Usta, które całowałam codziennie

od prawie jedenastu miesięcy. Zakradł się na tyły auli jak duch. Ale to nie on był duchem.
Ja byłam.
I wtedy straciłam nad sobą panowanie.

*Take Another Little Piece
of My Heart Now, Baby**

Kiedy zlazłam ze szpitalnych noszy na kółkach i przeczytałam swoją kartę - tę, którą wypełniają zaraz po śmierci - zobaczyłam, że doktor zapisał czas mojego zgonu (20.22) i trzy słowa, których nigdy nie zapomnę.

Ostra niewydolność serca.

Czyli, mówiąc inaczej, moje serce zawiodło.

Wtedy tego nie wiedziałam, ale lekarz się mylił. Moje serce nie zawiodło. To ktoś zawiódł moje serce.

W pierwszej chwili byłam na siebie wściekła. Powinnam była bardziej uważać. Powinnam była częściej chodzić na badania kontrolne, może brać jakieś leki, nie forsować się na treningach drużyny, jakbym była niezniszczalna. Bo kiedy tylko podniosłam się z noszy i zrozumiałam, że już po mnie, zrobiłabym wszystko -dosłownie wszystko - byle dostać drugą szansę. Czułam

** Weź sobie jeszcze jeden kawałeczek mojego serca, mały.*

się okłamana. Wszyscy obiecywali mi, że będę miała dobre, zdrowe, normalne życie. Tato mi obiecywał.

Ale kiedy patrzyłam, jak grupa lekarzy i pielęgniarek tłoczy się wokół rentgenowskiego zdjęcia mojego serca - podwieszzonego na ścianie, na negatoskopie - czułam się coraz bardziej zdezorientowana.

Wszyscy ci eksperci się przyglądali. Szeptali. Pokazywali palcami. Kłócili się.
- Co się dzieje? - spytałam.

Nikt mi nie odpowiedział, więc podeszłam do zdjęcia i wyjrzałam zza ich białych kitli i stetoskopów, żeby lepiej przyjrzeć się samej sobie.

Widziałam w życiu mnóstwo zdjęć rentgenowskich (tato przynosił je do domu, żeby przepytować mnie i Jacka z budowy serca), ale to była dla mnie nowość. Żadne z tamtych serc na zdjęciach nie wyglądało jak moje. Coś tu kompletnie nie grało.

I kiedy tak gapiałam się na zimną, nieprzyjazną kliszę, zrozumiałam, że nie gra dosłownie wszystko. Nie zabił mnie szmer w sercu.

Moje serce pękło.

Nagle przypomniał mi się cały wieczór, wspomnienia zwały się do głowy jak tona cegieł. Ich impet sprawił, że zatoczyłam się do tyłu i spróbowałam chwycić rękę jednego z lekarzy. Ale moja dłoń przeszła przez niego na wylot i padłam na podłogę. Nawet nie zauważył. Wtedy przypomniałam sobie, jak brzmiały ostatnie słowa wypowiedziane przez Jacoba, siedzącego po drugiej stronie stolika. Ostatnie słowa, które

usłyszałam, kiedy byłam jeszcze żywa. Trzy najgorsze słowa w historii ludzkości. „Nie kocham cię”.

W następnej chwili wszystko przybrało dziwny, mdląco-zielonkawy odcień. Cała sala poczerniała. A moją pierś przeszył straszliwy, rozrywający, pulsujący, palący ból, jakiego nie czułam nigdy w życiu i jakiego nawet sobie nie wyobrażałam.

Teraz, w szpitalnej sali, położyłam dłoń na mostku i zaczęłam nasłuchiwać. Czekać. Ale nie było pulsu. Nie było znajomego puk-puk, puk-puk. Nie było nic.

- Serce nie pęka tak po prostu, spontanicznie -usłyszałam jednego z lekarzy.

Hm, chcesz się założyć?

Chętnie posadziłabym ich wszystkich i wyjaśniła im, gdybym miała czas.

Może gdyby tego wieczoru byli na moim miejscu i usłyszeli to, co ja, poczuli to, co ja, zrozumieliby, że taka śmierć jest możliwa. Może odłożyliby te swoje naukowe fakty i efekciarskie medyczne dyplomy na bok, choć na minutę, i spróbowali raz pomyśleć sercem.

Wtedy może ominęłoby mnie krojenie przez jakiegoś eksperta, który musiał mnie otworzyć i udowodnić to, co wszyscy mieli przed oczami na zdjęciu rentgenowskim.

- Będzie wam strasznie głupio - powiedziałam, wlokąc się za lekarzami, którzy zawieźli mnie do windy i wcisnęli K jak kostnica. Miejsce, w którym nikt nie chce wylądować.

Kostnica i tak wygląda dość makabrycznie,

ale uwierzcie mi, jest o wiele gorzej, kiedy na stole widzicie siebie: zimną, sztywną i - a jakże - gołą jak święty turecki. I wszyscy się na was gapią.

Chociaż tak naprawdę to nie byłam prawdziwa ja. Prawdziwa ja siedziałam na innym stole, po drugiej stronie prosektorium. Kopałam metalową ramę, gryząc paznokcie. Patrzyłam. Czekałam. Wściekałam się, że nikt mnie nie słucha.

- Macie to przed nosem, czarno na białym! - krzyczałam. - Nie starczy wam zdjęcie, ćwoki?

Pewnie nie.

Nie podobało mi się to ani trochę. Wielkie, gigantyczne pogwałcenie prywatności. Nie chciałam, by obcy facet rozcinał mi brzuch, żeby oni wszyscy mogli mi zajrzeć do środka i poznać moje tajemnice.

Moje pęknięte serce to moja sprawa. Nie ich.

Ale rzecz w tym, że mój ojciec pragnął to zrozumieć. Mój tato, szalony naukowiec. Dla niego moja śmierć była zagadką. Nic z tego nie rozumiał, więc musiał zobaczyć na własne oczy. Chociaż mama błagała go, żeby odpuścił, żeby zostawił mnie w jednym kawałku. Ale on nie mógł pochować córki, nie znając prawdy.

Niestety był tylko jeden sposób, żeby tę prawdę poznać. I ostatecznie, przyznaję, chyba dopiero kiedy mnie rozkroili, i ja tak naprawdę uwierzyłam.

Nie mogłam patrzeć, kiedy patolog wreszcie zrobił nacięcie. Zacisnęłam powieki i wstrzymałam oddech, kiedy ostrze skalpela wyruszyło w powolną, makabryczną drogę w dół mojej pierś.

Otworzyli mnie. Całą. Każdy, każdziutki zakamarek. Zaglądali tak głęboko, jak się dało tymi swoimi wścibskimi oczami. Robili te swoje pomiary. Zapisywali odkrycia. Choć oczywiście nic z tego nie mogło mi już pomóc.

Ale kiedy wreszcie rozłamali mi żebra i znaleźli pod nimi moje niespełna szesnastoletnie serce, myślę, że ich serca też pękły.

Oto mieli je przed oczami, dokładnie takie, jak na zdjęciu rentgenowskim. Choć nauka nie potrafiła tego wyjaśnić. Choć coś takiego zdarza się tylko w ckliwych piosenkach o miłości. Spojrzałam przez ramię ojca na własne martwe ciało i długo się na nie gapiłam.

Oto ono.

Moje serce.

Uśpione. Milczące. I pęknięte na idealne, równiutkie, doskonałe połówki.

The Cheese Stands Alone

Pochowali mnie dwa dni po szkolnej uroczystości. Znacie to mdlące uczucie, kiedy sobota i niedziela - te doskonałe, błogie, magiczne dwa dni wolności - dobiegają końca? Chodzi mi o chwilę, kiedy zapada wieczór, zegar powtarza swoje mordercze tiktaktiktaktak, a do was dociera nagle, że nie zaczęliście nawet odrabiać pracy domowej.

To było podobne uczucie, tylko pięćdziesiąt razy gorsze. Chandra niedzielного wieczoru w ekstremalnej postaci.

Mama poprosiła Sadie, która od drugiej klasy była właściwie moją stylistką, żeby wymyśliła mi strój na tę wielką okazję. Sadie wybrała moją ulubioną sukienkę marki Anthropologie i ulubione buty. Sukienka była z ciemnoczerwonej bawełny, w białe i jasnoczerwone kwiaty, z wpuszczanymi kieszeniami i z paskiem wiązaniem na plecach. Do tego zwykłe czarne baletki, które uwiel-

* Ser zostaje sam - ostatnie zdanie z dziecięcej rymowanki.

białam, bo migotały w słońcu jak brokat. (Hm, tam, dokąd się wybierałam, nie za bardzo sobie pomigoczą).

Włosy zostawili mi rozpuszczone, rozsypane wokół twarzy (w stylu Ofelii). O mało ich nie ścięłam w wakacje, ale teraz, kiedy mnie tak ślicznie ułożyli i wystroili, cieszyłam się, że jednak zrezygnowałam. Do tego dziewczyny poprosiły moich rodziców, żeby pochowali mnie w złotym naszyjniku z serduszkami -jednym z czterech, które kupiliśmy sobie w ślicznym sklepiku Królicza Nora w San Francisco, w wakacje przed pierwszą klasą liceum.

Pamiętałam ten dzień doskonale.

Dyskutowaliśmy akurat o rozstrzygnięciu bardzo oficjalnego i ważnego quizu pod tytułem „Którą disnejowską królową jesteś?” i zdumiewaliśmy się, jak naukowe i precyzyjne okazały się wyniki.

Przykład A: oczywiście, że Sadie to księżniczka Jasmine. Jest i śliczna, i egzotyczna (jej mama pochodzi z Izraela, a na dodatek była modelką), i potrafi zaśpiewać na całe gardło *A Whole New World* jak nikt inny.

Przykład B: Emma okazała się Aurorą ze *Śpiącej królowej*, co wydawało się absolutnie logiczne, jako że jest blondynką, strasznym śpiochem, a do tego tak słodką osobą, że ptaszki zaczynają ćwierkać, gdziekolwiek się zjawi.

Przykład C: Tess została Ariel, co idealnie do niej pasuje, biorąc pod uwagę jej długie rude włosy i obsesję na punkcie jedyne go chłopaka w naszej klasie o imieniu Erie. Nie wspominając już, że w podstawówce

hodowała w domu kraba pustelnika. Czy można być bardziej arielowatym? (Odpowiedź: nie sędzę). No i w końcu ja.

Przykład D: Bella z *Pięknej i Bestii*.

Absolutne zero zaskoczenia, jako że zawsze kochałam się w chłopakach o wielkich, puchatych fryzurach, jeszcze od czasów przedszkolnych, kiedy w moim życiu pojawił się Wielki Ptak. Poza tym byłam mołem książkowym i planowałam dla nas wszystkich czterech podróży z plecakami po Europie w wakacje przed studiami.

No bo hej. Przecież musi istnieć coś więcej niż to prowincjonalne życie.

Kiedy już każda odśpiewała odpowiednią disne-jowską solówkę, natknęliśmy się na Króliczą Norę, dosłownie dziurę w ścianie w samym środku dzielnicy Mission, pełną najróżniejszych drobiazgów i starych ciuchów: koronkowych rękawiczek, słomianych kapeluszy, zabytkowej biżuterii i porcelanowych czajniczków. Rzeczy, których nigdy się nie szuka, ale których nie można nie kupić, kiedy już się je zobaczy.

Takich jak nasze talizmany.

Łańcuszki były prawie jednakowe - z delikatnego złota, nie za długie, nie za krótkie - ale na każdym wisiał inny amulet. Emma wybrała kolibra (patrz wyżej: ćwierkające ptaszki), Tess syrenkę, a Sadie prostą złotą gwiazdkę. Jej wielkim marzeniem było dostać się do Konserwatorium Juilliarda i zostać sławną aktorką, a ja miałam przeczucie, że jej się uda. Była jedną z tych osób, które sprawiają, że czujecie się niesamowicie tylko

dlatego, że je znacie. Dla Sadie wszystko było radosne i proste. Kochałam Emmę i Tess jak siostry, ale moja więź z Sadie była wyjątkowa. Sadie była kimś więcej niż przyjaciółką czy siostrą. Była moją bratnią duszą.

Z kolei ja wybrałam małe złote serduszko, bo byłam największą, najbardziej sentymentalną i ckliwą roman-tyczką z nas wszystkich - tą, która wierzyła, że każda znajdzie ideał, tego jedyne, choćby nie wiem co.

Nie mogłam się doczekać swojego szczęśliwego zakończenia (cóż za ironia losu).

A kiedy mój koniec nadszedł, naprawdę bardzo się cieszyłam, że mam przy sobie naszyjnik. Był wspomnieniem o przyjaciółkach i o domu. Dawał mi otuchę i poczucie bezpieczeństwa. Szczególnie kiedy zamykali moją trumnę.

- ... z prochu powstałeś... Zaczekajcie.

- ...i w proch się obrócisz... Proszę.

- ...niech spoczywa... Nie, proszę, przestańcie.

- ...wspokoju...

Żegnaj, różana poświata szkolnej auli. Żegnajcie, migoczące lampki. Żegnaj, domu, żegnaj, oddychanie, żegnajcie dotykanie, czucie, przytulanie i życie.

Gasimy światło.

Nagle poczułam przerażenie.

Tłum się rozstał i Jack przeszedł do pierwszego rzędu. Pociągnął pastora za marynarkę.

- Mogę coś powiedzieć?

Mężczyzna skinął głową. Zabawne, że jakiś facet, którego nie widziałam na oczy, odsyła mnie w niebyt.

Jack stanął przodem do tłumu przyjaciół i członków rodziny, wystrojonych w ciemne okulary, ściskających chusteczki, z butami tonącymi w piachu. W porównaniu z nimi Jack wydawał się taki mały. Mały mężczyzna w małym garniturku. Chciałam do niego pobiec. Przerzucić go przez ramię jak strażak i uciec do domu.

Zaczął płakać. Tato podszedł szybko i pomógł mu przebrnąć przez mowę, którą Jack napisał dla mnie, zatytułowaną „Kochana Cheddar” (to jedno z moich licznych serowych przezwisk, których dorobiłam się przez lata).

Spojrzałam po raz ostatni. Mama, tato, Jack. Trzy kaczki ustawione w rzędzie. Trzy kaczki, choć powinny być cztery.

Spojrzałam w dół.

To się dzieje naprawdę.

Dziura rozmiarów dziewczyny w miejscu, gdzie byłam ja. Dziura rozmiarów dziewczyny w miejscu, gdzie było życie. Dziura rozmiarów dziewczyny w głuchej, milczącej ziemi.

O Boże.

Naprawdę, naprawdę, naprawdę nie chciałam do niej trafić. Ale trafiłam.

*Excuse Me While I Kiss the Sky**

Spadałam. Spadałam przez czas i przestrzeń, i gwiazdy, i niebo, i wszystko co pomiędzy. Spadałam całe dni i tygodnie, miałam wrażenie, że całe życie, wiele żyć. Spadałam, aż zapomniałam, że spadam.

Kiedy wylądowałam, świat rozpostarł się przede mną jak łożo bez końca - ocean z najmniejszych prześcieradeł, najcieplejszych kołder i najbardziej puchatych poduszek. Spałam w próżni snów i wspomnień. Śmigałam przez miasta, kaniony i zdjęcia z rodzinnych wycieczek, przed oczami przelatywały mi urodziny, podrapane kolana, świąteczne poranki. Przyjaciółki, recitale baletowe, jazdy na rolkach. Pierwsze randki. Pierwsze pocałunki. Pierwsza miłość.

Nagle głęboko w piersi poczułam tępy, pulsujący ból. Dziwną pustkę. Ból w miejscu, gdzie dawno, dawno temu było moje serce.

Otworzyłam oczy.

** Przepraszam na chwilę, tylko pocałuję niebo.*

CZESC 2

WYPARCIE

The Long And Winding Road

Wszystko było ciemne. Wszystko przelatywało obok mnie z prędkością miliona kilometrów na godzinę. Drzewa i klify, i ocean posiekany maleńkimi plamkami światła - wszystko śmigało jak na szybkim przewijaniu albo jak wtedy, kiedy za szybko zmieniasz kanały. Twarz miałam przyciśniętą do zimnej szyby, wibrującej i klekoczącej. Siedzenie podskakiwało, każdy wybój posyłał igły bólu w górę moich pleców. Łup, łup, łup. Usiadłam prosto. Powoli odkleiliśmy twarz od szyby. O, kurczę. Całe ciało miałam obolałe. Jakbym właśnie przebiegła maraton albo pięć razy z rzędu wzięła udział w morderczym treningu cardio-kickboksingu mojej mamy. Dotknęłam policzka i poczułam coś mokrego. Fuj. Czyżbym się zaśliniła?

** Długa i kręta droga.*

Przetarłam oczy; kiedy uniosłam ręce wysoko nad głowę i przeciągnęłam się, wściekle zaburczało mi w żołądku. Klapnęłam z powrotem na siedzenie i rozejrzałam się.

- Ostatni przystanek za pięć minut - zatrzeszczał niski głos z głośnika.

Uniosłam głowę i w wielkim wstecznym lusterku zobaczyłam starego mężczyznę. W grubych okularach. Superłysego i superpomarszczonego. Ubranego w granatową wiatrówkę. Wyglądał na jakieś sto pięćdziesiąt lat. Z całą pewnością był za stary na kierowcę autobusu.

Chwileczkę.

Co ja robię w autobusie?

Jeszcze raz szybko się rozejrzałam. Okej, dziwne. Byłam jedyną pasażerką. Otaczały mnie rzędy pustych siedzeń. Poczułam niepokój, jakby puls mi przyspieszył, jakby serce biło za szybko. Tyle że... nie biło. Przycisnęłam dłoń do mostka i nic nie poczułam. Byłam pusta. Wypełniona dziwną próżnią.

- Hm, przepraszam? - Głos miałam zachrypnięty, więc odchrząknęłam. - Przepraszam pana, gdzie ja jestem?

- W linii północnokaliifornijskiej. - Cienie przesuwają się po twarzy, kiedy tak mknęliśmy autostradą.

- A dokąd jedziemy?

- Z Big Sur do parku Coyote Point.

Coyote Point? To jakieś dwadzieścia minut od mojego domu. Wyjrzałam przez zimną szybę, próbując

rozpoznać otoczenie, ale na zewnątrz było za ciemno i jechaliśmy za szybko. Starłam trochę pary z okna, ale to nie pomogło.

- Jak się tu znalazłam? Roześmiał się.

- Ty mnie pytasz? - Jego głos przypominał mi mojego dziadka Franka.

Sarkastyczno-słodki. Nie byłam w nastroju.

- Chwileczkę. - Jeszcze raz wyjrzałam przez okno i wydało mi się, że widzę coś znajomego. Czy to latarnia morska w oddali? Może nawet Pigeon Point, gdzie tato zabierał nas, żeby porzucać frisbee? Przycisnęłam nos do szkła.

To tu! Prawda? Zawołałam do kierowcy.

- Proszę pana, czy może mnie pan podwieźć do domu? To niedaleko. Moi rodzice panu zapłacą, przysięgam.

Jechał dalej. Nie odpowiedział.

- Proszę pana? - Spróbowałam wstać, żeby się do niego zbliżyć, ale skręcił nagle i rzuciło mnie z powrotem na siedzenie.

Łup, łup.

Spróbowałam jeszcze raz i zaczęłam stopniowo posuwać się w jego stronę.

- Proszę pana? Proszę pana, błagam. - Czepiając się fotela za fotelem, pomalutku brnęłam do przodu, starając się nie upaść. Buty kleiły mi się do podłogi. Jakby ktoś wylał słodki napój i nie posprzątał.

Zajął mi to minutę, ale wreszcie dotarłam do siedzenia tuż za kierownicą. Od podskoków trochę kręciło mi się w głowie.

- Przepraszam - powtórzyłam głośniejszym głosem. - Pytałam, czy nie mógłby mnie pan podwieźć do domu? Magellan Avenue 11, zaraz za Cabrillo.

- Nie wolno mi robić żadnych nieplanowanych postojów.

Zaczęłam panikować. Jak dotrę do domu? Nie miałam telefonu, żadnych pieniędzy, nic.

- Gdzie są wszyscy inni? Łup, łup, łup.

- Już wysiedli.

- Jak długo spałam? Łup.

- Długo.

- Dlaczego mnie pan nie obudził?

- To nie mój problem. - Sięgnął po mikrofon. - Ostatni przystanek, dwie minuty. - Z głośnika rozległ się piskliwy skrzek. Skrzywiłam się i zakryłam uszy.

Jechaliśmy dalej w milczeniu, a noc przesuwiała się za oknami, aż poczułam, że silnik przechodzi na niższy bieg. Zwalnialiśmy. Opony zachrzęściły, kiedy wtoczyliśmy się na żwirowany parking, pod czerwony neon, który błysnął tuż przed nami. Wreszcie autobus zatrzymał się powoli, ze zgrzytem. Westchnął potężnie, jakby wydawał ostatni dech, i znieruchomiał.

Wytarłam nowe czyste miejsce na zaparowanej szybie i spróbowałam odczytać dziwnie znajomy neon.

Zaraz. Co?

Natychmiast zakręciło mi się w głowie, kiedy zwały się do niej zapomniane obrazy, dźwięki i zapachy. Tornado wrzącego, rwącego bólu, spadających gwiazd i bezdennych czarnych dziur. Śmiech i łzy, i echo głosu chłopaka krzyczącego do mnie przez zadymioną autostradę, zaśmieconą fragmentami rozbitego motocykla. Świece i klaustrofobia, i ziemia, i ogień, i błoto, wsączające się, wdzierające w szczeliny.

Ścisnęłam głowę. Miałam wrażenie, że mózg mi eksploduje.

Kopię w ziemi.

Wypuście mnie.

Drapię.

Pomóżcie.

Drę paznokciami.

Błagam.

Cisza. Bezruch. Stęchlizna. Ciemność. Bez końca.

Przez to wszystko przebił się głos starego człowieka, przywracając mnie gwałtownie do rzeczywistości.

- Koniec, wszyscy wysiadać.

Przełknęłam ślinę roztrzęsiona. Ogień i ból zniknęły równie szybko, jak mnie dopadły.

- Gdzie ja jestem? - szepnęłam. Nigdzie. Jestem nigdzie.

- Ostatni przystanek. - Wyciągnął rękę, chwycił żółtą dźwignię i szarpnął ją ze stęknięciem.

Kiedy drzwi się otworzyły, poczułam prąd zimnego powietrza; znajomy zapach oceanu pomieszany z polnymi kwiatami. Ale teraz była też jakaś nowa nuta. Jakby ziemia.

Założyłam ręce na piersi, żałując, że nie mam kurtki.

Nie, mojej bluzy z kapturem. Tej w pingwinki.

Miałam jeszcze jedno pytanie, ale coś mi mówiło, że odpowiedź mi się nie spodoba.

- Proszę pana?

Jego mętne spojrzenie wwierciło się w moje oczy. Wzięłam głęboki, nerwowy wdech.

- Jak się nazywa ten ostatni przystanek? Skinieniem głowy wskazał otwarte drzwi.

- Witamy w wieczności.

Ooh Heaven Is a Place On Earth

Niebo. (Tak jakby?) Nie bardzo wiedziałam, czego się spodziewać po tym całym życiu pozagrobowym, ale byłam pewna, że będzie miało coś wspólnego z puchatymi obłoczkami, gigantycznymi zjeżdżalniami wodnymi i szczeniakami goldendoodli**, i, bo ja wiem, z galopowaniem na rumaku przez cały dzień, co dzień. Niezupełnie. Wsiadłam z autobusu i się rozejrzałam. Okej, z całą pewnością nie była to Ziemia. Znacząco, było twardo jak na Ziemi. Wyglądało jak Ziemia. Nawet smakowało jak Ziemia, choć pewnie brzmi to dziwnie. Tyle że o wiele, wiele słodziej, jakby powietrze było z syropu klonowego albo kawy latte o smaku dyniowym. Sznycel, my chyba już nie jesteśmy w Kansas. Ale kiedy patrzyłam za odjeżdżającym autobusem - i kiedy zaczęło do mnie docierać, że jestem

* *Och, niebo to miejsce na ziemi.*

** Krzyżówka golden retrievera i pudła, bardzo popularna w USA.

całkiem sama na ciemnym parkingu, bez kurtki, telefonu i jednej życzliwej duszy - zaczęłam wyczuwać coś jeszcze, coś ukrytego pod tą przepyszną słodyczą. Coś kwaśnego, zalatującego rozkładem. Ledwie posmak.

W końcu go zidentyfikowałam.

Powietrze smakowało zgniłymi kwiatami.

Nie, zgniłymi różami.

Takimi, jakie ludzie mieli na moim pogrzebie. Takimi, jakimi zasypali trumnę, kiedy już opuścili mnie pod ziemię.

Wciąż słyszałam głucho puk, puk, puk kolczastych łodyg uderzających o dębowe wieko, kiedy kwiaty spadły na mnie jeden po drugim. Wciąż pamiętałam, w jaki sposób zmieniał się zapach, kiedy mijały godziny, dni i tygodnie.

Mdlący, zgniły, słodki.

Im dłużej o tym myślałam, tym wyraźniej docierało do mnie, że ten zapach jest wszędzie.

Na języku, w nosie, w gardle - dusi mnie myślą o śmierci, rozkładających się, różowych płatkach. Zebrało mi się na wymioty, choć nic nie miałam w brzuchu.

Nieważne.

I tak zwymiotowałam.

Kaszlałam, krztusiłam się i skręcałam na asfalcie. Żwir i kurz zalepiały mi oczy i włosy, i płuca, aż w końcu zwinęłam się w kłębek, żeby przeczekać męczarnię. Bolało mnie dosłownie wszystko, jakby wszechświat eksplodował mi w czaszce albo jakby ciało rozrywało się na kawałki, żeby zbudować wszystko do nowa, od

środku i na zewnątrz. Stworzyć jakąś pokręconą namiastkę mnie.

I wszyscy konni, i wszyscy dworzanie złożony do kupy nie byli jej w stanie.

Kiedy najgorsze minęło, leżałam na ziemi, na przemian tracąc i odzyskując przytomność, objając się pomiędzy dziwnymi, migawkowymi wspomnieniami. O tym, jak Jack marszczył nos, ilekroć się uśmiechał.

O tym, jak Sznycel czekał i pierdział przez sen. Hau-pierd, pierd-hau. O chłodnym, zielonym, wzburzonym Pacyfiku.

Czułam się, jakbym była jednocześnie wszędzie

i nigdzie. Miałam dwanaście lat, jechałam autostradą z tatą jego czerwonym kabrioletem i śpiewałam z Beach Boysami *God Only Knows*. Miałam dziewięć lat, biegałam między zraszaczami do trawnika z Sadie, Emmą i Tess, śmiejąc się, a Sznycel gonił nas po ogródku, podskubując nas w majtki od bikini. Miałam piętnaście lat, jechałam na rowerze z Jacobem na plażę Mavericks w ostatnią noc lata. W tę noc, kiedy chwycił moją twarz w dłonie i powiedział, że mnie kocha.

Nagłe uderzenie gorąca zmusiło mnie do otwarcia oczu; zamrugałam gwałtownie, czując, jak moje źrenice rozszerzają się, a potem zwężają. Przez moment była tylko czerń. Ale po krótkiej chwili czerwona poświata zaczęła podkładać się do mnie jak para powykręcanych rąk, kiwających na mnie, bym szła za nimi. Wreszcie moje spojrzenie padło na źródło światła, po drugiej

stronie parkingu: znajomy neon, bzycający i mrugający, rozgrzewający ciemność. Zmrużyłam oczy i świat wyostrzył się na nowo. A kiedy się wyostrzył, przeczytałam: KAWAŁEK NIEBA

- He? - W gardle mnie gryzło, jakbym nawdychała się popiołu. - Pizzeria?

Przez chwilę leżałam na asfalcie, zahipnotyzowana niesamowitą neonową poświatą, która rozlała się wszędzie wokół mnie. Kawalek Nieba był ulubioną pizzarią mojej rodziny od zawsze. Tradycyjnym miejscem posiłków rodziny Eaganów, chociaż płytki na podłodze są dość obrzydliwe, a boksy ze stolikami pochodzą z lat siedemdziesiątych, pomarańczowo-brązowe, przyozdobione pasami ze srebrnej taśmy hydraulicznej, którą w nieskończoność sklejało rozdarte siedzenia.

To nie była najlepsza pizzeria na południe od San Francisco.

To była najlepsza pizzeria na całym Zachodnim Wybrzeżu. Może nawet na całym świecie. A ponieważ Kawalek leżał tuż nad oceanem, ledwie po drugiej stronie ulicy, jakieś pięćset metrów nad poziomem morza, widok był niesamowity. Czy też, jak mawiał tato, „niebiański”.

To jest tylko zły sen, powiedziałam sobie. Leżę w swoim łóżku, bezpieczna, opatulona. Koło mnie leży Sznycel. Jack śpi w sąsiednim pokoju. Wszystko jest w porządku.

Ale skąd ten zwariowany koszmar? Musiałam zjeść coś niestrawnego. Albo mam jutro test z historii. Albo zapomniałam oczyścić zęby nitką dentystyczną.

Ale nagle sobie przypomniałam.

Jacob. Pokłóciłam się z Jacobem.

Wsunęłam ręce do kieszeni.

Puste.

Gorączkowo rozejrzałam się za automatem telefonicznym.

Muszę do niego zadzwonić. Wiem, że mu przykro. Wiem, że nie chciał...

Mój żołądek wydał wariacki, niekontrolowany burkot, przerywając tę myśl. Kurczę.

Chyba zgłodniałam bardziej, niż sądziłam. Powoli, bardzo powoli się pozbierałam. Noga za nogą ruszyłam w stronę znajomych, szklanych drzwi. Każdy krok oddalał mnie od dawnego życia na ziemi. Każdy krok oddalał mnie od przyjaciół i rodziny, a przybliżał do czerwonego, gorącego blasku neonu.

Starałam się o tym nie myśleć. Kiedy byłam już blisko, zajrzałam przez okna. Lokal z zewnątrz wyglądał jak zwykle. Popękana podłoga w szachownicę, marne oświetlenie.

Skrzypiące wiatraki pod sufitem, łuszcząca się żółta farba, sterty pudełek na pizzę z tyłu sali. Starałam się ignorować fakt, że ulubiony stolik mojej rodziny jest pusty, chociaż niemal widziałam ich wszystkich siedzących przy nim. Przypomniałam sobie mamę, roześmianą, kiedy tato i Jack pstrykali między sobą po stole paczki cukru.

Łzy zapiekły mnie pod powiekami. Spojrzałam w dół, na swoje baletki. Niedługo ich zobaczę. Niedługo będę w domu. Nie byłam pewna, czy naprawdę chcę tam wchodzić, ale biorąc pod uwagę mój burczący brzuch i ograniczone możliwości, wydało mi się to najlepszym rozwiązaniem. A poza tym od zapachu pizzy prosto z pieca niemal umarłam. Ha, ha, bardzo śmieszne.

Wzięłam głęboki wdech, pchnęłam szklane drzwi i weszłam do środka. Niemal natychmiast wchłonął mnie zapach wrzącego sosu pomidorowego, chrupiącej skórki i rozpływającej się w ustach mozarelli. O rany, ale pyszności. Zaczęłam wdychać to miejsce, pozwalałam, żeby mnie rozgrzało.

Mniam, mniamniam, mniamniam. W boksie po prawej zobaczyłam dziewczynę, mniej więcej w moim wieku, przeglądającą „Cosmo”. Wyglądała jak skrzyżowanie punkowej księżniczki z hipsterką z San Francisco: kręcone jasne włosy ostrzyżone w nietwarzową plerezę (zwaną inaczej czeski piłkarz), grube, czarne, superfajne okulary przeciwsłoneczne i przedramię od góry do dołu obwieszane żarówiastymi różowymi bransoletkami, które pobrzękiwały za każdym razem, kiedy odwracała stronę. Brzęk, dzyń. Dzyń, brzęk. Przewróciłam oczami.

Naprzeciwko niej, przy tym samym stoliku, siedział chłopiec w bluzie z Haryardu, na oko ze dwa lata młodszy od Jacka. Jego twarz dosłownie ginęła pod

piegami, a wzrok wlepił w małe nintendo, pogrążony w wirtualnym transie. Zrobiło mi się go żal, kiedy tak patrzyłam, jak jego kciuki błyskawicznie skaczą po klawiaturze. Pięć czy sześć lat to o wiele za mało, żeby być samemu w takim miejscu.

Ale cóż, piętnaście chyba też.

Siedząca po drugiej stronie sali dziewczyna w kwiecistym kapeluszu była pogrążona w lekturze tandetnego romansidła, a trzy stoliki od niej jakiś chłopak w stroju rozgrywającego drużyny futbolowej rozmawiał z dziewczyną z różowymi włosami i w kolczastej obroży.

Okej, tu jest dziwnie.

Nigdy wcześniej nie widziałam żadnego z tych dzieciaków. Nie rozpoznawałam ani jednej twarzy, chociaż przez całe życie byłam stałą klientką Kawałka. Czułam się trochę nieswojo, patrząc na salę pełną obcych, tym bardziej że nikt mnie nie zauważał. Podeszłam do niewielkiego boksu w kącie, gdzie na stoliku pozostawiono Magiczną Ósemkę, kulę odpowiadającą na pytania. Uśmiechnęłam się.

Przynajmniej niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Rodzina, która prowadziła pizzerię, miała świra na punkcie kolekcjonowania różnych rzeczy - lamp, popielniczek, automatów z gumami do żucia, dziwnych obrazów, króliczych główek z sarnimi rogami - było tu ich całe mnóstwo. Przez lata Kawałek Nieba stał się relikwiarzem śmieci, których nikt nie chciał, ale których nikt by nie wyrzucił. To było świetne.

Przyjrzałam się Magicznej Ósemce i zadałam jedyne pytanie, jakie przyszło mi do głowy. Czy mogę już wrócić do domu?

Podniosłam kulę i potrząsnęłam nią delikatnie, przyglądając się, jak małe skrawki plastiku burzą się nieporadnie w musującym, niebieskim płynie. Po chwili w przejrzystym okienku pojawiła się odpowiedź.

„Nie licz na to”.

Odłożyłam kulę na stół, już trochę mniej delikatnie. Co ty powiesz. Magiczne Ósemki są głupie. Nagle poczułam się niewidzialna. Zapomniana. Jakby wszechświat spletał mi wstrętnego figla, choć nie zrobiłam nic, żeby na to zasłużyć. Zacisnęłam powieki, modląc się, żeby ktoś - ktokolwiek - wmaszerował przez drzwi i zabrał mnie do domu. Żeby cały ten straszny sen już się skończył.

- Niech będę w domu. Niech będę z Sadie. Niech piszę najtrudniejszy test z algebry na świecie. Niech będę gdziekolwiek, byle nie tutaj - błagałam po cichu wszechświat. -

Proszę.

Ale kiedy otworzyłam oczy, chłopiec wciąż grał na nintendo. Bransoletki wciąż dzwoniły. Rozgrywający wciąż próbował zarwać Lady Gothga.

Miałam wrażenie, że podłoga zapadnie się pode mną.

Wręcz tego chciałam.

Dźwięk źle dostrojonego telewizora wyrwał mnie z żalosnego otumanienia. Spojrzałam na tył sali, w stronę stert pudełek na pizzę.

W kącie - w podrapanych glanach opartych o stół w szachownicę - siedział chłopak, mniej więcej siedemnastoletni, i bawił się staromodnym pilotem, usiłując zmienić kanał. Nasze spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy i nagle poczułam mrowienie na ramionach, drobniutkie ukłucia, jakbym przeszła przez chmurę ładunków statycznych. Jego oczy były ciemne - nie do końca brązowe, nie do końca zielone - jakby nie mogły się zdecydować. Miał idealną kalifornijską opaleniznę, taką jakiej się dorabiasz tylko po kilku latach surfowania przy plaży Mavericks. Włosy miał ciemnokasztanowe, krótkie, coś pomiędzy fryzurami żołnierza i tego gościa ze *Zmierzchu* (wilkołaka, nie wampira). Patrzyłam na niego przez chwilę, próbując ustalić, dlaczego wydaje się znajomy. Glany, zgadza się. Sprane džinsy i wyblakła szara koszulka, zgadza się. Lotnicze okulary zwisające na piersi, zgadza się. Ale największe wrażenie robiła kurtka. Ze starej, brązowej skóry, z naszywanymi kieszeniami, wełnianymi ściągaczami... miała nawet kołnierz ze sztucznego futra.

Nagle do mnie dotarło. Znajoma nie wydawała się jego twarz, tylko strój. Ten chłopak był jak wyjęty z lat osiemdziesiątych. Pilot myśliwca. Tom Cruise z *Top Gun*, znanego też jako najlepszy film wszech czasów. Zaśmiałam się cicho pod nosem, bo poczułam się głupio. W głowie włączyła mi się piosenka i mimo woli zaczęłam śpiewać ją bezgłośnie:

Hiiighway... toothe... dangerzone!

Ale nagle zauważyłam jego bliznę.

Głęboką i poszarpaną, zaczynającą się na grzbiecie dłoni, ciągnącą się przez nadgarstek i znikającą w rękawie.

Auć.

- Wszystkie nowe dusze muszą zarejestrować się przy kontuarze. - Żeński głos przerwał moje wewnętrzne karaoke.

Obróciłam się gwałtownie i zobaczyłam siwowłosą Azjatkę siedzącą na stołku za ladą. Przed sobą miała wielką krzyżówkę, a na twarzy okulary w jasnoczerwonych oprawkach, które zsunęły jej się do połowy nosa.

- Nazwisko? - Tym razem spojrzała wprost na mnie; jej głos był odrobinę znudzony, a jeszcze bardziej zirytowany.

Strzeliłam oczami w lewo, potem w prawo. Nikt w sali nie zwrócił na nią uwagi. Z całą pewnością mówiła do mnie.

- Hm, Brie Eagan.

- Spóźniłaś się.

- Tak?

Wskazała wiszący na ścianie zegar, który, na moje oko, nie chodził.

- Przepraszam.

Pani Krzyżówka kiwnęła na mnie ręką.

- Nieważne. Chodź, siadaj. Mamy papierkową robotę. No i pomożesz z krzyżówką.

Żołądek znów mi zaburczał, tym razem głośniej. Obejrzałam się na klona Toma Cruise a; zamienił pilota na smakowicie wyglądający kawałek pizzy.

Ooch, karczochy i suszone pomidory?

Nie spuszczać ze mnie wzroku, powoli - z rozmysłem - wgryzł się w gruby kawałek skórki.

I zaczął przeżuwać.

Pani Krzyżówka chrząknęła na mnie zza kontuaru.

- Najpierw się rejestrujesz, potem jesz.

Chwileczkę. Czytamy sobie w myślach?

Wstałam od stolika i powoli ruszyłam w jej stronę, trochę obrażona. Wysunęłam stołek i usiadłam, patrząc, jak kobieta wyciąga nowiutką teczkę i pisze moje nazwisko na etykiecie. Widziałam żyły na jej śnieżnobiałych dłoniach, kiedy wyjęła z szafki arkusz papieru, wpięła go w podkładkę do pisania i podsunęła mi po blacie.

- Musisz mi to wypełnić.

- Chyba zaszła jakaś pomyłka. Przyjrzała mi się, ale nie ustąpiła.

- Wątpię.

- Ale nic się nie zgadza. Czuję się świetnie. Roześmiała się.

- Tak jak wszyscy tutaj. Do roboty. Założyłam ręce na piersi i zacisnęłam szczęki, czując, że moja wewnętrzna pięciolatka zaraz się wścieknie.

- Nie. Mam. Długo. Pisu. Wskazała moją prawą dłoń.

- Właśnie. Że. Masz.

Nie zdążyłam napyskować, bo nagle zauważyłam, że naprawdę mam długopis. We własnej ręce, gotów do pisania. O mało nie spadłam ze stołka.

Jak się tu znalazł, do cholery?!

A wiecie, co było najdziwniejsze? Znałam ten długopis.

Niemożliwe. Mój długopis, który miałam w trzeciej klasie. W czasach, kiedy byłam wielką kujonką i nie mogłam spać z podniecenia przed dniem szkolnych zakupów. Długopis był biały na górze i błękitny na dole, pisał w sześciu (sześciu!) kolorach. Można było wcisnąć dwa guziki naraz i łączyć kolory (niezła jazda, co?) Dla nadgorliwej trzecioklasistki, która przez całe wakacje ćwiczyła swój podpis kursywą, ten długopis był absolutnym dziełem sztuki.

Zostawiłam go na ławce w piątek po południu, ale kiedy w następny poniedziałek rano przyszłam do szkoły, już go nie było. Mówimy tu o prawdziwej życiowej tragedii dziewczyny z podstawówki.

Ale potem, parę dni później, jakimś cudem, Chloe Lutz - która codziennie zaplatała włosy w dwa warkoczyki, słowo daję - pojawiła się z podobnym długopisem (mówiąc podobnym, mam na myśli identycznym). *Et tu, Chloe, contra me?*

Wiedziałam, że go ukradła. Emma, Sadie i Tess wiedziały, że go ukradła. Ale skarżenie nie wchodziło w grę, bo nasza nauczycielka, pani Arden, wyznawała bardzo surową politykę zero skarżenia. Chciałam skonfrontować się z Chloe na przerwie, ale uznałam,

że to zły pomysł, biorąc pod uwagę, że: a) była o całe trzydzieści centymetrów wyższa ode mnie, i b) miała brązowy pas karate.

Ostatecznie przez resztę roku szkolnego patrzyłam, jak Chloe bawi się w najlepsze, wciskając moje ukochane, kolorowe guziki. Czerwony! Nie, niebieski! Och, co za frajda! Tak, Chloe, ty suko, jasne, że frajda. Przecież dlatego go kupiłam.

I teraz, wiele lat później, siedziałam w obskurnej pizzerii w Half Moon Bay, martwa od poniedziałku, i trzymałam w dłoni ten sam najfajniejszy długopis świata.

Megadziwne.

Spojrzałam na kartkę. Wcisnęłam zielony guzik i zaczęłam wypełniać formularz.

NAZWISKO: *Aubrie Elizabeth Eagan*

DATA URODZENIA: *1 listopada 1994*

DATA ŚMIERCI:.....

Przerwałam i zerknęłam na Panią Krzyżówkę, która wróciła do swojego zajęcia.

Marszczyła twarz ze skupieniem. Przeszłam do następnego pytania.

PRZYCZYNA ŚMIERCI:.....

Znów przerwałam, przygryzając wargę. Po kilku sekundach wpisałam odpowiedź:

Podły chłopak, który zasługuje na cierpienie.

Poniżej było: RODZICE, RODZEŃSTWO, ZWIERZAKI, INNE:

Och, Sznycel. Chciałabym, żebyś tu był i ugryzł tę kobietę za to, że każe mi wypełniać głupie formularze.

Zaczęłam pisać, wymieniając członków rodziny. MASŁO ORZECHOWE CZY GALARETKA:
Masło orzechowe (z chrupiącymi kawałkami) KAWA CZY HERBATA: *Czaj* I wreszcie, w
ostatniej linijce:

NADZIEJE, MARZENIA, ULUBIONE LODY:.....

I zalały mnie wspomnienia.

*Your Love Is Better
Than Ice Cream**

Jacoba Fischera poznałam, kiedy miałam cztery lata, a on pięć, ale jakimś cudem udało nam się nie odbyć ani jednej prawdziwej rozmowy aż do czasu, kiedy ja miałam jedenaście, a on dwanaście lat. Gdy byliśmy mali, wiedziałam o nim tylko tyle, że to straszne chłopaczysko (potwory, kowboje, pierdzenie, boki zrywać). Był hałaśliwy, brudny i wiecznie się na wszystko wspinał w grupie zabawowej po szkole, którą zorganizowała mama Sadie. Był jednym z tych bachorów, obok których za żadne skarby nie chcesz siedzieć w restauracji albo samolocie.

Dorastaliśmy. Prawie się do siebie nie odzywaliśmy. Nie żebym o nim w ogóle myślała. Chłopcy byli poza sferą moich zainteresowań - obrzydliwe stwory z innej planety, z którymi ani ja, ani moje przyjaciółki nie chciałyśmy mieć nic wspólnego. A poza tym byłyśmy zbyt zajęte jazdą na rowerach i innymi o wiele

** Twoja miłość jest lepsza niż lody.*

fajniejszymi sprawami, jak skoki do wody (ja), gimnastyka (Tess) i balet (Emma i Sadie). Aż do pewnego wrześnieowego popołudnia wiele lat później, kiedy starsza siostra Jacoba, Maya, zadzwoniła do naszych drzwi. To ja jej otworzyłam.

Głupia, głupia, głupia.

- Hej, Brie!

Maya Fischer: długie, zwariowane, kręcone włosy. Aparat na zębach. Srebrne koła w uszach. Pomarańczowe crocsy.

Ooch, chcę takie.

- Hej, Maya - odparłam i polizałam arbuzowego lizaka z gumą. Starłam się przedłużyć tę przyjemność, żeby nie dobrać się za szybko do gumy.

- Jest mama?

- Mhm.

- Mogę z nią porozmawiać?

- Jasne. A po co?

- Zakładam firmę babysitter. Wpadłam zapytać, czy twoi rodzice nie potrzebują czasem opiekunki, żeby z wami posiedziała.

Wychyliłam się przez drzwi trochę bardziej.

- Fajne crocsy.

- Dzięki.

- Brie? - zawołała mama z piętra. - Kotku, kto przyszedł?

- To Maya Fisher! - wrzasnęłam. - Pyta, czy nie potrzebujesz kogoś, żeby nas powysiadywał! - Zaczęłam chichotać i uciekłam do środka.

Los chciał, że rodzice rzeczywiście potrzebowali kogoś do opieki nade mną i Jackiem już w kolejny piątek. Tato miał jedną ze swoich ważnych lekarskich kolacji w mieście, więc mama umówiła się z Mayą.

- Tylko że - powiedziała Maya - obiecałam już mamie, że popilnuję mojego młodszego brata. Mogę przyjść z nim?

- Oczywiście! - wykrzyknęła mama. - Zamówimy wam kolację z Bo-Bo's.

Oczywiście byłam bardziej nakręcona na myśl o hamburgerach z Bo-Bo's i oglądaniu *Gdzie jest Nemo* po raz osiemdziesiąty siódmy niż faktem, że Maya Fisher i jej brat Jacob przychodzą do nas do domu.

Jacob Fischer: żaden problem. Po prostu chłopak ze szkoły. Dzieciak z naszej grupy zabawowej, kiedy byliśmy mali.

Co ja mogłam wiedzieć.

Rodzice byli już spóźnieni, jak to zwykle w rodzinie Eaganów, kiedy w piątek wieczorem znów rozległ się dzwonek do drzwi. Leżałam na łóżku i rozmawiałam przez telefon z Tess, wysłuchując najnowszych powodów, dla których była zabujana w Ericu Rynie.

- Widziałaś go w basenie na urodzinach Bethany? Nie uważasz, że jego styl grzbietowy jest po prostu słodki?

(A nie mówiłam? Totalna Ariel). Słyszałam, jak mama na dole wita się z Mayą i Jacobem. Słyszałam, jak trzasnęły drzwi, kiedy weszli

do środka, i jak mama oprowadza ich po domu. Słyszałam skrzypienie drzwi garażowych, jak się otwierały, a potem zamykały, i samochód rodziców pędzących na kolację.

Kiedy wreszcie raczyłam zejść na dół, zastałam Mayę rozciągniętą na kanapie i oglądającą *Prawdziwy świat* w MTV oraz mojego czteroletniego brata siedzącego na dywanie z klockami lego. Kiedy weszłam do salonu, Maya się odwróciła.

- Hej, Brie! - Szeroki uśmiech. - Głodna? - Spojrzała na swoją komórkę. - Dostawca z Bo-Bo's powinien być dosłownie za moment.

- Cześć - powiedziałam. - Dzięki, tak, super. - Podeszłam do Jacka i klapnęłam na dywan obok niego. - Hej, Jackson Klakson, co robisz?

Jacob siedział koło mojego brata i też bawił się klockami.

Wyobraźcie sobie mnie: trochę pucołowata, trochę rozczochrana, w spodenkach gimnastycznych i fioletowych okularach ze trzy razy za wielkich. Wyobraźcie sobie jego: wysoki (okej, jak na dwunastolatka, ludzie), kręcone, kasztanowe judeo-afro, pieg na samym czubku nosa, krzywy ząb.

Chłopak. Chłopak w skejtowskiej koszulce. Chłopak w skejtowskiej koszulce bawiący się lego. Nie spojrzał na mnie, nie okazał, że w ogóle zauważył moją obecność. Chociaż był w moim domu. Na moim dywanie, w moim salonie. I bawił się z moim młodszym bratem.

Uch, typowy jaskiniowiec.

- Buduję statek kosmiczny - oznajmił dumnie Jack. Uniósł stertę klocków, która bardziej przypominała stegozaura niż kosmiczny statek.

Roześmiałam się.

- Świetny pomysł, Jack. Może ja zbuduję stację kosmiczną Wendy's, żeby astronauta mogli sobie zamówić frosty, jak dolecą na Księżyc.

Jacob prychnął i zrobił minę.

- Ben i Jerry's byłaby lepsza. Odwróciłam się do niego, wybałuszając oczy. Słucham?

Ośmielasz się prychać na mój ulubiony deser?

- Hm, przepraszam - powiedziałam - ale frosty są najlepsze.

- W życiu - odparł Jacob. Spojrzał mi w oczy. -Nic nie przebije cherry garcia*.

I nagle łubudu, stało się.

Fatalne, chore, straszliwe zauroczenie znalazło kolejną ofiarę.

Gdybym wtedy wiedziała, że to jest chłopak - ten zębaty, kudłaty niedoszły skejt - który kiedyś nieodwracalnie złamie mi serce, może zostałabym na górze i dalej rozmawiała z Tess. Może poszłabym wcześniej spać. Może ubłagałabym rodziców, żeby zabrali mnie ze sobą, chociaż lekarskie kolacje to chyba największa nuda pod słońcem.

Ale nie wiedziałam. Nie mogłam wiedzieć. Tylko wzruszyłam ramionami, jakbym to miała głęboko

* Wiśniowe lody marki Benjerry's.

w nosie, i rzuciłam jakąś genialną uwagę w rodzaju „skoro tak twierdzisz”. Zabrałam się za budowanie stacji kosmicznej Wendy's.

I całkiem niepostrzeżenie zakochałam się na zabój.

Only the Good Die Young

Minął tydzień. Tydzień, od kiedy przestałam być. Tydzień, od kiedy prześliznęłam się przez wszechświat na wylot i trafiłam do jakiegoś dziwnego, innego wymiaru mojego rodzinnego miasteczka, skazana na te same ciuchy i jedzenie pizzy przez całą wieczność. Właściwie nie był to taki straszny wyrok. W Kawałku można jeść pizzę przez cały dzień, co dzień, i nie przytyć ani kilograma. Sadie pękłaby z zazdrości.

- Jesz to? Uuu, on mówi.

Patrzyłam zaskoczona, jak Koleś w Lotniczej Kurtce podchodzi do mojego stolika i siada. Ziewnął i podrapał się po głowie. Potem wyciągnął rękę i wziął kawałek mojej niedojedzonej pizzy wegetariańskiej.

- Nie mogę pozwolić, żeby dobre żarcie się marnowało.

* Tylko dobrzy umierają młodo.

- Proszę bardzo - odparłam, przechodząc w tryb królewny Belli.
- Uch, wegetariańska? - Przyglądał się wielkiemu kawałkowi bakłażana. - Co za nuda.
- Powiedz to moim rodzicom. - Wzruszyłam ramionami. - Wychowali mnie na wegetariankę.
- Serio? - Spojrzał na mnie ze współczuciem. - Rany. Moje najszczęśliwsze kondolencje.
- Hm, dzięki.
- No, dobra - powiedział między kęsami. - Pozwól, że jako pierwszy powitam cię w starych, dobrych zaświatach, młoda damo.
W zaświatach? Wyciągnął rękę.
- Jestem Patrick. Tutejsza stracona dusza. Uścisnęłam jego dłoń.
- A ty?
- Brie.
Zagapił się na mnie, jakbym miała przylepiony do twarzy wielki kawał pepperoni.
- Masz na imię Brie? Jak... jak ser? Przewróciłam oczami.
- Doprawdy, nikt nigdy nie zadał mi tego pytania.
- Dzięki - odrzekł Patrick z cieniem uśmiechu. - Szczycę się swoją oryginalnością.
Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu; gapiłam się bez celu na dzieciaki w sali. Nagle coś mi przyszło do głowy. Rozgrywający. Lady Gothga. Bransoletka. Chłopiec Nintendo.
Patrick.

Nawet ja.

Wszyscy, co do jednego, z wyjątkiem Pani Krzyżówki, byli młodzi.

- Wyglądasz na skołowaną - powiedział. Cóż za spostrzegawczość. Pochyliłam się bliżej i ściszyłam głos.

- Kim są ci wszyscy ludzie? Wzruszył ramionami.

- No wiesz. Zwykle umarlaki.

- Ale gdzie są wszyscy staruszkowie? Gdzie są dorośli?

- Hm... - Podrapał się po głowie. - Pewnie siedzą w jakiejś droższej restauracji? - I znów ten uśmieszek.

Posłałam mu złe spojrzenie.

- Zawsze jesteś taki uroczy?

- A ty zawsze jesteś taka śliczna?

- Bardzo zabawne. Ale serio, co oni wszyscy tu robią? Co ty tutaj robisz?

Znów wzruszył ramionami.

- Żeby nie było. Nie jestem żadnym oficjalnym ekspertem ani nic. Niektórzy z nich - wskazał Chłopca Nintendo - są nieźle oderwani od rzeczywistości. A inni - kiwnął głową w stronę Bransoletki - tkwią tu od wieków. Ja akurat, tak się składa, naprawdę lubię pizzę. Każdy dojrzewa we własnym tempie, robi, co chce. Ale uwierz mi - jego wzrok pobiegł do wielkich okien, wychodzących na ocean - tam się można naprawdę nieźle zabawić. - Puścił do mnie oko

i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - A skoro już o tym mowa, chcesz się zabawić?

Uuu, ma gadane.

Uniosłam brew.

- A o jakiej zabawie konkretnie mowa? Uniósł ręce w obronnym geście.

- Hej, nie przekraczajmy granic, okej? No wiesz, po pierwsze, tu są dzieci. A po drugie, dopiero się poznaliśmy. Więc róbmy swoje, spotykajmy się z innymi, i niech sytuacja rozwija się naturalnie, dobra? - Pokręcił głową i gwizdnął. - Słowo daję. Cokolwiek bym robił, dziewczyny nie mogą mi się oprzeć.

Poczułam, że moja twarz przybiera tysiąc odcieni czerwieni. Ten chłopak był niewiarygodny. Mówił serio? Niemożliwe.

A może jednak?

Odchrząknęłam skrępowana, usiłując wymyślić coś do powiedzenia.

- Czyli, hm, jak mówiłeś? Ile czasu tu już siedzisz? -Mój głos brzmiał strasznie piskliwie, coś pomiędzy osłem a tchórzofretką.

Roześmiał się.

- Nie mówiłem. - Wziął kolejny kawałek pizzy z mojego talerza i wciął go w trzech wielkich kęsach.

- Imponujące - stwierdziłam. - Powinieneś brać udział w zawodach.

- Facet musi jeść. Podsunęłam mu resztę pizzy.

- Częstuj się. Zjadłam już tyle, że starczy mi na całą wieczność.

Przerwał na chwilę i zerknął na mnie.

- Wieczność to bardzo długo. Może dłużej niż ci się zdaje.

Nie bardzo wiedziałam, o co mu chodzi, więc milczałam.

- A skoro już mowa o życiu i śmierci... - Jego ton spoważniał. - Co ci się stało?

- Co masz na myśli?

- No wiesz. Jak umarłaś? Poczułam ściskanie w piersi.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Daj spokój. Nie wstydź się. Ja nie gryzę. - Z szerokim uśmiechem odgryzł kawałek pizzy.

- No, może trochę.

Uch. Faceci są obrzydliwi.

- Słuchaj. - Założyłam za ucho zbłąkany kosmyk włosów. - Zmieńmy temat, okej? -

Spojrzałam na Panią Krzyżówkę zgarbioną nad tą samą krzyżówką, nad którą pewnie mozoliła się od wielu dni.

- Pięć liter - mruzczała do siebie. - Prostack albo czerwone warzywo. Pomidor? Papryka? -

Zaczęła wściekle wycierać swój wpis.

- Burak! - Patrick odwrócił się w jej stronę. - Niech pani spróbuje burak!

Pani Krzyżówka przestała wycierać i szybko przeliczywszy litery, posłała mu całusa przez całą salę.

- Dziękuję, skarbie!

- Skarbie? - wyszeptałam sceptycznie. - Chyba ktoś tu się zakochał.
- A nie mówiłem? - Przybrał dumną pozę. - Babeczki uwielbiają tę kurtkę.
Przewróciłam oczami.

- Jasne.

Zadumałam się na chwilę; dopadło mnie wspomnienie rodziców. W niedzielne poranki, przy bananowych gofrach, całą rodziną rozwiązywaliśmy krzyżówkę w „New York Timesie”. Zawsze pozwalali mi i Jackowi pomagać sobie z odpowiedziami. Okej, z tymi prostszymi, ale jednak.

Nagle spojrzałam na Patricka.

- Masz telefon? Pożyczyłbyś mi?

- A co? Musisz zadzwonić do swojego drugiego chłopaka?

- Bu, ha, ha - zakpiłam, zakładając ręce na piersi. - Dla twojej informacji, chcę zadzwonić po taksówkę.

Patrick oparł się o stół, zbliżając do mnie.

- Tak? A dokąd się wybierasz?

- Do domu - odparłam sucho. - Wracam do domu.

- Chwileczkę. - Odłożył pizzę. - Mówisz serio, prawda?

- Ona - wskazałam Panią Krzyżówkę - powiedziała, że rozpatrywanie moich papierów potrwa parę dni. Minął już prawie cały tydzień. - Złapałam kubek i wysiorbałam przez słomkę resztkę sprite'a. - Więc o co tu chodzi? - spytałam. - Dlaczego wszystko trwa tu tak koszmarnie długo?

Odchylił się na krześle z rozbawioną miną.

- A czemu ci się tak spieszy?

- Tracimy czas. Roześmiał się.

- Aniołku, przykro mi, że dowiadujesz się tego ode mnie, ale czas to jedyne, co ci zostało.

Więc może spróbuj się rozluźnić i dobrze bawić. - Założył ręce za głowę i głęboko

wciągnął powietrze. - Widzisz? Musisz się zrelaksować i nauczyć wachać pizzę.

O nie, chyba żartujesz.

Informacja z ostatniej chwili, pajacu. Nigdy nie mów dziewczynie, żeby się zrelaksowała.

Wściekamy się wtedy jeszcze bardziej.

Wbiłam wzrok w jego kurtkę, która z każdą sekundą podobała mi się coraz mniej.

- Zdejmujesz ją kiedykolwiek?

- A po co? Dobrze w niej wyglądam!

- Wyglądasz głupio.

- Uhu, uwaga. Panienska strzela dziś fochy. Zmarszczyłam brwi.

- Nie strzelam żadnych fochów.

- Albo, zaraz. - Wyszczrzył się w uśmiechu. - Już wiem. Próbujesz ściągnąć ze mnie

ciuchy, zgadza się? Chcesz sobie popatrzeć na nagą męską klatę! - Sięgnął do suwaka kurtki.

- Fuj! - Rzuciłam w niego kawałkiem skórki. -Oszczędź mi obleśnych szczegółów.

- Jesteś pewna? - Zatrzymał się. - Naprawdę nie wiesz, co tracisz.

Pokręciłam głową.

- Okej... - Patrick nie zapiął kurtki do końca. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął małą książeczkę. Rzucił ją w moim kierunku; wylądowała przede mną na stole z głuchym stukotem. - Masz pytania? - rzucił. - Tu są odpowiedzi.

Podniosłam książeczkę, żeby obejrzeć ją dokładniej. Przesunęłam palcami po czarnej welurowej okładce i złożonych literach.

Podręcznik Ś.P.

- Eś Pe? - spytałam. - Co to ma być, świętej pamięci?

Parsknął.

- Raczej świeżo pochowani. Coś w rodzaju przewodnika. W zasadzie jedyna literatura, jakiej będziesz teraz potrzebować.

Powoli otworzyłam okładkę i zaczęłam przerzucać kartki, aż trafiłam na spis treści.

„Rozdział 1: Jesteś tutaj. Co teraz?” Chciałabym wrócić do domu, ot co.

- Wiem, że nie wygląda imponująco - przyznał Patrick. - Ale zaufaj mi, jest w nim mnóstwo pożytecznych informacji i sporo świetnych pomysłów, jak się nie nudzić. -

Pstryknięciem wystrzelił ze stołu zabłąkaną oliwkę i patrzył, jak szybuje na podłogę. -

Czas to śliska sprawa, Cheeto. Będziesz musiała się nauczyć znajdować sobie zajęcia.

Zawahałam się. Cheeto?

Tylko tacie i Jackowi wolno było używać serowych przezwisk. I może od czasu do czasu moim najlepszym przyjaciółkom. Ale absolutnie nikomu innemu.

- Problem z czasem jest taki - ciągnął, zanim zdążyłam go zgasić - że często jest go po prostu za dużo. - Wskazał książeczkę. - Ten podręcznik naprawdę pomógł mi się przystosować.

- Przystosować? - W moim żołądku zaległo się bardzo nieprzyjemne uczucie. - Przystosować do czego?

- Po prostu wyświadczyć sobie przysługę i wkuj ten podręcznik. - Patrick się uśmiechnął. - Bo uwierz mi, będzie sprawdzian.

Wyraz jego oczu sprawiał, że trudno mi było stwierdzić, czy żartuje. Ale przecież musiał żartować. Prawda?

- Jasne - odparłam, mając nadzieję, że wychwycił sarkazm. - Już zabieram się za lekturę. - Wzięłam podręcznik, żeby schować go do prawej kieszeni sukienki, ale w ostatniej chwili upuściłam go pod stół. Zakaszlałam, żeby zamaskować odgłos książki uderzającej o linoleum.

Uups. Naprawdę to zrobiłam?

Nie miałam zamiaru mówić Panu Burakowi, że absolutnie nie planuję czytać jego głupiego podręcznika, tak jak nie planuję sterczeć tutaj ani minuty dłużej, niż to konieczne.

- Rany. - Patrick patrzył na mnie z podziwem. - Jesteś chyba najgorszym przypadkiem, jaki widziałem, odkąd New Kids on The Block się rozpadli. Może nawet dłużej.

- Najgorszym przypadkiem czego? - Pstryknęłam w niego okruchem. Trafiłam idealnie.

- Właściwie to dość urocze.

Poczułam, że zaczynam naprawdę się wściekać.

- Nie jestem urocza.

- Im dłużej ci się przyglądam - odparł ze śmiechem - tym bardziej mi kogoś przypominasz.

To chyba przez twoje oczy.

Skrzywiłam się.

- Doprawdy? Kogo?

- Kleopatrę.

- Dlaczego, do diabła, przypominam ci Kleopatrę?

- Nie wiem... - Umilkł na chwilę. - Chodzi chyba o to, że była królową wyparcia.

Założyłam ręce.

- Ja niczego nie wypieram.

- Właśnie tak mówią żółtodzioby w fazie pierwszej. - Na sekundę zanurkował pod stół.

Kiedy znów się wyłonił, rzucił przede mnie *Podręcznik Ś.P.* - Niezłe, ale musisz się bardziej postarać. Wydało się.

- Bo niestety nic na to nie poradzisz - ciągnął. -Uwierz mi, widziałem wiele takich jak ty, które weszły do tej knajpy.

Milczałam przez moment.

- Nic o mnie nie wiesz.

- Brie.

- Czego? - Męczyła mnie już ta słowna przepychanka.

Patrick spoważniał.

- Wiesz, dlaczego tu jesteś?

Nie byłam przygotowana na to pytanie. Poczulałam leciutkie łaskotanie w nosie. Delikatne mrowienie w kącikach oczu.

Tylko nie płacz. Nie płacz.

Skinęłam potakująco głową.

- Tak? - zdziwił się. - No więc dlaczego?

Za kogo on się uważał, do diabła? Znał mnie od niecałych pięciu minut, a zachowywał się jak ekspert w temacie.

A tematem byłam ja.

- Wiesz co? To naprawdę nie twoja sprawa. - Wysunęłam się z boksu i przeszłam na drugi koniec sali, do innego stolika, tuż przy oknie.

- Tak jak myślałam. - Patrick wstał i podszedł do pobliskiego automatu z napojami, żeby dolać mi sprite'a. Potem ruszył za mną do nowego stolika i wyciągnął sobie krzesło. - Twój przypadek jest klasyczny.

- Szczerze mówiąc, wolałabym być sama, jeśli nie masz nic przeciwko.

- E tam. Wolisz towarzystwo. - Przysunął się do stolika naprzeciw mnie. - Posłuchaj, aniołku. To, co teraz czujesz, jest zupełnie normalne. Zdarza się najlepszym. Zdarzyło się mnie. - Wyjął serwetkę z pojemnika i wytarł usta i dłonie.

Nie odpowiedziałam. Wzięłam tylko napój i zaczęłam gryźć słomkę. Stary nawyk.

- No więc, to jest tak. Pokażę ci. - Rozwinął zmiętą serwetkę, wygładził ją na stole i zaczął pisać. Kiedy skończył, podsunął ją mnie. - Czytaj.

Spojrzałam w dół. Między plamami sosu pomidorowego i tłuszczu, wypisana nieporządnym, okropnie męskim charakterem pisma, widniała lista pięciu słów:

Wyparcie

Gniew

Przekupstwo

Smutek

Akceptacja

Wyciągnął rękę i powoli zakreślił długopisem słowo „wyparcie”.

- Widzisz to?

Spojrzałam na niego ze złością. Miałam oficjalnie dość tej rozmowy.

Nie odzywaj się do mnie.

- To właśnie ty.

Odwróciłam głowę, kiedy gorące łzy gniewu zaczęły mi spływać po policzkach. Otarłam je grzbietem dłoni.

- Zrozumiesz to, aniołku - zapewnił. - Któregoś dnia zrozumiesz. - Wziął serwetkę, poskładał ją i wsunął do kieszeni. - Przechowam to dla ciebie.

Przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu. Dalej gryzłam słomkę, ze wzrokiem wbitym w ocean.

Patrick zrozumiał tę subtelną wskazówkę i zmienił temat.

- Hm. Więc masz prawie szesnaście lat?

Kiwnęłam głową, wciąż na niego nie patrząc.

- Prawie.

- I jesteś tu od tygodnia?

Znów skinęłam, choć wcale nie byłam tego pewna. Czas stał się dziwny. Czułam, jak przepływa wokół mnie. Widziałam, że słońce wschodzi i zachodzi, ale minuty rozciągały się w nieskończoność. Jednak nie w tak nudny sposób jak na lekcjach historii Europy, kiedy bazgrałam w zeszytach i czekałam na dzwonek. To miejsce było jak przyspieszone i spowolnione przewijanie - jednocześnie.

- No to jak, koliberku? - Uśmiechnął się do mnie z nadzieją. - Bawimy się czy nie?

- Bawimy? - warknęłam. - To ma być zabawne?

- A dlaczego nie? - Spojrzał na drzwi. - Jest tak, jak powiedziałem. Wiesz, że możemy stąd wyjść, kiedy nam się zachce, tak?

- I pójść dokąd? Roześmiał się.

- A co ty myślałaś, Mozzarella? Że musisz tu siedzieć i opychać się pizzą aż do końca świata?

- Nikt z was nigdy nie wychodzi - burknęłam, spoglądając na Panią Krzyżówkę. - To irytujące, że ona tu rządzi.

Posłał mi dziwne spojrzenie.

- A kto ci powiedział, że ona tu rządzi?

Nie rozumiałam, o co mu chodzi. Byliśmy tylko bandą dzieciaków. Ktoś musiał rządzić. Zgadza się?

- Ale jeśli nie ona - spytałam powoli - to kto?

Patrick pochylił się bardzo bliziotko i uśmiechnął, jakby chciał mi zdradzić sekret.
- Ty, Cheeto - powiedział. - Ty.

I Was Walking With a Ghost

Mama zamordowałaby mnie, na sto procent, gdyby wiedziała, że śmigam po autostradzie Pacific Coast na tylnym siedzeniu motocykla, obejmując chłopaka, którego dopiero poznałam. Autentycznie by mnie zamordowała.

Ale o niczym nie wiedziała. A poza tym jakimś cudem nie obchodziło mnie to. Miło było zapomnieć o wszystkim, co mnie spotkało, i zrobić sobie przerwę od płaczu. Zresztą, teraz już nic nie mogłam poradzić. Tego jednego nauczyłam się bardzo szybko. Możesz obsesyjnie się zastanawiać, co zrobiłeś źle albo co mogłeś zrobić inaczej - ale to bez sensu. Przecież to niczego nie zmieni. Więc po co się gryźć?

Poza tym życie po śmierci było dość... no cóż, fajne. Przypominało dziwne, ale wspaniałe miejsce pomiędzy, kiedy dobrze wiesz, że śnisz, ale wiesz też, że masz jeszcze cudowne dziesięć minut, zanim zadzwoni

* Spacerowałam z duchem.

budzik. (Tyle że w moim przypadku budzik był ustawiony na wieczną drzemkę. A sen trwał bez końca).

Patrick z początku nie chciał się zgodzić, żebym wsiadła z nim na motor.

- Hm, raczej nie.

- No przestań.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Bo nie jestem twoim szoferem.

- Proszę.

Spojrzał mi prosto w oczy i umilkł. Czułam, że się nie wygłupia.

- Po prostu myślę, że to zły pomysł.

- To zabawne, bo ja myślę, że to świetny pomysł. Co on tam wiedział. Tak naprawdę potwornie

bałam się motocykli, i to od zawsze. Były hałaśliwe i niebezpieczne, a tato opowiadał mnóstwo historii o ludziach po strasznych wypadkach motocyklowych; widział ich na oddziale ratunkowym. Ale mój strach -ten prawdziwy strach - brał się skądinąd. Z miejsca bardzo głęboko. Nie zamierzałam mówić o tym Patrickowi, ale bałam się motocykli dlatego, że odkąd pamiętam, miewałam potworny, nawracający koszmar, w którym jechałam na tylnym siedzeniu motoru - z twarzą i rękami uniesionymi do cudownie błękitnego, spokojnego nieba -

i nagle trach, wszystko się zmieniało. Niebo ciemniało. Zrywał się wiatr. Czułam, że kierowca traci panowanie. A potem słyszałam pisk opon i odgłos miażdżo-

nego metalu. Czułam, jak wrywa mnie z siodełka, jak lecę przez buchający dym i żar, aż nagle, w ostatniej chwili, otwierałam oczy i budziłam się, z trudem chwytając powietrze. Tak po prostu.

Za każdym razem było tak samo. Zawsze to uczucie: zero kontroli, zero grawitacji, zero szans przeżycia. A najdziwniejsze - poza tym, że nigdy w życiu nawet nie dotknęłam motocykla - że ten koszmar zawsze śnił mi się dokładnie tego samego dnia roku: czwartego lipca.

Czasami zapach dymu i płonącej benzyny prześladował mnie przez cały dzień, nawet kiedy oglądałam fajerwerki.

Ale moja głupia fobia nie miała już znaczenia. Bo cokolwiek się wydarzy, nie da się umrzeć dwukrotnie. Innymi słowy, nie miałam już nic do stracenia.

- Proszę cię - powiedziałam. - Jedna mała przejażdżka.
- Która litera w słowie „nie” jest dla ciebie niezrozumiała?
- Mama ci nie mówiła, że dziewczynom się nie odmawia?
- Moment. Właśnie się przejechałaś po mojej matce?
- Może tak, a może nie.

Uśmiechnął się i wiedziałam, że wygrałam.

- Na pewno się nie boisz? Kiwnęłam głową.

Kłamczucha, kłamczucha. Przyjrzał mi się z troską.

- I odezwiesz się do mnie jeszcze, jeśli się wystraszysz?

- Nie.

- Nie odezwiesz?

- Nie. Nie wystraszę się.

Ostatecznie wyszło na moje. Nie wystraszyłam się. Byłam zachwycona.

To było najbardziej niesamowite uczucie pod słońcem. Nawet lepsze niż przypływ absolutnego spokoju i absolutnego uniesienia, jaki zawsze czułam w pierwszej milisekundzie po skoku z wysokiej wieży. W chwili, kiedy zdajesz sobie sprawę, czym jest wolność.

Okazało się, że za znajomymi drzwiami pizzerii czekał na mnie cały świat - tak jak obiecał Patrick -świat złożony ze wspomnień i snów. Niektóre z nich należały do mnie, niektóre nie. Zapachy były bardziej pachnące. Kolory bardziej kolorowe. Czekolada bardziej czekoladowa. Dni były dłuższe, a noce pełne gwiazdnego blasku, jakiego nigdy sobie nie wyobrażałam.

To wszystko jakby wynurzyło się z książki pod tytułem *Wybierz własną przygodę*. Spałam, kiedy byłam zmęczona (okazało się, że boksy w pizzerii są całkiem wygodne), jadłam, kiedy byłam głodna, a odpuszczałam sobie, kiedy miałam na to ochotę. Przy tej samej ulicy było kino, w którym puszczali tylko moje ulubione filmy: *Kiedy Harry poznał Sally*, *Bezszenność*

w *Seattle*, *Masz wiadomość*, *Across the Universel* (oj, nie osądzajcie mnie) *Piękną i Bestię*. W pobliżu był nawet aquapark z mnóstwem różnych zjeżdżalni i gigantycznym basenem z falami, i z niesamowitą leniwą rzeką, w której mogłam przez cały dzień drzemać na własnej dętce, dryfując na słońcu.

Ale prawdziwa zabawa zaczęła się, kiedy się nauczyłam, jak wypowiadać życzenia. Mówię o prawdziwych życzeniach, które się spełniają. Takich, kiedy zaciskasz powieki i wyobrażasz sobie niewiarygodnie doskonałą plażę i niewiarygodnie doskonały hamak, a kiedy otwierasz oczy, widzisz je przed sobą. Zażyczyłam sobie wietnamskiej świnki. Zażyczyłam sobie konnej przejażdżki po zielonych trawiastych łąkach i noclegu pod gwiazdami. Zażyczyłam sobie nawet, żeby Patrick nauczył mnie surfować - zabawne, biorąc pod uwagę, że ze wszystkich chłopaków na świecie on chyba najmniej przypomina surfera. Siedzieliśmy na deskach o świcie i patrzyliśmy, jak wstaje słońce, złociste, doskonale i spokojne.

Najlepsze, że każde życzenie się spełniało. I każde okazywało się lepsze niż poprzednie. Nie było żadnych zmartwień. Nie było problemów ani koszmarów, kłopotów ani lęków. To w ogóle nie było prawdziwe życie.

Było lepsze.

Aż nagle, któregoś ranka w połowie śniadania - które tym razem składało się z mlecznego shakea z oreosami - Patrick zadał mi pytanie, które wszystko zmieniło.

- To jak, chcesz się na nim odegrać?

Przerwałam siorbanie shakea. Spojrzałam na Patricka.

- O czym mówisz? Na kim się odegrać? Jęknął i padł na stół.

- Serio, Kleopatro? Naprawdę już zapomniałaś? He? Co mam niby pamiętać? I dlaczego nazywa

mnie Kleopatram?

Plasnął się w czoło, kiedy nie odpowiedziałam.

- Moja droga, ciągle mnie zadziwiasz.

- Dlaczego?

Wyciągnął rękę i złapał mojego shakea.

- Mała, to faza pierwsza w najgorszej postaci. Serio, najgorszej. Na szczęście jesteś urocza, kiedy tak wszystko wypierasz. - Pociągnął łyk przez słomkę. - Och, pyszne.

- Hej! - Pacnęłam go ręką. - Weź sobie własny! - Spojrzałam na jego strój, co mi się zdarzało od czasu do czasu, i uśmiechnęłam się wbrew sobie.

Przyłapał mnie na tym.

- Co cię tak bawi?

- Nic. - Pokręciłam głową. - Nieważne.

- Nie. - Nagle bardzo się zainteresował. - Powiedz. Przygryzłam wargę.

- Chodzi o tę, hm, kurtkę. Spojrzał w dół.

- Co z nią nie tak?

- Och, nic. - Stłumiłam chichot. - Jeśli jesteś pilotem myśliwca. I jeśli jest rok 1982.

Opadła mu szczeka.

- Jesteś okropna. A poza tym nie zamierzam przyjmować modowych wskazówek od dziewczyny ubranej w wielki worek po ziemniakach.

Uśmiechnęłam się złośliwie.

- Jesteś po prostu zazdrosny, bo kupiłam ją w Sacks Fifth Avenue*.

- Rany. To było wredne, Cheeto. Naprawdę wredne. - Pokręcił głową. - Ale wróćmy do tego, o czym mówiłem, zanim zaczęłaś się bawić w modową policję. Słowa „odegrać się” coś ci mówią?

Milczałam przez moment.

- Masz na myśli zemstę?

- Bystrzak z ciebie, Serowa Kulko.

- Dobra, dość tych serowych docinków - oznajmiłam. - O co chodzi z tą zemstą?

- No więc - odparł z szerokim uśmiechem. - Pomyślałem, że może chciałabyś się trochę zabawić.

- A na kim to, jeśli wolno spytać, będziemy się mścić?

- Och, no wiesz, na przystojniaczku - odparł Patrick. - Na superciachu. Jak mu tam. - Jego ton był drwiący. Prześmiewczy. Denerwujący.

- He? - spytałam, krzywiąc się. - Na kim?

- Czeka, już mam - powiedział. - Jason? Co?

- Kurde, to nie to - wymamrotał. - Jonah? Zaraz.

- Jeremy?

* Znana firma odzieżowa. Gra słów: *Sacks* (ang.): worki.

O Jezu.

- Do szalu mnie to...

- Jacob - szepnęłam. Ścisnęło mi się gardło, a znajomy ból, ten, o którym już prawie całkiem zapomniałam, powoli zakradł się z powrotem.

- Właśnie! - Patrick pstryknął palcami i odchylił się na siedzeniu. - Dzięki Bogu, że sobie przypomniałaś, Brie. Słowo daję, nie zasnąłbym przez to całą noc.

Byłam zbyt ogłuszona, żeby zwracać uwagę na jego sarkazm. Jacob.

Nie myślałam o nim od wieków. Położyłam dłoń na sercu. Milczało jak grób.

- Chyba zasługuje na mały rewanż, nie uważasz? - spytał Patrick.

Twarz Jacoba rozbłysła w mojej głowie. Jego oczy. Jego ręce. Jego usta. Pocałunki. Jego słowa. Ostatnie słowa, jakie usłyszałam w życiu.

Nie.

Kocham. Cię.

Zimny dreszcz przemknął mi po plecach.

- Hej. - Patrick pochylił się do przodu i dźgnął mnie palcem w przedramię. - Dobrze się czujesz?

- Jak długo...? - Potknęłam się o te słowa, kiedy rzeczywistość zaczęła do mnie docierać. - Jak długo tu jestem?

Uniósł ręce i zaczął w milczeniu liczyć na palcach.

- Według moich niepodważalnych, naukowych obliczeń... siedemnaście dni.

Tylko?

Patrick odczytał wyraz mojej twarzy.

- Wydaje się, że dłużej, prawda? - Przeczesał dłońmi ciemne włosy. - Ja też się tak czułem.

Zaraz po tym, jak tu trafiłem.

Poczułam nagle mdłości. Siedemnaście dni.

- Co mi przypomniało, skoro już policzyłem -chwycił wielki i stary kowbojski kapelusz z półki nad nami i założył go na głowę - wesołego Halloween! Jiii-ha!

Halloween?

- Ale jeśli to prawda - szepnęłam - to jutro są moje...

- Urodziny? - Patrick dokończył za mnie. - Wiem. Wszystkiego najlepszego z okazji prawie szesnastych urodzin.

Niewiarygodne. Jakimś cudem całkowicie straciłam poczucie czasu. Straciłam z oczu moją rodzinę. Przyjaciół. Mój świat.

Jak mogłam zapomnieć o całym moim świecie?

W koniuszkach palców poczułam lekkie klucie. Dziwne mrowienie. Iskierka elektryczności strzeliła mi na karku, tuż pod włosami.

Jacob.

To on był powodem. On mi to zrobił. To jego wina. Wszystko. Więcej niż wszystko.

Powoli zaczęło narastać we mnie dawne uczucie. Coś, czego nie doświadczałam od dłuższego czasu.

Nie byłam smutna. Nie byłam samotna. Byłam wściekła.

- No więc? - spytał Patrick.

Spojrzałam w oczy temu rozczochranemu aniołowi stróżowi, siedzącemu naprzeciw mnie, i po raz pierwszy to ja jemu posłałam złośliwy uśmiezek.

- Już po nim.

Yeah I'm Free, Free Fallin

Hej, Serwatka, możesz już otworzyć oczy.

- Hm, wiesz co? Chyba wolę mieć zamknięte.

- Oj, przestań. Widok jest obłądny. Spójrz w dół.

- Jestem pewna, że powinieneś powiedzieć „nie patrz w dół”.

- Spokojnie. - Roześmiał się. - Jestem przy tobie. Nie puszczę cię.

Mimo starań Patricka, żeby mnie uspokoić, nie potrafiłam się zmusić i otworzyć oczy.

Niestety, miałam się przekonać, że jedyny sposób, by powrócić na ziemię - do żywego, oddychającego świata - to spaść na nią z powrotem. Z bardzo, bardzo wysoka.

- Dzięki - powiedziałam. - To bardzo pocieszające. Hm, albo i nie.

- Nie sądzisz, że odrobinę przesadzasz?

- A ty nie sądzisz, że ta kurtka jest odrobinę niemodna?

* *O tak, spadam, spadam swobodnie.*

- Przestań, przecież jesteś jakąś olimpijską sportsmenką, czy czymś. - Zaśmiał się. - Pomyśl o tym jak o bardzo wysokiej wieży do skoków.

Roześmiałam się na całe gardło.

- Ta, jasne. To absolutnie nie to samo. — Ale nie mogłam zaprzeczyć, że jestem ciekawa. Wzięłam głęboki oddech, czując, jak wiatr szarpie mi włosy na wszystkie strony. Wreszcie zebrałam się na odwagę i otworzyłam oczy. A kiedy to zrobiłam, o mało nie zemdlałam. Staliśmy na szczycie świata.

Jakimś sposobem, tak szybko, że ledwie zdążyłam odetchnąć, Patrick porwał mnie wysoko w chmury, na najwyższy punkt mostu Golden Gate - platformę na północnym pylonie, niemal trzysta metrów nad wzburzonym, skotłowanym Pacyfikiem. Słońce zachodziło nad zatoką, nad łagodnymi wzgórzami fal, pod złotym niebem z mglistymi pasmami lawendy. Gruba kołdra mgły rozciągała się we wszystkich kierunkach; wśród tej mgły po drugiej stronie zatoki przebłyskiwały fragmenty San Francisco, rozmigotane jak zaczarowane wesołe miasteczko. Jeszcze dalej wczesne gwiazdy zaczynały obsypywać skraj nieba.

- Boże święty.

- Hm, czemu nie.

- To jest po prostu... niewiarygodne. Uśmiechnął się.

- Mówiłem ci. - Światło padło na jego twarz i przez chwilę jego oczy wydawały się zielone, rozpalone kalifornijskim zachodem słońca.

Okej, w porządku. Byłam gotowa to przyznać. Patrick był przystojny. Nie w stylu długowłosego, miękkiego jak najlepszy polar Jacoba. W nim było trochę z twardziela, trochę z Jamesa Deana, trochę z gościa, który nie musi się starać, żeby być przystojniakiem.

Zrobił krok w stronę krawędzi i ugiął kolana, jakby chciał dać nura w przestrzeń.

- Wyzywasz mnie?

- Boże! - Wyciągnęłam rękę, chwyciłam go za kurtkę i pociągnęłam do tyłu. - Nie rób sobie takich żartów!

- Proszę cię. - Wyszczrzył zęby. - Mów mi Patrick.

Pokręciłam głową i jęknęłam.

- Rany, zaczynam myśleć, że mój młodszy brat jest dojrzały od ciebie. A ma osiem lat.

- Osiem to i tak lepiej, niż zwykle mi dają. Ale mniejsza z tym, jesteś gotowa?

Zignorowałam go. Miałam w nosie, jaki jest przystojny i jak jego głupie oczy błyszczą w świetle słońca. Nie było takiej rzeczy w niebie i na ziemi, która zmusiłaby mnie do skoku z tego mostu.

Za żadne skarby.

- Jakim cudem w ogóle się tu znaleźliśmy? - spytałam, rozglądając się za zejściem.

- Śmignęliśmy.

- Śmignęliśmy? - Posłałam mu wściekłe spojrzenie. - Co to ma być, animacja komputerowa?

- Chyba ktoś tu oglądał za dużo Disneya.

- Nie ma takiego zjawiska jak „za dużo Disneya” mruknełam, starając się nie zemdleć albo nie zwymiotować, albo nie zemdleć i zwymiotować jednocześnie. Było naprawdę źle. Zęby zaczęły mi dzwonić. Słyszałam i czułam pomruk mostu wibrującego pode mną. Zgrzytająca stal, gigantyczne skręcone liny i echo głębokiego, przerażającego oceanu gdzieś niewiarygodnie daleko w dole. Wysokość przerastała moje pojęcie. Skok do wody z dziesięciometrowej platformy na treningu po szkole - nie ma sprawy, ale ten skok bardziej przypominał skok z Księżyca.

Albo z innego układu słonecznego.

Uklękałam, nakazując sobie spokój. Owszem, byłam mistrzynią skoków, ale w głowie mi się kręciło, kiedy wyobrażałam sobie, jak ześlizguję się, spadam i uderzam w zatokę San Francisco z przyspieszeniem ziemskim, a potem trafiam prosto w szczęki wielkiego żarłacza białego.

- Wiesz co - burknełam - szkoda, że mi nie wyjaśniłeś, o co chodzi z tym skokiem z mostu, zanim mnie tu zaciągnąłeś. Bo na pewno bym się nie zgodziła.

- No cóż - odparł Patrick. - Szkoda, że ty nie zajrzałaś do rozdziału szóstego *Ś.P.* I dwunastego, *Śmigaj na poważnie*. Tam jest wszystko napisane, Cheeto, czarno na białym. Może ktoś powinien był odrobić pracę domową.

- Rety, dzięki, tatusiu. - Nie podobał mi się ten wykład. Nawet jeśli w głębi duszy wiedziałam, że Patrick ma rację. Gdybym nie zignorowała tej głupiej

książeczki dla zmarłych debili, którą dał mi w Kawałku, może znalazłabym sposób i skontaktowała się z kimś, kto naprawdę miał tu jakąś władzę. Z kimś, kto by mnie wysłuchał i dał sobie wyjaśnić, że zaszła straszna pomyłka.

Nie powinnam tu być. Nie powinnam była umrzeć. Nie tak młodo. I nie w taki sposób. Patrick roześmiał się głośno.

- Pamiętasz, jak ci mówiłem, że będzie sprawdzian? - Wstał i rozłożył ręce. - No więc, niespodzianka! Oto i on! - Zauważył panikę na mojej twarzy. - Nie martw się. Za pierwszym razem to przerażające, wiem, ale potem robi się łatwiej. A niedługo... - oczy mu zabłyśły - będziesz mieć z tego frajdę.

- Nie dam rady. Nie mogę, nie mogę, nie mogę.

- *Crede quod habes, et habes.*

- Po jakiemu ty gadasz, kujonie? Uśmiechnął się.

- Po łacinie. Uwierz, że masz, a będziesz miał! Jego ton był lekki. Wręcz psotny. I jak zwykle

w niczym mi to nie pomagało.

- Na dziesięć.

- Okej, na dziesięć. Zabawna z ciebie dziewczyna, Aubrie Eagan.

- Mam na imię Brie.

- Raz... Dwa... Trzy...

- Czekaaj, czekaaj, nie licz tak szybko...

- Cztery.

- Nie, serio, stop...

- Pięć...

- Powiedziałam, że nie jestem... - Kolana zaczęły mi mięknąć, a wszystko wokół przybrało ten okropny, obrzydliwy odcień zieleni, który oznacza, że zemdlejesz za jakieś dwie sekundy. Huk oceanu w dole pomieszany z rykiem ruchu samochodowego sprawiał, że żołądek mi się wywracał.

- Hej, dobrze się czujesz? - Patrick przysunął się bliżej. - Jesteś jakaś, hm, blada.

- Nic mi nie jest - skłamałam, z desperacją czepiając się stali. - Nigdy nie czułam się lepiej.

- Spróbowałam odgarnąć włosy z twarzy. Przy wyjąłym wietrze niewiele mi z tego przyszło. Równie dobrze mogliśmy stać na szczycie Mount Everestu. - Czyli co, to jest jakaś twoja wizja idealnego nieba?

Spojrzał mi w oczy.

- Teraz już tak.

Poczułam, że się rumienię, chociaż mdliło mnie ze strachu. Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć, więc zdecydowałam się na bodaj najbardziej obciachowe zdanie świata.

- No więc, hm... często tu przychodzisz?

O mój Boże, nie powiedziałam tego. Kto mówi takie rzeczy?

- Przychodzę tu za każdym razem, kiedy potrzebuję pomyśleć albo przewietrzyć głowę. -

Urwał na chwilę. - Albo kiedy całe to czekanie zaczyna mi działać na nerwy.

- Czekanie? A na co ty czekasz?

Wahał się chwilę, patrząc na góry.

- Na kogoś bliskiego. Zdaje się, że czekam na kogoś bliskiego.

Światło znów się przesunęło, rzucając pasek blasku na jego lewy nadgarstek. Przez sekundę nie mogłam oderwać wzroku od jego blizny. Właściwie nigdy nie zauważyłam, jaka jest straszna, bo zwykle zakrywała ją kurtka. Ale teraz, przy tym ukośnym świetle i przy lekko podciągniętych rękawach, nareszcie mogłam się lepiej przyjrzeć. Dopiero teraz zauważyłam, jaka jest poszarpana i głęboka. Jakby ktoś pociął mu rękę szkłem.

Cokolwiek go spotkało, nie było to nic dobrego.

Wtedy dotarło do mnie, że choć wie o mnie bardzo dużo, ja wiem o nim naprawdę niewiele. Nie wiedziałam, skąd pochodzi. Kim był. Nie wiedziałam, jak skończyło się jego życie, choć na myśl, że mogłabym się dowiedzieć, zrobiło mi się trochę słabo.

Patrick zauważył, że się gapię. Poprawił kurtkę na ramionach i obciągnął rękawy tak daleko, jak się dało.

- Co ci się stało? - Ledwie te słowa wyszły z moich ust, pożałowałam, że nie ugryzłam się w język.

- Wypadek na motorze - powiedział. - Jechałem trochę za szybko. Nic wielkiego.

Tak jak mówił tato. Motocykle są strasznie niebezpieczne.

Spojrzałam na własne stopy.

- Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Już to przetrawiłem. To było dawno temu.

Nagle znikąd uderzył w nas podmuch wiatru, zaskakując mnie. Kiedy mną szarpnęło, krzyknęłam cicho, gorączkowo szukając czegoś, czego mogłabym się chwycić. Tylko że nie miałam czego.

- Okej, oficjalnie zmieniłam zdanie - oznajmiłam. - Chyba jednak przełożymy tę zemstę na później. Mamy mnóstwo czasu, żeby się odegrać na tym... jak mu tam. Po co się spieszyć?

- Powoli, ostrożnie oparłam plecy o metalową kratownicę, próbując się rozluźnić i myśleć o dobrych, radosnych rzeczach, jak kakaowe płatki śniadaniowe. Sobotnie poranki.

Pozostanie przy życiu. - No więc, odwołuję wszystko. Nie chcę tego robić. Nie dzisiaj.

Chciałabym wrócić do Kawałka, jeśli mogę cię prosić.

- Bardzo mi przykro - krzyknął Patrick, zagłuszany przez wiatr - ale jest pewien problem. -

Przysunął się bliżej; siedział teraz tuż przy mnie.

- Jak to, problem? - Czułam, jak most buja się pode mną.

Oddychaj, Brie. Oddychaj.

- Rzecz w tym, że ci się to nie spodoba.

- Gadaj.

- No więc...

- Gadaj wreszcie.

- Jest tylko jedna, hm, droga na dół.

Gapiałam się na niego przez parę sekund, po czym wybuchnęłam śmiechem.

- Och, jasne! Ktoś ci już mówił, że jesteś przezabawny?

Nie uśmiechał się.

- Masz pecha - powiedział tonem winowajcy - bo nie żartuję.

Przestałam się śmiać.

- Zaraz. Co?

- Niestety.

- Nie.

- Nie broń się przed tym.

- Będę się bronić przed tobą.

- Weź mnie za rękę. - Spróbował chwycić moją dłoń.

- Nie!

- Brie, nie masz wyjścia.

- Bo co?

- Bo będziesz tu marznąć bardzo długo. A poza tym przecież chcesz pokazać twojemu byłemu. I szczerze mówiąc... - uśmiechnął się szeroko - ja też chcę.

- Tak, tak, jasne, że chcę, na pewno. Tylko jeszcze nie teraz - zaczęłam błagać. Gdybym miała serce, biłoby w mojej piersi jak szalone. - Nie mogę - powiedziałam. - Nie że nigdy. Po prostu nie dzisiaj. - Miałam nadzieję, że słyszy nutkę paniki w moim głosie. - Patrick, proszę cię. Po prostu wyśmigaj nas stąd, czy co tam chcesz. Zabierz mnie z powrotem do Kawałka.

Bum-grzmot-szszuu huczał w dole ocean.

- Przykro mi, Serniczku. - Pokręcił głową. - Po prostu się nie da. Wiedziałaabyś o tym, gdybyś przeczytała *Ś.P.* A poza tym nie kupuję twoich wymówek.

- Tak? A to czemu? - warknęłam.

Nie zadzieraj ze mną, ty obdarty aniele, bo cię zniszczę.

- Boisz się. - Ruchem głowy wskazał krawędź. - Ale pora wyfrunąć z gniazda, ptaszku.

Pora skoczyć na głęboką wodę.

O mój Boże, on mówi serio.

- Nie martw się, będę z tobą przez całą drogę. - Wyszczrzył zęby. - Ty spadasz, ja spadam.

Odsunęłam się od niego o krok.

- Nie zbliżaj się do mnie.

- Weź mnie za rękę.

- Patrick, nie żartuję. Wbił spojrzenie w moje oczy.

- Weź mnie za rękę.

Zanim zdążyłam zaprotestować, chwycił mnie w ramiona i zamknął w uścisku.

- Nie! Przestań!

- Otwórz oczy - szepnął zza moich pleców. Pokręciłam przecząco głową, próbując wyrwać się

z jego objęć.

- No już. Naprawdę nie powinnaś tego przegapić.

- Mama ci nie mówiła, że nie straszy się dziewczyn? - Kończyły mi się dowcipne odzywki.

Zresztą nigdy nie miałam nic w zapasie.

- Palce stóp na krawędź.

- Zabiję cię.

- Trochę na to za późno, aniołku. - Jego wargi były tuż przy moim uchu. - Spójrz w dół.

Próbowałam się wyrywać, ale nic mi z tego nie przychodziło. Był o wiele za silny. Więc krzyknęłam i zmusiłam się, żeby spojrzeć.

Och, błąd, ogromny błąd.

Przede mną nie było nic oprócz powietrza. Nic oprócz gigantycznej, zabójczej, lodowatej, bezdennej zatoki San Francisco, gotowej połknąć mnie i roztrzaskać na tysiąc kawałków.

Boże, byliśmy o wiele wyżej, niż mi się zdawało.

Cztery centymetry.

Wcisnęłam się w Patricka.

- Nie, nie, nie, nie, nie. Dwa centymetry.

Znów zaczęłam się szamotać. Centymetr.

Chciałam się obudzić. Chciałam się obudzić w tej cholernej chwili. Jedyne problem z tym scenariuszem? To nie był żaden koszmarny sen. Pobudka nie wchodziła w grę.

Czułam, jak moje baletki ślizgają się odrobinę na metalowej kratownicy. Czułam, jak wiatr całuje mnie w policzek.

- Błagam - zaskomlałam, czepiając się kurtki Patricka. - Nie rób tego.

- Nie bój się - szepnął. I popchnął mnie.

Send Me an Angel

Cheddar?

- Jeszcze pięć minut. Nie chce mi się wstawać.
- Zabawne, to samo mówiłaś pięć minut temu.
- Ale tym razem naprawdę.
- Niezła próba, aniołku, ale nic z tego.
- Nie jesteś moim szefem.
- Jak sobie życzysz.

Wiadro lodowatej wody chlusnęło mi w twarz. Gwałtownie otworzyłam oczy.

- Co jest, do...
- Pobudka, słoneczko - zaśpiewał Patrick.
- Boże, zamorduję cię! - Zerwałam się na równe nogi i spróbowałam go chwycić, ale był o wiele za szybki.

Zacmokał z dezaprobatą.

- A ty znowu swoje z tym mordowaniem. Tyle skumulowanej agresji. Chyba musimy ci poszukać dobrego psychologa.

** Przyślij mi anioła.*

Dyszałam głośno przemoczona do nitki. Klapnęłam z powrotem na ziemię i przetałam oczy. Cała pokryłam się gęsią skórą.

- Chcesz moją kurtkę? - zaproponował Patrick.

- W ogóle się do mnie nie odzywaj - odparłam. - Jesteś wcieleniem zła i musisz zostać unicestwiony. - Moje oczy wreszcie złapały ostrość i zobaczyłam, że jest tuż po zmroku. Niebo miało kolor lawendowego jedwabiu, zabarwionego na brzegach czernią, błękitem i żółcieniem, jak wyblakły siniak. Ze wszystkich stron szczyły się na nas świecące lampiony z dyni, a filujące latarnie uliczne sączyły dziwną, złotą poświatę, zalewając szeregi domów.

- Przysmak albo psikus - rzekł Patrick. Podskoczył i chwycił potężny konar drzewa nad głową. Podciągnął się.

- Psikus - odparłam, zauważając znajomą huśtawkę na werandzie po drugiej stronie ulicy. Czerwone drzwi. Biały tynk. Ocieniony drzewami podjazd, na którym parkowałam rower prawie każdego dnia po szkole. - Z całą pewnością psikus.

- Zła odpowiedź - burknął. - Za karę pięć mini-snickersów i trzy małe torebki M&M'sów z orzechami. - Puścił konar i z głuchym tupnięciem wylądował na ziemi. - Rany. Wyszedłem z wprawy.

Ale go nie słyszałam. Byłam bardzo zajęta powstrzymaniem się, żeby nie wymiotować.

Dom Jacoba. Siedzieliśmy po drugiej stronie ulicy od domu Jacoba.

Jak? Jak to możliwe?

Chociaż intensywnie zwiedzałam okolicę z Patrickiem, nigdy nie udało mi się znaleźć drogi do tego miejsca. W moim kawałku nieba wszystko było lekko zmienione i poprzesuwane; różnił się od starego świata. Drogi nie biegly dokładnie tak, jak pamiętałam. Nie zgadzały się nazwy ulic. Brakowało fragmentów.

Ważnych fragmentów.

Mojego domu nie było tam, gdzie powinien. Szkoła była starsza, bardziej zaniedbana. Brakowało nawet domu Jacoba, jakby ktoś przeczesał moje wspomnienia i celowo namieszał we wszystkim, co miało dla mnie znaczenie, kiedy żyłam.

Po jakimś czasie po prostu przestałam szukać tych miejsc. Chyba zapomniałam, czego szukam.

Ale teraz, czary-mary, byliśmy tutaj, z powrotem w prawdziwym świecie. Głowa bolała mnie, jakbym ocknęła się po potężnym wstrząsie mózgu.

Odwrociłam się do Patricka.

- Gdzie jesteśmy? Co się stało?

- Masz na myśli oszołomienie i ból głowy? Przejdzie, nie martw się.

- Nie to. Ty i ja. Tu. Teraz. Wytłumacz.

- Z przyjemnością. - Skłonił się lekko. - Otóż, to był twój pierwszy upadek z nieba. Mam nadzieję, że miałaś przyjemny lot i pomyślisz o nas, jak w przyszłości będziesz planować podróż. Życzymy miłego pobytu na Ziemi, czy gdzie się wybierasz.

- Upadek z nieba? - spytałam. - Mówiłeś o skoku.

Patrick uśmiechnął się promiennie.

- No cóż, niektórzy skaczą, niektórzy lecą jak kłoda. Założyłam ręce na piersi. Nie zamierzałam odpuścić tak łatwo.

- No dobra, dobra, przepraszam - powiedział Patrick. - To prawda, że pierwszy upadek to mocne przeżycie. Ale z czasem robi się łatwiej. Teraz wreszcie możemy się naprawdę zabawić. A niewiele jest na świecie rzeczy sprawiających mi większą frajdę niż dokuczanie tym, którzy sobie na to zasłużyli.

Ale on przecież nie chciał. Nic nie mogłam poradzić na to, że tak myślałam. Może zranił mnie dlatego, że bał się, że ja zranię go pierwsza.

Nagle głębokie, łomoczące basy pomieszane ze śmiechem, krzykami i odgłosami świetnej zabawy wybuchły po drugiej stronie ulicy. Patrzyłam, jak ciała przesuwają się w oknach w tę i z powrotem w przyćmionym świetle. Tańczyli.

Patrick wykonał zapraszający gest.

- To jak, chcesz iść na imprezę? Nagle zrobiłam się nerwowa.

- Ale... ale nie byłam zaproszona.

- Dziewczyno. - Spojrzał na mnie surowo. - Idziemy tam. Odstawiłem się i w ogóle.

- Hm. Nie bardzo.

Zrobił minę, jakbym śmiertelnie go obraziła.

- Całe tygodnie szykowałem ten kostium.

- Tak? I niby kim jesteś? Źle ostrzyżonym pajacem z lat osiemdziesiątych?

- To było wredne.

Kilkoro dzieci - prawdziwych dzieci - poprzebieranych od stóp do głów, przeszło podjazdem. Patrick parsknął na widok chłopca mniej więcej w wieku Jacka, przebranego za jaszczurkę.

- Hej, Smoku - zażartował. - Jak tam twoja zgaga? Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu. Ta cała

sytuacja była tak zwariowana, że wręcz niewiarygodna. Oto my, dwójka młodych umarłaków, za chwilę mieliśmy się wbić nieproszeni na halloweenową imprezę u mojego byłego chłopaka. Trudno mi było to ogarnąć. Nie odrywałam wzroku od domu po drugiej stronie ulicy. Zobaczę go. Nareszcie znów go zobaczę.

- Chwileczkę - powiedział Patrick, spoglądając na mnie z niepokojem. - Tak po zastanowieniu, może miałaś już dość zabawy jak na jeden dzień. - Wstał z ziemi; jego ton się zmienił. - Proszę, powiedz mi, że nie zapomniałaś, po co tu jesteśmy. To ma być zemsta. Nie druga szansa. Okej?

Patrzyłam na niego i nie odpowiadałam.

- Mówię poważnie.

- Okej, okej, załapałam.

- Nie. - Pokręcił głową. - Muszę usłyszeć, jak to mówisz. Powiedz mi, po co tu jesteśmy.

- Żeby się na nim odegrać - wymamrotałam.

- Nie słyszę cię.

- Żeby się na nim odegrać - powtórzyłam, tym razem trochę głośniej.

- Natychmiast zabieram cię do Kawałka...

- Żeby się na nim odegrać!

- Okej. - Chyba był usatysfakcjonowany. - Uznaję. Będę twoim partnerem. Chociaż twój kostium nie jest zbyt oryginalny.

Przewróciłam oczami.

- Masz szczęście, że w ogóle chcę się z tobą pokazać po tym, jak mnie zepchnąłeś z cholernego mostu Golden Gate.

- „Zepchnąłeś” to lekka przesada.

Chciałam go palnąć, ale się uchylił. Kurczę, był szybki.

- Cofam to, co powiedziałem - oznajmił. - Będę twoim antypartnerem. Ale nic poza tym. Więc nie miej żadnych głupich pomysłów.

- Na przykład jakich?

- Na przykład nie bądź zazdrosna, jak wszystkie dziewczyny na imprezie zechcą się ze mną całować. Parsknęłam drwiąco.

- Chyba śniesz, kochanie. Zatrzymał się.

- Hej, powiedziałaś do mnie „kochanie”?

- Hm, nie za bardzo sobie pochlebiasz?

- O rany. - Oczy mu zabłyśły. - Naprawdę chcesz się ze mną całować, tak?

- Że co?! - Walnęłam go pięścią w ramię tak mocno, jak umiałam. - Śnij dalej, panie Rozdęte Ego. Ha. A masz.

Patrick zignorował moją genialną ripostę i błysnął swoim popisowym uśmiechem. Nagle poczułam, że

ziemia lekko drży pod moimi stopami, a jego głos zabrzmiał mi w głowie choć Patrick nie otworzył ust.

Nigdy nie mów nigdy, aniołku. Zawsze jest ten pierwszy raz.

*It's In His Kiss**

Kiedy ktoś ci się podoba - tak naprawdę podoba -zawsze najważniejsze są te pierwsze razy. Pierwsze spojrzenie. Pierwszy uśmiech. Pierwszy taniec. Pierwszy pocałunek.

Mój pierwszy pocałunek nie był z Jacobem Fischerem.

Technicznie rzecz biorąc, był z Mattem Thompsonem - supergłębem, którego poznałam na letnim obozie, jak miałam dwanaście lat. Matt i ja chodziliśmy ze sobą jakieś trzydzieści siedem minut, w czasie lunchu Poprosił mnie o pocałunek przez całą stołówkę, z odległości dziesięciu stolików. Jego kumpel Alex Grant poprosił swojego kumpla Charliego Frazera, żeby poprosił swoją kumpele Angelę Bell, żeby poprosiła swoją kumpele Rachel Goldman, żeby spytała moja kumpele Zoe Michaelson, czy Matt mi się podoba. Nie zamieniam z gościem ani słowa, ale cały mój domek dostał

** To jest w jego pocałunku.*

świra, bo była to najbardziej romantyczna rzecz, jaka przydarzyła się którejkolwiek z nas, więc oczywiście musiałam powiedzieć tak.

Ale zanim przyszła pora na deser, zdałam sobie sprawę, że jestem o wiele za młoda, żeby wiązać się z jednym mężczyzną. Więc pozwoliłam Mattowi całować się przez jakieś dwie sekundy za dystrybutorem mrożonego jogurtu - w aparacie ortodontycznym utkwiał mu wielki kawał cheeseburgera - a potem natychmiast powiedziałam mu, że z nami koniec. Nie był to najwspanialszy epizod w moim życiu.

Ale nie martwcie się. Drugi pocałunek mi to wynagrodził.

Z nawiązką.

Ten pocałunek należał do Jacoba. Był to pocałunek, który mogłabym wspominać raz za razem, i jeszcze raz, i nigdy nie mieć dość. Szczerze mówiąc, właśnie tak spędziłam całutki trzy dni w Kawałku, zaraz po przyjeździe. Wspominając ten pocałunek. W niebie fajne jest to, że można przeżywać wszystkie swoje ulubione chwile i wspomnienia dosłownie tyle razy, ile chcesz - jakby oglądać DVD z całego swojego życia. Pauza, wstecz, szybki podgląd, baaardzo zwolnione tempo, i tak cały dzień, co dzień.

Przeżywałam mój pierwszy pocałunek z Jacobem tyle razy, że nawet nie warto liczyć. Łatwo mi odnaleźć to wspomnienie, bo wszystko wydarzyło się wieczorem w moje piętnaste urodziny. W dziesiątej klasie. Na jesiennym balu Liceum Pacific Crest.

Emma, Sadie, Tess i ja strasznie się nakręciłyśmy, bo był to pierwszy oficjalny bal w naszej szkolnej karierze. Na temat przewodni wybrano lata osiemdziesiąte - lepiej już być nie mogło. Po szkole wszystkie poszłyśmy na zakupy do Luny (mojego ulubionego butik) i kupiłyśmy sobie cudne sukienki. Ja wybrałam czarną rurkę, trochę błyszczącą, ze złotymi wzorkami na dole. Potem wybrałyśmy się na pedikiur i wróciłyśmy do mnie na urodzinową kolację. Tato ugotował moje ulubione, sławne na cały świat specjalne spaghetti. W końcu popędziłyśmy na górę, do mojego pokoju, żeby przygotować się do imprezy. To miał być najlepszy wieczór świata.

Mama zawiozła nas do szkoły o wpół do dziewiątej. Pognałyśmy przez trawnik w stronę auli, bosy, chichocząc jak wariatki (tej samej auli, w której urządzili moje pożegnanie. Tak tylko wspominam, nie żebym chciała was dołować). Nie miałyśmy par, ale Tess była przekonana, że „książę” Erie, do którego wzdychała latami, wreszcie się z nią umówi, a Emma uknuła u mnie w domu szczegółowy plan, jak sprawić, żeby nowy vel Gwiazda Piłki, Nate Lee, zatańczył z nią. Plan wyglądał tak:

- 1) Wpaść na niego (dosłownie).
- 2) Upaprać mu koszulę ponczem albo czekoladową babeczką (raczej tym drugim, z braku pierwszego).
- 3) Zaoferować mu pomoc w czyszczeniu.
- 4) W drodze do poidełka na korytarzu rozpocząć swobodną, przezabawną rozmowę o tym, dlaczego

szkolne bale są lamerskie przez duże L (i jaka szkoda przez wielkie S, że właśnie przegapiają mecz Brazylia-Hiszpania na ESPN!)

5) Tak wymierzyć powrót na salę, by dokładnie trafić na idealną i wcześniej wybraną romantyczną, powolną piosenkę (dzięki, panie didżej).

6) Zacząć głośno narzekać, że wszystkie przyjaciółki cię opuściły. „I to akurat jak leci mój ulubiony kawałek!” Błyskawicznie ścisnąć dekolt i trochę (ale bez przesady) zatrzepotać rzesami.

7) On pyta: Chcesz zatańczyć? Odpowiedź: Hm, (ziew). Może i tak.

8) . I gol. Chłopak zaklepany!

Co do mnie, to miałam nadzieję, że może Ben Handelman wreszcie się ze mną umówi. Miał boskie, kręcone włosy i od czasu, kiedy podszedł, żeby „pożyczyć moje notatki z algebry”, byłam niemal pewna, że mu się podobam. Och, chłopaki myślą, że tak trudno ich rozszyfrować.

- Na sto procent podobasz się Benowi - podpuszczała mnie Sadie, kiedy biegliśmy do auli.

- Bylibyście obłądną parą.

- Te jego okulary są słodkie - zawtórowała jej Tess. - Moim zdaniem już najwyższy czas, żebyś za-handlowała z Handelmanem. - Wszystkie wybuchnęliśmy śmiechem i tanecznym krokiem wpadliśmy do środka, podekscytowane myślą o tych wszystkich magicznych pocałunkach, które przyniesie wieczór.

Więc kiedy moim oczom ukazał się Ben całujący Annę Clayton, powiedzmy, że nie byłam zachwycona. Muzyka ryczała. Dziesiątki uczniów gadały ze sobą, stojąc w kółkach. Tysiące żółtych lampek wisiały na ścianach i pod sufitem. Wysoko nad naszymi głowami obracała się i migotała wielka kula disco, rzucając małe romby światła na nasze twarze. A na samym środku parkietu Ben i Anna udawali, że są na występach gościnnych w Tańcu z Językami.

Byłam zdruzgotana.

- Uch, on nie jest ciębie wart - zawyrokowała Sadie, przytrzymując się Emmy jedną ręką, żeby drugą założyć czarne sandały na szpilce.

- Chłopaki to szuje - stwierdziła Emma.

- A ty jesteś milion razy ładniejsza od niej, to przecież jasne - dodała Tess. Chwyciła mnie za rękę i wyciągnęła na parkiet. - Chodź!

Tańczyłyśmy wszystkie przez kolejną godzinę, śmiejąc się i wyśpiewując piosenkę za piosenką, aż nagle męski głos wciął nam się w *Girls Just Wanna Have Fun*.

- Cześć, Brie.

Obróciłam się na pięcie i stanęłam twarzą w twarz z Jacobem Fischerem - chłopakiem, którego znałam prawie całe życie i który od lat kumpłował się z Sadie. Ale przez cały ten czas Jacob powiedział do mnie może ze trzy słowa, więc to, że nagle przemówił, było... hm, dziwne.

- O, cześć, Jacob. - Zarzuciłam włosami.

- Au! - krzyknęła Tess. - Wielkie dzięki, Brie, właśnie oślepiłaś mnie swoją lśniąca grzywą.

Czyżbym była zdenerwowana? Hej, Brie, weź się w garść. To tylko Jacob Fischer.

- Sorka... - wymamrotałam. - To przez tę nową fryzurę. Naprawdę nie zachowuje się tak, jak powinna...

- Wyglądasz bardzo ładnie - pochwalił Jacob, przekrzykując muzykę.

- Co? - spytałam. - Znaczy, dzięki! Ty też. Boże. Czy ja mu powiedziałam, że jest ładny?! Spojrzał na mnie dziwnie. Ale zanim zdążyłam powiedzieć coś więcej, wtrąciła się Sadie.

- Jake, wiedziałeś, że Brie ma dzisiaj urodziny? Piętnaste, mała! - Chwyciła mnie za rękę i zakręciła mną dookoła.

- We Wszystkich Świętych - dodała Emma. - Bo Brie to prawdziwa świętoszka. - Moje trzy przyjaciółki zaczęły chichotać.

- Naprawdę? - spytał Jacob. - To super. Wszystkiego najlepszego, Brie.

Chwała Bogu, że w sali było ciemno, bo przysięgam, że w tej chwili zrobiłam się jaskrawoczerwona.

- Hm, dzięki.

W tym momencie - bo czasami życie robi takie idealne niespodzianki - zaczął się wolny kawałek.

- O Jezuu, *It Must Have Been Lovel* - pisnęła Emma, podskakując jak głupia.

Patrzyłam z przerażeniem, jak cała sala dobiera się w pary, i rozejrzałam się za kimś, kimkolwiek, z kim

mogłabym zatańczyć, chociaż chłopak stał tuż przed moim nosem. Potrzebowałam jakichś trzydziestu sześciu sekund, by się zorientować, że mam zero możliwości, więc postanowiłam się stamtąd jak najszybciej wynieść.

- To ja chyba pójdę coś zjeść...

- Chcesz zatańczyć? - wypalił Jacob.

Wszystkie cztery zagapiłyśmy się na niego z wytrzeszczonymi oczami, z otwartymi ustami, kompletnie sparaliżowane. Wydaje mi się, że może nawet troszeczkę się zaśliniłam.

- Tak! - wrzasnęła w końcu Sadie, wpychając mnie w jego ramiona. - Chce! Chce, chce, chce!

- Zaraz! - krzyknęłam, chwytając się jego barków, żeby się nie wywalić. W ciągu sekundy moje przyjaciółki czarodziejskim sposobem zniknęły w głębinach auli. Emma porzuciła swój plan ataku i chwyciła Nate'a za rękę, odciągając go od jego kumpli piłkarzy. Tess zakradła się za plecy Erica i cmoknęła go w policzek. Sadie pobiegła do misy z ponczem, żeby porozmawiać z doktorem O'Neilem, w którym była śmiertelnie zakochana, chociaż miał trzydzieści lat i dwójkę dzieci.

- Jezu, co za obciach - mruknęłam, zaplątana w ramiona Jacoba.

Jacob roześmiał się i pomógł mi złapać równowagę.

- Masz fajne przyjaciółki.

- Co ty powiesz. - Pokręciłam głową i zażenowana spojrzałam mu w oczy.

Iiiiiii nagle łubudu! Zanim zdążyłam się zorientować, co się stało, straszliwe zauroczenie już miało

mnie w swoich szponach. Nagle nie mogłam oderwać od niego wzroku.

On też nie mógł.

Hm, chwileczkę.

Co tu się działo, do diabła? Jacob Fischer nie był w moim typie (nie że bym w ogóle wiedziała, jaki jest mój typ, ale mimo wszystko). Po pierwsze, był skej-tem. Po drugie, kiedy on się w ogóle nauczył mówić? Po trzecie, nie był jakiś porażająco przystojny.

- Brie? - spytał, wciąż wbijając wzrok w moje oczy. Głęk.

- No?

Okej, miał fajne włosy. A jego uśmiech był może-nawet-uroczy. I zrobił się taki, hm, wysoki.

- To jak z tym tańcem? - powiedział.

- Z tańcem? - mruknęłam z coraz bardziej błyszczącymi oczami.

Okej, dobra. Przyznaję się. Byłam w nim totalnie zakochana jeszcze w podstawówce.

Kompletnie, totalnie, całkowicie zakochana.

Ale zaraz, przegapił swoją szansę! Co on sobie myślał, że będę na niego czekać w nieskończoność, jak jakiś żaloszny mały piesek? W życiu!

- Hm, czy to było tak? - spytał, niezręcznie prze-stępując z nogi na nogę.

Jacob Fischer poprosił mnie do tańca! Dwa razy!

Spróbowałam sobie przypomnieć strategię Emmy. Pierwszy krok, wpaść na niego? Okej, załatwione, to miałam już z głowy dzięki moim niesamowitym

przyjaciółkom. Co było dalej? Trzepotanie rzęsami? Ściskanie biustu? Spojrzałam w dół. Hm. Nie za wiele tego było...

Nagle zrozumiałam, że moja jedyna szansa to wykorzystać to, co mam. A miałam mnóstwo włosów. Więc szybko zerknęłam do tyłu, by sprawdzić, czy tym razem nikt nie stoi na linii strzału, i rzuciłam włosami do tyłu tak ślicznie, jak tylko umiałam. Tym razem odniosłam sukces.

Bo Jacob się uśmiechnął.

- Jasne - zgodziłam się, wzruszając ramionami. -Jeden taniec mnie chyba nie zabije. (Co ja tam wiedziałam).

Najdoskonalszy wolny kawałek w historii wszechświata wciąż płynął miękko z głośników.

It must have been love, but it's over now... Wziął mnie za rękę.

It must have been good, but I lost it somehow... Nagle cała aula zniknęła. Tess, Sadie i Emma. Zniknęły.

Nauczyciele i opiekunowie. Zniknęli.

Wszyscy uczniowie w całej sali. Zniknęli.

Był tylko on. Tylko ja. Tylko milion migoczących lampek, błyskających, migoczących, pałających wokół nas, kiedy tańczyliśmy. Jego dłonie na mojej talii, moje na jego ramionach.

A kiedy piosenka się skończyła, tańczyliśmy dalej. Kocham go. Jestem w nim zakochana.
O mój Boże, ja go kocham.

Jacob oderwał ode mnie wzrok i spojrzał w podłogę.

- Wiesz co, Brie, tak się nad czymś zastanawiałem.

Możesz pożyczyć moje notatki z historii na poniedziałek? Możesz się z nami zabrać do domu po balu? Mogę przestać deptać ci po palcach? Boże, czy ja mu depczę po palcach? Gwałtownie schyliłam głowę w tej samej chwili, kiedy on pochylił się do mnie, i huknęliśmy się czołami z głośnym trach.

- Auć! - krzyknęliśmy oboje. Jego dłonie opadły z mojej talii, moje z jego barków.

Brawo, Brie. Świetny sposób, żeby zepsuć cudowną chwilę.

- Rany. - Roztarł czoło. - Nie wiedziałem, że tak świetnie walisz głową.

Boże święty. Umrę ze wstydu. Uśmiechnął się.

- Może powinnaś wystartować w olimpiadzie. Jego żart trafił mnie z zaskoczenia.

Roześmiałam

się i poczułam, że trochę się rozluźniam.

- Może tak zrobię.

Znów chwycił mnie w talii. Spojrzał na mnie głębokimi, boskimi, niebieskimi oczami.

Zaczęła się nowa piosenka.

Sometimes you picture me, I'm walking too far ahead...

- No więc - powiedziałam, zdobywając się na odrobinę odwagi. - O co... o co chciałeś mnie zapytać?

If you fall I will catch you, I'll be waiting, time after time...

Jacob się uśmiechnął. Uniósł rękę, dotknął mojej twarzy i wypowiedział pięć cudownych słów.

- Czy mogę cię pocałować? I pocałował.

*R-e-s-p-e-c-t, Find Out What It Means to Me**

Co to jest, poncz? - Patrick wskazał szklanekę pełną czegoś, co wyglądało na spritea zaprawionego spożywczym barwnikiem, żeby uzyskać krwisty kolor. Rozejrzał się po pełnym ludzi salonie Fischerów. - Twój znajomi naprawdę... przeszli samych siebie. - Ale z ciebie snob - powiedziałam. - Przykro mi, jeśli ta impreza nie dorównuje poziomem twojej ukochanej pizzerii. - Krążyłam po pokoju radośnie oszołomiona. Nie dlatego, że byłam pijana. Dlatego, że po raz pierwszy nie musiałam prowadzić niezręcznych rozmów z ludźmi, których prawie nie znałam. Nie musiałam się przejmować, że nie jestem najbardziej popularną dziewczyną ani że nie wyglądam dość odłotowo, żeby w ogóle zasłużyć na zaproszenie. Właśnie to było najpiękniejsze. Nikt mnie nie widział. Nikt mnie nie słyszał. Jak dla nich, już dawno nie istniałam.

** Szacunek, dowiedz się, co to dla mnie znaczy.*

Najzabawniejsze w licealnych imprezach jest to, że nikt nie bawi się tak świetnie, jak chciałby udawać. Ale ta impreza była wyjątkowa. Na tej imprezie bawiłam się o wiele lepiej niż wszyscy zaproszeni.

Rozejrzałam się za Emmą, Tess i Sadie, ale nie widziałam ich.

Pewnie ciągle są w żałobie. W odróżnieniu od niektórych.

Było sporo znajomych Jacoba, a do tego mnóstwo ludzi, których nie znałam, zapewne zaproszonych przez Mayę. Zobaczyłam dwóch najlepszych kumpli Jacoba, Willa i Mila, których Sadie zawsze nazywała Głupi i Głupszy. Byli przebrani za bliźniaków zombi, co bardzo do nich pasowało, biorąc pod uwagę ich osobowości. Dom Jacoba był od góry do dołu oblepiony halloweenowymi dekoracjami. Przedpokój zdobiły pajęczyny, a salon został przekształcony w naprawdę zabawną wersję *Teksańskiej masakry piłą mechaniczną*: wszędzie wałało się mielone mięso i keczup. W ogródku za domem było kompletnie ciemno, nie licząc słabo podświetlonego basenu, w którym pływały świecące gałki oczne.

Nie mogę kłamać; z całą pewnością bywały chwile, kiedy emocje dopadały mnie z nienacką; nagle robiło mi się smutno na myśl o tych wszystkich chwilach, gdy przytulaliśmy się na kanapie, pływaliliśmy w tym basenie z jego rodziną albo wymykaliśmy się do jego pokoju, żeby „odrabiać lekcje”, jak sądzili rodzice. Ale robiłam, co w mojej mocy, żeby nie rozpamiętywać

smutnych wspomnień. Nie o to tu chodziło. Dzisiaj chodziło o zabawę. O to, żeby zobaczyć Jacoba i odpłacić mu pięknym za nadobne.

Wskazałam stertę plastikowych wampirycznych kłów, wyłożonych jako upominek dla gości.

- Niezłe! - Spróbowałam podnieść parę, ale moja ręka przeszła przez stół. Spojrzałam zaczepnie na Patricka. - Ciesz się, że nie mogę ich założyć.

- Dlaczego?

- Bo bym cię ugryzła, głupku.

- Aniołku, bardzo proszę. - Przechylił głowę mocno do tyłu, odsłaniając szyję. - Niech cię to nie powstrzymuje.

Podeszłam bliżej.

- Zrobię to.

- Koniecznie.

Nasze spojrzenia spotkały się i przez króciutką chwilę żadne z nas nie odwróciło wzroku. Sięgnęłam do jego szyi, ale się powstrzymałam.

Co ja wyprawiam?

Zauważył moje wahanie.

- Jednak nie chce ci się pić? Będę musiał sobie znaleźć jakąś inną wampirzycę, żeby się jej oddać. - Rozejrzał się po pokoju. - Ooo. Na przykład ją.

Odwróciłam się i kiedy zobaczyłam, kogo wskazał, nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

- Anna Clayton? O co chodzi, że podoba się wszystkim facetom na planecie? Nie jest nawet jakaś szczególnie ładna!

- Chwila. - Patrick uniósł ręce. - Spokojnie, Ser-niczku. To była tylko taka sobie uwaga. Nie wpadaj mi tu w szal zazdrości.

- Mama ci nie mówiła...

W tej chwili usłyszałam łoskot dobiegający z sąsiedniego pomieszczenia.

- Oj. To nie może być nic dobrego.

- Bogu dzięki - powiedział Patrick. - Może wreszcie zrobi się ciekawie.

Poszliśmy za dźwiękiem, korytarzem do kuchni, gdzie parę osób usiłowało rozbić piątę w kształcie Frankensteina. Zobaczyłam wściekłą Mayę pędzącą w ich stronę, ale, o dziwo, wciąż nigdzie nie było jej brata. Przemknęło mi przez głowę, czy nie pobiec na górę i nie zajrzeć do jego pokoju, ale pomyślałam, że lepiej dopaść go przy ludziach. Żeby narobić mu wstydu publicznie.

O wiele, wiele lepiej.

- To co, mamy jeszcze raz powtórzyć zasady? - spytał Patrick. - Pamiętasz, czego cię nauczyłem? Wszystko sprowadza się do nastawienia. Nie uda się, dopóki nie będziesz całkowicie skoncentrowana.

- Możesz mi jeszcze raz powtórzyć to o koncentracji? - rzuciłam drwiąco.

Założył ręce na piersi.

- Moja pomoc najwyraźniej nie jest już mile widziana. - Odwrócił się, żeby wyjść z kuchni.

- Nie, przestań, nigdzie nie idź! - zawołałam za nim. - Jesteś taki drażliwy. Tylko żartowałam.

Patrick odwrócił się, szeroko uśmiechnięty. Jego widok trochę zbił mnie z tropu. To, jak koszulka oblepiała jego ciało. To, jak jego ciemne włosy podkreślały głęboko osadzone oczy. Jak dopasowane były jego dzinsy...

Był całkiem, hm, niezły. Jak na umarlaka.

O, dzięki, usłyszałam w głowie jego głos. *Ty też jesteś niezła.*

Zamarłam, potwornie zawstydzona, że mnie usłyszał. Nie przywykłam jeszcze do dzielenia własnych myśli z kimś innym. Szczególnie że tym kimś był dość atrakcyjny gość...

Dość?

- Hej! - wypaliłam. - Serio, wynoś się!

Patrick tylko się roześmiał.

Ale nagle zauważyłam, że drzwi wejściowe otwierają się za jego plecami. Zobaczyłam znajomą postać wchodzącą do domu. Twarz, którą tak dobrze znałam. Poczułam, że sztywnieję. Musiałam zmobilizować wszystkie siły, żeby się nie załamać. Musiałam zmobilizować jeszcze więcej sił, żeby nie popędzić prosto w jego ramiona.

Zjawił się wreszcie. Chłopak z moich snów.

Przynajmniej do czasu, kiedy sny nie zmieniły się w koszmar. W tej chwili musiałam skupić się na koszmarze.

Więc to on, hm? Patrick spojrzał w stronę drzwi. Moje nogi wrosły w podłogę. *To on.*

*Ale serio, o co tyle krzyku? O co chodzi, że podoba się wszystkim dziewczynom na Ziemi?
Nie jest nawet jakiś szczególnie przystojny.*

Nienawidzę cię.

Kochasz mnie.

Sam siebie kochasz.

Racja. Więc na co czekasz?

Zrobiłam kilka kroków w jego stronę. Zatrzymałam się. Wokół Jacoba kłębili się ludzie.

Me dekoncentruj się.

Przepchnęłam się przez tłum, niewidziana i niesły-szana przez nikogo. Jacob. Mój Jacob. Jego oczy były zmęczone. Smutne. I chociaż ze wszystkich stron otaczali go znajomi - ludzie, którzy troszczyli się o niego i rozumieli, co się z nim ostatnio działo - wyglądał na samotnego. Zagubionego. Poczułam, że mój gniew zaczyna się rozwiewać.

On za mną tęskni.

Brie, nie rób tego.

Ale jeśli on naprawdę tęskni?

A co to zmienia?

Może żałuje.

Powinien.

Otworzyłam usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Czułam jego wodę kolońską.

Leciutki ślad. *Boże, ależ pięknie pachnie.*

Chciałam, żeby mnie objął. Żeby mi powiedział, że wszystko będzie dobrze. Że to był tylko zły sen i znów będziemy razem. Może nawet na zawsze.

Nie koncentrujesz się. Nie mogę tego zrobić. On cię nie kocha. Zamknij się, Patrick.

Wyciągnęłam rękę; koniuszki moich palców zatrzymały się centymetry od kurtki Jacoba, strzelały z nich maleńkie błyskawice. Włoski na moich rękach i na karku zjeżyły się naładowane elektrycznością.

Milo i Will dotarli do niego, zanim ja zdążyłam.

- Hej, stary - powiedział Milo. - Co jest? Czekaliśmy ponad godzinę.

- Wysłałem ci masę SMS-ów - dodał Will. - Wszystko okej? Nie najlepiej wyglądasz.

Jacob pokręcił głową.

- Ja... potrzebowałem być sam. Nie miałem nastroju na imprezę. Nie chciałem, żeby Maya ją urządziła. Prosiłem, żeby to odwołała.

Will i Milo wymienili zatroskane spojrzenia.

- Spoko - powiedział Will. - Wszyscy się świetnie bawią.

Jacob kiwnął głową, wciąż nie odrywając wzroku od podłogi.

Biedny Jacob. Jest całkiem sam. Nikt nie rozumie, co przeżywa. Nikt oprócz mnie.

- Byłeś dziś z nią, co? - spytał Milo. Zdrętwiałam na te słowa.

Z nią?

Obróciłam się do Patricka, żeby sprawdzić, czy aby dobrze usłyszałam.

- O czym on mówi?

Patrick tylko pokręcił głową i się cofnął.

- Mnie nie pytaj.

Odwróciłam się z powrotem do tamtych trzech.

- Ciągłe jest w dołku? - spytał cicho Will.

- Tak. - Jacob skinął głową. - Nie może przestać płakać.

Czułam się, jakby wstrzyknięto mi dożylnie zabójczą dawkę trucizny, która powoli dociera do piersi.

- Ona? Jaka ona? - Piorunowałam Jacoba wzrokiem. - O kim ty mówisz, do cholery? -

Gdyby moje oczy mogły ciskać płomienie, byłby już kupką popiołu na podłodze. Ciągłe nie rozumiałam, dlaczego zerwał ze mną tak nagle. Czy to możliwe, że był ktoś inny? Inna dziewczyna? Dziewczyna, którą wolał ode mnie?

Nagle oślepiająca ściana ognia, dymu i wrzącej lawy wystrzeliła z podłogi salonu, odrzucając mnie do tyłu. *Brie! Uważaj!*

Muszę wiedzieć. Muszę wiedzieć, kim ona jest. Musisz się skoncentrować.

Nie. Nie odzywaj się do mnie. Muszę go słyszeć. Muszę usłyszeć, jak to mówi.

- Fatalna sprawa, stary - stwierdził Milo, kręcąc głową. - Ale to chyba dobrze, że, no wiesz, macie siebie.

Macie siebie?

A ja byłam gotowa mu wybaczyć. Gotowa zrobić wszystko, byle przeczołgać się z powrotem przez czas i przestrzeń, i cały równoległy wymiar egzystencji,

żeby tylko znów być z nim. Ale to? Tego było za wiele. Żrący ból znów we mnie zawrzał, palił mnie w piersi.

Patrick był w mojej głowie.

Skup się. Użyj tych emocji.

Odczep się.

Świetnie. Tak. Skanalizuj je!

- Tak - potwierdził Jacob, przeczesując włosy palcami. - Jest w porządku. Po tym wszystkim było jej strasznie ciężko.

Jak śmiesz. Jej było ciężko? Nie zapominasz o kimś? Zaciskałam pięści. Dym buchał z mojej skóry. Płonełam.

Zrób to. Zrób to teraz.

Przepchnęłam się między Willem a Milem.

- Cholera - powiedział Will, zataczając się do tyłu. - Stary, czułeś to?

- Kurczę, to było dziwne - odparł Milo. Pobladł. Moja twarz była pięć centymetrów od twarzy Jacoba. Widziałam, że jest zdezorientowany. Patrzył przeze mnie na wylot, ale jednak dostrzegłam coś w jego oczach. Jakiś cień rozpoznania, nawet jeśli ledwie widoczny. Więcej nie było mi trzeba. *Masz go.*

- Brie? - szepnął Jacob tak cicho, że tylko ja go słyszałam. Czułam niespokojny rytm jego serca. Spanikowanego. Pulsującego. Żywego.

To pewnie miłe uczucie.

Pochyliłam się jeszcze bliżej, pokonując przestrzeń między nami. Pomarańczowe i błękitne płomienie

przebiegły po mojej skórze. Jego źrenice się rozszerzyły. W końcu, lekka jak piórko, musnęłam wargami jego policzek.

- Tak, to ja - szepnęłam.

Skoncentruj się. Patrick ciągle był ze mną. Czułam jego wzrok wbity w moje plecy.

- Jacob, hej, stary... dobrze się czujesz? - Milo był roztrzęsiony. Reszta gości wyczuła, że dzieje się coś dziwnego. Ktoś wyłączył muzykę. Jacob stał na środku pokoju, jakby zobaczył ducha. Nie wiem, czy naprawdę zobaczył, ale z całą pewnością usłyszał.

Patrzyłam, jak jego wzrok miota się po pokoju. Dłonie mu się pociły i widziałam, że jest przerażony. Na całego.

Ale jeszcze z nim nie skończyłam. Musiałam wyrzucić z siebie jeszcze jedno.

- To twoja wina - szepnęłam mu do ucha, tym razem odrobinę głośniej.

W ułamku sekundy cała krew odpłynęła mu z twarzy.

- Nie wiem, kto to robi, ale to nie jest zabawne! - krzyknął. Wszyscy goście znieruchomieli.

Wszystkie spojrzenia spoczęły na nim.

- Spokojnie, stary, wyluzuj - powiedział Milo, próbując go uspokoić. Chwycił Jacoba za łokieć. - Chodź, wyjdziemy na powietrze.

Zrób to. Dopadłaś go. Zrób to teraz.

Zostałam tam, pochyliłam się jeszcze bliżej. Powoli otoczyłam go rękami w pasie.

Poczułam, jak tężeje, czując mój dotyk.

I wyszeptałam mu do ucha trzy doskonałe słowa. Trzy słowa, które siedziały we mnie, zamknięte, od tamtego wieczoru.

- Ty mnie zabiłeś.

Zaczął wrzeszczeć.

I nie przestał, dopóki wszyscy goście nie zwiali.

Nothing Compares 2 U

Patrick i ja szliśmy powoli ulicą, ręka w rękę, w świetle księżyca, w powietrzu pachnącym chłodnym oceanem i lasem eukaliptusowym. Nie mieliśmy żadnego celu. Wiedziałam tylko, że zmierzamy na północ, w stronę centrum miasta, oddalając się od domu Jacoba. Długo szliśmy, nie odzywając się do siebie.

- To było imponujące - stwierdził Patrick po jakimś czasie, wreszcie przerywając milczenie. - Nie byłem pewien, czy cię na to stać, Serowa Kulko.

Zmusiłam się do uśmiechu.

- Rzeczywiście, przyznaję, że byłam niezła. Mimo to nie mogłam pozbyć się uczucia, że coś

było nie tak. Z jednej strony uważałam, że powinnam się czuć świetnie po tym, jak nastraszyłam Jacoba. I wiedziałam, że powinnam czuć ulgę, jakieś spełnienie. Przecież doprowadziłam do tego, że wyszedł na kompletnego świra w oczach prawie całej jedenastej

* *Nic się z tobą nie równa.*

klasy i przed bandą kolegów jego siostry z Uniwerku Stanforda.

Ale to niczego nie zmieniło. Ciągle tkwiłam w tym głupim miejscu i nie byłam ani o krok bliżej powrotu do domu. Chyba w głębi duszy miałam nadzieję, że Jacob zmienił zdanie. Że dotarło do niego, jak strasznie namieszał. Jakim był totalnym idiotą, że odrzucił kogoś tak świetnego jak ja.

Ale tak nie było.

Myślał tylko o niej. O jakiejś innej dziewczynie. Ładniejszej, zabawniejszej, bardziej zwariowanej i -kogo chcę oszukać - pewnie bardziej cycatej niż ja kiedykolwiek będę. O dziewczynie, która podbiła go tak, jak ja nigdy bym nie zdołała. Miałam nadzieję, że ta dziewczyna złamie mu serce tak samo boleśnie, jak on złamał moje.

- Miłość to kanał, co? - powiedział Patrick. Kiwnęłam głową.

- Tak. To prawda. Objął mnie ramieniem.

- To przejdzie. To uczucie, znaczy. Zapomnisz o nim, zanim się obejrzysz.

Zatrzymałam się.

- A jeśli nie chcę zapomnieć?

Opadłam na kolana. Byłam taka głupia, myśląc, że mnie kocha. Tak bardzo się myliłam, myśląc, że moja wizyta na halloweenowej imprezie jego siostry odmieni to, co się między nami wydarzyło. Że coś mu udowodnię. Niczego nie mogłam zrobić inaczej. Niczego

nie mogłam zmienić. Litery na moim nagrobku nie były tymczasowe. Zostały wyryte w kamieniu, żeby przetrwać lata. Żeby przetrwać wieczność.

AUBRIE ELIZABETH EAGAN

Przyjaciółka. Córka. Anioł. Na zawsze w naszych sercach. 1 listopada 1994 - 4 października 2010

Wtedy to poczułam. Zrozumiałam tak naprawdę. Nigdy nie wrócę. Tkwiłam w świecie fantazji, pełnym obietnic, że kiedyś, jakimś cudem, wrócę do starego życia. Życia, które będzie na mnie czekać z otwartymi ramionami. Ale prawda wreszcie mnie dopadła, tak jak zapowiedział Patrick. I to było nie fair.

Patrick usiadł obok mnie. Patrzyłam, jak sięga do kieszeni spranych dżinsów i wyciąga zmiętą serwetkę - tę z Kawalka - na której zapisał listę pięciu słów. Zdjął zębami zatyczkę długopisu i rozłożył serwetkę, po czym, nie patrząc mi w oczy, starannie wykreślił pierwsze słowo z listy.

Wyparcie

Bardzo się starałam powstrzymać gniewne, gorzkie łzy. Ale i tak popłynęły.

- Dlaczego ja? - wrzasnęłam w niebo. - Dlaczego? Co ja takiego zrobiłam, żeby na to zasłużyć? Żeby zasłużyć na to wszystko? - Osunęłam się na niego, szlochając. Gorące, wściekłe łzy lały się ze mnie i wsiąkały w piaszczystą ziemię.

- Już dobrze - powiedział Patrick. Jego głos był miękki, poważny. Chociaż raz. - Jestem przy tobie.

Pozwolił mi płakać w swoje kolana, nawet nie wiem jak długo, pod wielką sekwoją na skraju autostrady nr 1. Głaskał mnie po włosach. Mówił mi, że wszystko będzie dobrze. Na niebie były gwiazdy, mrugały i lśniły, a ziemia pod nami zwilgotniała. Poczułam, że odchylił się do tyłu i powoli rozpiął suwak kurtki. Przykrył mnie, a ja wtuliłam się w niego jeszcze mocniej. Byłam taka wściekła i zrozpaczona, że ledwie mogłam utrzymać otwarte oczy, jak małe dziecko po napadzie złości.

- Założę się - szepnęłam - że kiedyś ktoś był z tobą bardzo szczęśliwy.

Jeśli Patrick mi odpowiedział, to go nie usłyszałam.

Bo zapadłam w mroczny, głęboki, burzliwy sen.

CZESC 3

GNIEW

*You Aint Nothing But a Hound Dog**

Nigdy nie należałam do ludzi, którzy potrafią zapamiętać swoje sny. Próbowałam dosłownie wszystkiego -pamiętników, dyktafonów, proszenia dziewczyn, żeby mi mówiły, czy gadam przez sen - ale nic z tego, nada, zero. Z jedynym wyjątkiem mojego nawracającego motocyklowego koszmaru nic nie zostawało mi w pamięci. Ale nie tym razem.

Z jakiegoś dziwnego powodu tej szczególnej nocy coś mi mówiło, że zapamiętam swój sen. A kiedy wreszcie wyłoniłam się z niego w kolejny poranek -wciąż skulona na kolanach Patricka - zgaduj-zgadula:

Zapamiętałam.

Śnił mi się Sznycel.

A dokładnie wieczór, kiedy Sznycel zjadł mojego ulubionego pluszaka - króliczka, którego nazwałam Panna Puchatka. Zaczęłam wrzeszczeć na całe gardło,

** Jesteś tylko psem gończym.*

kiedy wieczorem położyłam się do łóżka i okazało się, że Panny Puchatki nie ma w jej zwykłym miejscu pod kołdrą. Jej puchaty różowy nosek. Jej miękkie, różowe uszka. Oklapnięte jak żadne inne. Zniknęły bez śladu.

Z początku rodzice mówili, że na pewno ją gdzieś zostawiłam. U Sadie. W pralni. Pod łóżkiem. Odrzucałam wszystkie ich oskarżenia. Bo znałam prawdę. Panna Puchatka się nie zgubiła... Panna Puchatka została porwana.

Chaos zmienił się w pandemonium, kiedy tato zauważył dziwny trop z oślinionej waty, prowadzący z korytarza na górze, na dół, do salonu i dalej, prościut-ko do psich drzwiczek Sznycla. Tak. To była prawda. Pies pożarł mojego króliczka. Pożarł jej różowy nosek, wytarty od tysiąca całusów. Pożarł jej oklapnięte różowe uszka. Pożarł nawet jej śliczne, niebieskie, szklane oczka (jedno z nich pojawiło się parę dni później, o wiele mniej niebieskie i o wiele mniej błyszczące).

- Pamiętam - szepnęłam, wciąż nie do końca obudzona. - Pamiętam wszystko.

Pamiętałam Pannę Puchatkę. Pamiętałam rozdęty brzuch Sznycla, śpiącego w najlepsze pod gwiazdami, pełnego króliczka. Pamiętałam, że byłam tak wściekła jak jeszcze nigdy w moim krótkim, młodym życiu, i pamiętam skrucę w jego słodkich, brązowych, psich oczach, kiedy zobaczył, jak płacę. Pamiętałam, jak przycisnął swój miękki, czarny, wąsaty nos do mojej twarzy, żeby powiedzieć, jak mu przykro.

A potem, nie wiedzieć czemu, przypomniałam sobie, jak mama trzymała mnie tego wieczoru w ramionach i tłumaczyła, że Sznycel to tylko szczeniak. I że nie zrobił tego złośliwie. Pamiętałam zapach jej włosów i jej ciepły, frotowy szlafrok. Pamiętałam, jak sprawiła, że poczułam się lepiej dzięki tym jej specjalnym maminym czarom, których nie znał nikt inny na świecie.

Ale to było coś więcej niż tylko wspomnienie. To była tęsknota. Niespodziewana, przytłaczająca tęsknota. Trzymanie się z mamą za ręce, kiedy byłam mała, i wspólne wygłupy w sobotnie poranki, jeszcze w piżamach. Wzajemne ranienie się bez powodu i największa przyjaźń; oddalanie się od siebie i gniew, i niechęć przez sprawy, o które żadna z nas nie walczyła wystarczająco mocno, bo - ostatecznie - dzieci muszą kiedyś dorosnąć. To były uczucia, które zamknęłam i zakopałam w kapsule czasu, zapieczętowałam w bezpiecznym, sekretnym miejscu głęboko w sobie, gdzie nikt nie mógł ich znaleźć. W miejscu, o którym sama z czasem zapomniałam.

Tęskniłam za moją rodziną. Tęskniłam za mamą.

Otworzyłam oczy spuchnięte od płaczu i spojrzałam na Patricka.

- Aniołku? - powiedział.

- Chcę iść do domu.

- A powiesz mi dlaczego?

Pokręciłam głową. Przeciągnęłam się i wstałam. W piersi miałam coś twardego i ciężkiego, jakby wyrósł w niej kawał betonu, kiedy spałam. Ale wyrosło

jeszcze coś. Plan, który chciałam jak najszybciej wprowadzić w życie.

Ale najpierw dom.

- No dobra - rzucił Patrick z ożywieniem, jakby starał się poprawić nam obojgu nastrój. -

Pomyślałam sobie, że pokażę ci jedno naprawdę fajne miejsce niedaleko stąd...

- Chcę iść do domu - powtórzyłam. - Teraz. Spojrzał na mnie dziwnie.

- Trochę jesteśmy dziś apodyktyczni, co?

- Jeśli tak chcesz to nazwać. Podrapał się w głowę.

- Tylko że...

- Co? - spytałam. - Co znowu?

- Z tym może być pewien problem - odparł.

- A dlaczegoż to?

Westchnął i wbił ręce w kieszenie.

- Posłuchaj, Edamko. Wiem, że nie chcesz tego słuchać, ale teraz wszystko wygląda inaczej. Nie możesz robić wszystkiego, co ci się zachce, tak jak kiedyś...

- Kto tak mówi?

- Pytasz serio? Posłałam mu złe spojrzenie.

- A wyglądam, jakbym żartowała?

- Rany - rzucił. - Ktoś tu dzisiaj wstał po złej stronie autostrady.

- Więc śmignij nas, czy jak to tam się nazywa. - Wyciągnęłam rękę. - Jestem gotowa.

Złożył ręce na piersi.

- Pozwól sobie przypomnieć, że nie jestem twoim osobistym szoferem.
- Zabawne - odparłam. - Bo moim zdaniem właśnie jesteś.
- Ależ z ciebie numer - mruknął Patrick, po czym chwycił moją dłoń.
Poczułam, jak przeszywa mnie prąd.
- Auć! - wrzasnęłam i wyrwałam rękę z jego uścisku. - Jezu! Teraz będziesz mnie raził prądem?
- Uuu - westchnął Patrick. - Dosłownie iskrzy między nami. Fajowo.
Roztarłam rękę, patrząc na niego wilkiem.
- Nikt już nie mówi „fajowo”, głąbie.
- Chwileczkę. Nie strzelaj do posłańca, okej? Masz prawo być wściekła, ale nie zapominaj.
- O czym mam nie zapominać? - warknęłam. Kopnął kamień, posyłając go na drugą stronę drogi.
- Nie zapominaj, że teraz masz tylko mnie, okej? Jego słowa zaboląły, ale nie mogłam nie zdumieć się tym, co właśnie zobaczyłam. Jakimś cudem Patrick poruszył kamień. Własną stopą. Dotknął przedmiotu, który istniał w prawdziwym świecie. Chociaż on sam nie istniał. Kompletnie osłupiałam.
- Jak to zrobiłeś?
- Słucham? Chcesz powiedzieć, że nie wiesz wszystkiego o byciu S.P.? Co za szok.
- Okej, okej. - Jęknęłam. - Rozumiem. Przepraszam.
- Najpierw to powiedz.
- Mam tylko ciebie - wymamrotałam.

- Nie słyyyszę cię...

- Mam tylko ciebie! - Poczułam, że się czerwienię. - Okej? A teraz pokażesz mi, do cholery, jak to zrobiłeś?

Uśmiechnął się.

- Wszystko po kolei. - Chwycił mnie za rękę i przyciągnął do siebie. Zanim się zorientowałam, co jest grane, poczułam się jak na najbardziej mdłym rollercoasterze wszech czasów; mknęłam przez powietrze z tak obłądną prędkością, że chciało mi się wymiotować. Żołądek miałam w gardle, stopy mi płonęły i nie słyszałam własnego głosu w wyciu wiatru, chociaż wrzeszczałam na całe gardło, że chcę się zatrzymać.

I nagle się zatrzymałam.

- Nie ma to jak w domu - powiedział Patrick. Otworzyłam oczy. Trzęsłam się cała i spazmowałam, i ogólnie telepało mną, kiedy grawitacja i inercja wreszcie mnie dogoniły.

- N-n-nigdy więcej t-t-tego nie rób.

- Postaram się zapamiętać, aniołku - odparł Patrick. Nie podobało mi się, że nazywał mnie aniołkiem.

Tak jak nie podobały mi się te wszystkie serowe przezwiska ani to, w jaki sposób zawsze wyciągał ze mnie informacje, nie mówiąc niczego o sobie. Ale w tej chwili nie zamierzałam się go czepiać.

Bo staliśmy na moim podjeździe.

Magellan Avenue 11.

Dom był spowity cieniem. Wszystkie okna zamknięte. Wszystkie zasłony zaciągnięte.

Jakby ludzie,

którzy tu mieszkali, wyprowadzili się dawno temu. Albo po prostu przestało im zależeć. Minęło ledwie kilka tygodni od mojej śmierci, a więc niezbyt dużo czasu, szczególnie w obliczu wieczności. Ale gdyby sądzić po chłodnym, jesiennym świetle padającym na dach, po błotnistym, pożółkłym, zaniedbanym ogródku, po suchych liściach zaśmiecających zgnilizną trawnik, po niesamowitym szepcie oceanu ledwie parę kwartałów na zachód - wydawało się, że to było o wiele dawniej.

Dom sprawiał wrażenie wypaczonego. Pogiętego. Był duchem samego siebie.

Jak ja.

Nie mogłam oderwać od niego spojrzenia.

- Co tu się stało? - spytałam.

- To, co dzieje się zawsze - odparł Patrick. - Stracili kogoś.

Moją uwagę przyciągnął odgłos otwieranych drzwi. Mały chłopiec z rozczochranymi, ciemnymi włosami, w dzinsach i czarnej bluzie, wypadł z domu i zbiegł po schodkach, nie zamykając drzwi za sobą. Rzucił piłkę na podjazd i kopnął ją mocno w metalowe drzwi garażu.

Barn!

Barn!

Bam!

To był Jack. Moje ciało w mgnieniu oka pokryła gęsia skórka. Był tak blisko. Taki rzeczywisty. Na policzkach miał jaskrawe rumieńce, nos zatkany od jesiennego chłodu. Chciałam do niego podbiec, chwycić

go w potężny, niedźwiedzi uścisk i już nie puszczać. Patrzyłam, jak otarł nos rękawem.

Upuścił piłkę i znów grzmotnął nią o garaż. Barn!

Zrobiłam krok w jego stronę, ale zatrzymałam się, kiedy dotarł do mnie cały dickensowski koszmar tej sytuacji.

- On mnie nie widzi.

- To prawda - potwierdził Patrick. - Ale to ma swoje plusy. Twoje włosy wyglądają dość przerażająco, więc może to i lepiej.

Sięgnęłam do moich nieokiełznanых loków i spróbowałam je przygładzić, ale opanowałam się, bo zrozumiałam, że Patrick tylko mnie podpuszcza. Znowu. Chciałam posłać mu kolejne złe spojrzenie, ale usłyszałam, że siatkowe drzwi znów się otwierają.

- Jack!

Głos mojej matki.

Nagle zobaczyłam ją, wychylającą się z drzwi wejściowych. W zielonym swetrze, tym supermiękkim, który babcia dała jej w zeszłym roku na gwiazdkę. W szylkretowych okularach. Z ciemnym, falującym kucykiem. Czyżby była niższa, niż zapamiętałam?

Mama.

Gardło mi się ścisnęło, poczułam mrowienie na karku. Chciałam do niej pobiec. Tak bardzo chciałam do niej pobiec.

- Jack, skarbie, proszę cię, nie kop tak mocno w garaż. Strasznie hałasujesz. Tatuś próbuje spać.

- Spać? - powiedziałam. - O tej porze? Która godzina?

Musiała być przynajmniej jedenasta. A mój tato był rannym ptaszkiem. Zawsze wstawał o świcie, żeby jeszcze przed pracą wygospodarować godzinę na surfing. Niemożliwe, żeby jeszcze spał! Złościł się na nas, jeśli spaliśmy dłużej niż do dziewiątej, nawet w weekendy.

- Okej. - Głos Jacka był jakiś nieobecny. Jakby w ogóle nie słuchał i w ogóle go to nie obchodziło. Nie patrząc mamie w oczy, rzucił piłkę na ziemię, zrobił podskok z rozpędu i kopnął znów. Tym razem jeszcze mocniej niż przedtem.

Barn!

Mama pokręciła głową. Była zła, widziałam, ale jakoś nie zdobyła się na to, żeby prosić go znów. Pozwoliła, żeby drzwi trzasnęły za nią, kiedy wróciła do domu.

- Jedna wielka szczęśliwa rodzinka - powiedział Patrick.

Zignorowałam go. Przeszłam podjazdem i usiadłam jakieś pięć kroków od miejsca, gdzie Jack kopał piłkę. Jack Cheddar. Był piękny.

Piękny, kochany, nadąsany chłopiec. Za parę miesięcy miał skończyć osiem lat. Nagle coś mi przyszło do głowy.

A jeśli mnie zapomniał?

Zdjął bluzę i rzucił ją na ziemię. Usiadł po turecku na trawie, sięgnął do kieszeni i wyjął talię kart. Przez

wakacje uczyłam go tasować. Już prawie załapał, ale miał za małe dłonie, żeby robić to jak trzeba. Podzielił talię na pół, tak jak mu pokazałam (z mniejszą liczbą kart jest łatwiej), ale kiedy przyszło do zrobienia mostka - czyli wygięcia kart w gładki łuk - wyśliznęły mu się z palców i rozprysnęły po trawie.

- Kurczę - mruknął.

- Spróbuj jeszcze raz! - zawołałam. - Tym razem użyj kciuków.

Powtórzył te same czynności, ale tak jak przedtem, karty poleciały dookoła.

- Do diabła! - Poddał się i wrócił do kopania piłki. Nic nie mogę zrobić. Jestem kompletnie bezużyteczna. Zajmuję tylko przestrzeń.

- No cóż, niezupełnie, z technicznego punktu widzenia, bo w zasadzie nie zajmujesz żadnej przestrzeni - powiedział Patrick. - Skoro mamy być precyzyjni.

Plasnęłam się dłonią w czoło.

- Boże święty, czy ty się kiedykolwiek zamkniesz? Uśmiechnął się.

- Raczej nie.

Rzuciłam jakąś dowcipną ripostę, ale moją uwagę przyciągnęły krzyki. Wstałam i podeszłam do kuchennego okna, żeby lepiej widzieć. I zobaczyłam ich. Mamę i tatę. Siedzieli naprzeciw siebie przy kuchennym stole. Przed nim stał nietknięty kubek kawy; przed nią leżała nieprzeczytana gazeta i pusty talerz. Ona płakała. On podpierał głowę dłońmi.

- Musisz z tym skończyć - powiedziała mama. - Jak długo jeszcze będziesz nas tym dręczył? Jak długo jeszcze będziesz dręczył Brie?

Mnie? Kłóć się o mnie?

- Muszę zrozumieć - odparł. - Nie odpuszczę, dopóki nie zrozumiem.

- Masz obsesję - stwierdziła mama łamiącym się głosem. - Nie wyleczysz jej. Ona odeszła, Daniel. Kiedy się z tym pogodzisz?

- Nic mi się nie zgadza, Katie.

- Ona odeszła! Posłuchaj sam siebie. - Wstała od stołu i zaniósła talerz do zlewu. Odkręciła gorącą wodę, więc para przesłoniła okno, przez które zagłądałam. Przysunęłam twarz bliżej.

- Była zdrowa - ciągnął tato. - Mieliśmy wszystko pod kontrolą. Jej serce było zdrowe.

- A może nie było. - Mama znów płakała. Umilkła, żeby obetrzeć łzy. - Może się myliliśmy.

- Nie! - Tato huknął nagle pięścią w stół, przewracając cukierniczkę. Na ten dźwięk podskoczyłyśmy obie, i mama, i ja. - Rozległy zawał u piętnastolatki? Tkanka nie pęka sama z siebie, Katie. Serce nie pęka tak po prostu na pół, do cholery !

- Uspokój się - poprosiła mama. - Jack cię usłyszy. Tato odetchnął głęboko. Wyglądało na to, że próbuje się opanować.

- Mój zespół nigdy nie widział takiego przypadku - stwierdził, trąc oczy. - Brie mogłaby nam pomóc ratować innych, żeby coś takiego już się nie powtórzyło.

- To nie twoja wina, Daniel - szepnęła mama. - To nie jest niczyja wina.
- Ten chłopak musiał mieć z tym coś wspólnego. - Tato pokręcił głową. - Wiem, że miał.
Masz rację, tato. Jesteś blisko.
- I co zrobisz? - spytała gniewnie mama. - Zamkniesz szesnastoletniego chłopca za to, że pokłócił się z twoją córką? On jest dzieckiem, Daniel. Widziałeś jej serce. - Jej głos znowu drżał. - Widziałeś je na własne oczy. Wszyscy widzieliśmy. Nie waż się twierdzić, że Jacob Fischer jest za to odpowiedzialny. - Załamała się i zaczęła szlochać.
Bardziej, niż wam się wydaje.
- Od tygodni sypiasz w pracy. - Mama odwróciła się przodem do niego. Po jej policzkach płynęły łzy. - Potrzebujemy cię tutaj, Danielu. Jack i ja potrzebujemy cię.
- A co z Brie? - spytał cicho. - Ona mnie nie potrzebuje?
- Jej nie ma! - krzyknęła mama na całe gardło. Ramiona jej się trzęsły.
Nie, nie, nie, proszę, nie kłóćcie się, błagam, nie kłóćcie się.
Miałam ochotę zakryć oczy i uszy, miałam ochotę uciec i więcej nie wracać. Ale nie mogłam oderwać się od tego okna.
- Jestem blisko - wyznał tato. - Mam teorię.
- Masz nas. - Mama szlochała. - Czy to nie wystarczy? - Próbowała go objąć, ale się odsunął.

- Nie. - Wstał. - Nie teraz. - Wziął z blatu kluczyki do auta. - Katie, jestem jednym z najlepszych kardiochirurgów na świecie. Zdajesz sobie sprawę, jak to wygląda? Jak to wygląda, że nie potrafię wyjaśnić, co się stało mojej córce?

Cały mój tato. Realista w każdej sytuacji. Ostatecznie właśnie w tym był najlepszy. Podawał fakty. Wyjaśniał prawdę. Ludzie przyjeżdżali z całego kraju -nawet z całego świata - żeby szukać u niego pomocy. Musiało go dobijać, że nie był w stanie poskładać do kupy mnie, własnej córki.

Mama była inna. Ona była artystką w naszej rodzinie. Wolnym duchem. Prowadziła lekcje rysunku dla zaawansowanych w Akademii Sztuk Pięknych w San Francisco. Kiedy się poznali, różnice dodawały im siły. Teraz te same różnice oddalały ich od siebie.

- Potrzebują mnie w szpitalu - rzekł tato.

- My potrzebujemy cię tutaj - odparła mama. Przestańcie, przestańcie, proszę, nie kłóćcie się,

nie przeze mnie. Tak mi przykro.

- Postaram się nie wrócić zbyt późno.

- A co z kolacją? - spytała z goryczą mama. - To jej urodziny, Daniel. Naprawdę będziesz dziś pracował do nocy?

Znieruchomiałam. Moje urodziny. Odwróciłam się do Patricka.

- Szesnaste - stwierdził. - Wszystkiego najlepszego, Brie.

Tato westchnął.

- Postaram się.
- Za słabo się starasz.
- Muszę to zrobić, Kathryn. - Jego głos brzmiał zimno. Gniewnie. Nie pamiętałam, kiedy ostatni raz zwracał się do mamy pełnym imieniem.

Wypadła z kuchni.

- Rób, co chcesz. Mnie to nie obchodzi. Odskokczyłam od okna kuchni i pognałam przez ogród. Wbiegłam na werandę, przeskakując po dwa stopnie na raz, do frontowych drzwi. Musiałam z nimi porozmawiać. Musiałam jakoś im powiedzieć, żeby się o mnie nie martwili. Myślałam, że wejdę do środka i wszystko będzie dobrze. Że znajdę sposób, żeby było dobrze. To moja rodzina. Potrzebowali mojej pomocy.

Me możesz, szepnął Patrick w mojej głowie.

Czego nie mogę? Przestań mi mówić, co mogę, a czego nie.

Wyciągnęłam rękę, przygotowując się na chłodny dotyk gładkiego, twardego metalu, jak tysiące razy przedtem. Ale kiedy chwyciłam gałkę i spróbowałam ją przekręcić, nic się nie stało.

Co jest, do...?

Spróbowałam jeszcze raz. I jeszcze raz. Nie mogłam się dostać do środka.

- Nienawidzę tego głupiego domu! - wrzasnęłam wściekle, próbując wykopać drzwi.

Ciągle nic. Robiłam wszystko: pchałam, napierałam, rzucałam się na nie całym ciałem, ale nawet nie drgnęły.

- Nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę tego!! - wrzeszczałam na całe gardło, a słowa paliły mnie w gardle jak rozżarzone węgle. Po minucie klapnęłam na schodki, dysząc ciężko. Byłam tak zła, że z moich rąk i pleców unosiły się smużki pary. Byłam dosłownie rozżarzona do białości.

Patrick powoli wszedł po schodkach.

- Lepiej ci?

Muszę wejść do środka. Nie możesz.

- To jakiś obłąd! - krzyknęłam. - Dlaczego nie? - Obróciłam się z powrotem, zerwałam się i jeszcze raz zaatakowałam drzwi. Krzyczałam, błagałam, żeby ktoś wpuścił mnie do domu.

- Nie jesteś gotowa, Brie. Jeszcze nie.

- Jak to, jeszcze nie? - wypaliłam. - Byłam na imprezie Jacoba. Dlaczego nie mogę wejść do domu? Popatrz, koncentruję się. - Wbiłam spojrzenie w drzwi i skupiłam się tak mocno, jak zdołałam. - Jestem skoncentrowana. To wszystko jest totalnie nielogiczne.

Patrick odparł cicho:

- I nie musi być, aniołku.

Minął mnie Jack i bez najmniejszego kłopotu, jednym ruchem gałki otworzył drzwi.

Próbowałam przemknąć się za nim. Próbowałam wsunąć stopę w szparę. Wszystko, byle tylko dostać się do środka. Ale drzwi zatrzęsnęły mi się przed nosem.

Nie jestem tu mile widziana.

Osunęłam się na kolana i oparłam czoło o jedno z wysokich, wąskich okien, które znajdowały się po obu stronach drzwi. Rodzice znowu krzyczeli. Głos taty grzmiał, głośny i wyraźny, słyszałam też, że Sznycel szczeka jak oszalały. Huknęłam się pięściami w uda. - Jestem tutaj! Przestańcie w tej chwili! Przestańcie się kłócić!

Zajrzałam przez okno. W środku wszystko wyglądało tak samo jak zwykle. Te same drewniane podłogi, te same szafy na ubrania, ta sama witryna z porcelaną w jadalni, te same niekończące się rzędy półek z książkami. Śliczne, małe roślinki doniczkowe mamy, zdobiące naszą przeszkloną werandę, wszystkie zdziczałe i zaniedbane, i pewnie zasuszone prawie na śmierć.

Ale nic nie mogłam zrobić. Mogłam tylko patrzeć, jak moja kochana, niegdyś idealna rodzina rozpada się na moich oczach. Zacisnęłam powieki i stuknęłam czołem o szybę. To koszmar. To jakiś koszmar. To wszystko jest nie fair.

Moją uwagę przyciągnęło nagle ciche niuchnięcie. Potem skomlenie i radosne kichnięcie. Uniosłam wzrok i rozplynęłam się ze wzruszenia.

Tuż przede mną, wpatrzony we mnie przez szybę, z tymi swoimi długimi, jedwabistymi uszami i słodkim pyskiem ledwie centymetry od mojej twarzy, siedział Sznycel.

Total Eclipse of the Heart

To nie mogła być prawda. Te wielkie, brązowe oczy nie mogły patrzeć na mnie. Obróciłam się, żeby zerknąć na ulicę. Tam musiała być jakaś wiewiórka czy kot albo jakiś inny zwierzak, który go zainteresował. Może biegacz? A może frisbee, które zabłąkało się tutaj z ogródka Bren-nerów? Ale nic nie zauważyłam. Nic się nie poruszało. Hm, dziwne. Odwróciłam się z powrotem do okna, a Sznycel wciąż tam był - wciąż siedział w tym samym miejscu i wciąż patrzył prosto na mnie. Nie ruszył się ani o centymetr. Jego biała pierś była wyprężona, a głowa z ciekawością przekrzywiona na bok. Niuchnął powietrze i szczerknął basowo, niepewnie.

- Cześć, przystojniaku - szepnęłam.

Znów uroczo przekrzywił głowę, jak zwykle robią to psy, kiedy chcą spytać: co jest grane? Zaczął lekko bębnić ogonem o podłogę.

* *Całkowite zaćmienie serca.*

To jest absolutnie niemożliwe. Nie mogłam się powstrzymać. Powoli wyciągnęłam rękę w stronę szyby.

Odskoczył do tyłu i zaczął szczekać.

- Ciii - powiedziałam. - Cicho!

Uniósł uszy, kiedy tylko usłyszał mój głos.

- Dobry piesek. - Wbiłam spojrzenie w jego słodki pysk basseta. - Chodź, piesku. Chodź. - Znow sięgnęłam ku niemu. Położyłam dłoń na szybie.

Szyncel znieruchomiał. Przestał bębnić ogonem i ostrożnie wyciągnął głowę, żeby znow powąchać.

- Szyncel? - Spojrzałam w jego oczy. Ale nie było w nich nic, co wskazywałoby, że mnie poznał. Nic.

On mnie nie widzi. Kogo ja chcę oszukać?

- Przykro mi - powiedział cicho Patrick stojący na schodach werandy. - Naprawdę.

- Ależ jestem głupia - powiedziałam. - Miałaś rację. Utknęłam tu na zawsze, na całą cholerną wieczność, bez rodziny i przyjaciół...

- Hm, dzięki - wtrącił Patrick.

- .. .bez chłopaka i nawet psa...

- Brie, czekaj...

- ...aż moja dusza przestanie istnieć albo cały wszechświat eksploduje...

- Brie, popatrz... - ... czy co tam nastąpi pierwsze...

- Boże, popatrz wreszcie!

- Hę? - Uniosłam wzrok.

Sznycel drapał w okno. Dokładnie tam, gdzie przed chwilą była moja ręka.

- O Boże - szepnęłam. Nie mogłam w to uwierzyć. To była jedyna sztuczka, jakiej zdołaliśmy go nauczyć.

Próbuje mi podać łapę.

Łzy popłynęły mi po policzkach, roześmiałam się na całe gardło.

- Ty zwariowany kundlu, jednak mnie widzisz! -Cały mój gniew stopniał na chwilę.

Zaczęłam podskakiwać, klaskać i śmiać się głośno, a Sznycel szczekał i ujadał, i kręcił się w kółko po drugiej stronie szyby.

- Dobry piesek - krzyknęłam. - Dobry piesek! Odpowiedział podskokiem i zaczął lizać szybę jak

wariat.

Patrick pokręcił głową.

- A niech mnie. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- Sznycel, przestań szczekać! - usłyszałam wołanie mamy z kuchni. - Kto jest przy drzwiach?

- To ja! - krzyknęłam. - Mamo, to ja! Podeszła do drzwi, usłyszałam kliknięcie zamka.

Nagle stała tuż przede mną. Mama.

Stałyśmy twarzą w twarz.

Wyciągnęłam rękę, ale moja dłoń przeszła przez nią.

Nie, proszę. Proszę, zobacz mnie. Jestem tutaj.

Zadrżała lekko i opatulila się szczelniej swetrem. Ale Sznycel wykorzystał okazję: rzucił się przez otwarte drzwi i obsypał mnie psimi całusami. Nie mogłam się

go dość naprzytulać. Nigdy tak bardzo nie pragnęłam być obśliniona przez psa.

- Sznycel, przestań. - Mama chwyciła go za obrozę i spróbowała wciągnąć z powrotem do środka, oderwać ode mnie. Widziałam po jej twarzy, że jest trochę przestraszona.

Wiedziała, że coś jest nie tak. Nie wiedziała tylko co.

Zanim zdążyłam jej dosięgnąć, sprawić, żeby zrozumiała, cofnęła się za próg. Poczułam, jak na nowo wzbiera we mnie gniew i zniechęcenie.

- Mamo, mamo, mamo, nie...

- Chodź, Sznycel. Dostaniesz śniadanie.

- Stój! Zostań ze mną! - To było nie fair. Chciałam tylko wejść do środka. Do diabła, dlaczego nie mogłam wejść do środka?! Zrobiłam krok przed siebie i Sznycel znów zaczął szczekać, jeżąc sierść na karku.

- Co w ciebie wstąpiło? - spytała mama. - Przestań. W tej chwili przestań.

Nie ruszył się. Nie chciał mnie zostawiać.

- Sznycel Eagan, do domu, w tej chwili. - Mama surowym gestem wskazała salon.

Zaskomlił przeciągle, piskliwie, jakby wiedział, że nabroił, i spojrzał na mnie, szukając wsparcia. Nie rozumiał, dlaczego nie mogę wejść do domu z nim. Chciałam, żeby ktoś wyjaśnił to nam obojgu.

- W porządku, Kotleciku - powiedziałam miękko. - Idź do domu. Idź z mamą. - Uklękałam.

Chwyciłam jego pysk w dłonie i wyciąłowałam nos. - To i tak dużo. Mamy przynajmniej to.

- I pchnęłam go do środka.

Mama zamknęła drzwi tuż za nim, odcinając mnie na dobre. Patrzyłam na nią przez zimne szkło.

- Szlag mnie trafia.

- Jak nas wszystkich - orzekł Patrick. - Jak nas wszystkich.

Nagle usłyszałam odgłos otwieranych drzwi garażu.

- Jadę do szpitala - dobiegł mnie głos taty z wnętrza domu. Nie brzmiał przyjaźnie. Ani odrobinę.

Nie, tato. Nie jedź.

Otarłam twarz, zerwałam się z klęczek i zbiegłam po schodkach. Jeśli ktokolwiek zamierzał opuścić ten dom, będzie musiał mnie przejechać. Pędem obiegłam narożnik, mijając kolorowe róże mamy.

- Tato! - wrzasnęłam. - Nie jedź!

Włożył kluczyk do stacyjki, zapalił silnik i wycofał z garażu na podjazd. Widziałam jego twarz, kiedy rozglądał się, czy nic nie jedzie; w końcu skręcił w prawo i popędził ulicą.

Jakby chciał jak najszybciej uciec.

Ale ja miałam dość tego, że wiecznie jestem wykluczana. Więc ruszyłam w stronę ulicy.

Ruszyłam truchtem. Po chwili gnałam już jak szalona, tak szybko, jak niosły mnie nogi.

Brie, do diabła, co ty robisz? Biegnę za nim, a niby na co to wygląda?

Patrick natychmiast był przy mnie. Chwycił moją dłoń.

Trzymaj się.

Sekundę później moje stopy grzmotnęły o betonowy chodnik pod Akademią Medyczną San Francisco.

Poleciałam z dziesięć kroków do tyłu, prosto na żywopłot.

- Uch - stęknełam, kiedy powietrze wreszcie powoli napłynęło mi do płuc. - To bolało.

- Siedem i pół - powiedział Patrick. - Niezła wysokość, niezła odległość, ale trzy punkty karne za fatalne lądowanie.

- Daj mi spokój. - Rozmasowałam posiniaczone kolana. - Jest mgła. Słaba widoczność. A poza tym sam spróbuj to zrobić w sukience. Żądam powtórnego naliczenia punktów.

- No już, już, nie bądź pazerna. Masz szczęście, że przyznałem ci dodatkowe pół punktu.

Ze śmiechem podciągnął mnie na nogi. Otrzepałam się i pokuśtykałam do krawężnika.

Teraz wystarczyło tylko poczekać.

Piętnaście minut później zobaczyłam wreszcie stare bmw taty nadjeżdżające ulicą.

Włączył migacz, skręcił w lewo i zaparkował niedaleko wejścia do szpitala. Wstałam, kiedy ruszył w moją stronę.

Tato, jestem tutaj.

Wyciągnęłam rękę, by go dotknąć, ale tak jak z mamą, moja dłoń przeniknęła przez niego na wylot. Szedł dalej. Więc ruszyłam za nim. Poszłam przez automatyczne, rozsuwane drzwi oddziału ratunkowego, korytarzem pachnącym plastikiem i płynem do mycia glazury, do otwartej windy. Wcisnął guzik trzeciego piętra i oparł się o ścianę, zamykając oczy. Wreszcie mogłam mu się lepiej przyjrzeć.

Był zaniedbany i nieogolony. Pod oczami miał sińce, które chyba od dawna nie znikwały, i był chudszy. Ale nadal przystojny. Spróbowałam chwycić jego dłoń.

Tato, to ja.

Odsunął się i schował rękę do kieszeni. Winda stanęła. Brzdęknęła dwa razy. Drzwi się otworzyły.

Patrick i ja poszliśmy za nim kolejnym korytarzem oświetlonym jarzeniówkami, przez dwuskrzydłowe, wahadłowe drzwi. Minęliśmy oddział intensywnej terapii i wreszcie skręciliśmy w lewo, do skrzydła mieszczącego oddział kardiologiczny.

Zadrżałam, żołądek mi się ścisnął. Ostatnim razem wchodziłam tutaj na noszach. A tato trzymał mnie za rękę. Chociaż już nie żyłam.

Jeszcze raz skręciliśmy w lewo i dotarliśmy pod drzwi jego gabinetu. Tato pogrzebał w kieszeni marynarki, wyjął pęk kluczy i otworzył zamek. Weszliśmy za nim do środka, choć niewiele widzieliśmy, bo w pokoju było kompletnie ciemno. Zamknął drzwi za nami. Na klucz.

Zaraz, dlaczego zamknął drzwi na klucz?

W końcu zapalił światło. A ja zachłysnęłam się ze zdumienia.

Gabinet wyglądał, jakby wybuchła w nim bomba. Albo jakby przeleciał przezeń huragan. Kompletnie pobojuwisko. Wszystkie ściany, od podłogi do sufitu, oblepione były kartkami. Wycinkami z gazet. Zdjęciami rentgenowskimi. Fotografiami. Stronami z dziennika. Dziesiątkami notatek. Nie zostało ani milimetra białej powierzchni.

Co to ma być?

Może znalazł sobie nowe hobby, zażartował Patrick.

Rzecz w tym, że Patrick miał rację. A tym nowym hobby byłam ja.

Przeciągnęłam dłońmi po zalepionych, zmienionych w kolaż ścianach, przeglądając nagłówki. NASTOLATKA Z HALF MOON BAY UMIERA NA ROZLEGŁY ZAWAŁ PIĘTNASTOLATKA UMIERA NA SERCE -CZY WASZE DZIECI SĄ ZAGROŻONE? Na ścianach było mnóstwo podobnych artykułów i krótkich wycinków, a nawet kilka okładek czasopism przedstawiających moją twarz.

To wszystko o mnie?

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- No proszę - odezwał się Patrick. - Jesteś sławna.

Podeszłam do taty, który usiadł przy biurku. Patrzyłam, jak przegląda sterty czasopism, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby wyciąć jakiś artykuł, a czasem wyciągnąć naukową książkę z zabałaganionych, zakurzonych półek i coś w niej sprawdzić. Bazgrolił niekończące się zapiski w notesach, których była niezliczona liczba. Spisał w nich pytania, teorie i przypadki, na które trafił podczas swoich badań.

Nigdy nie widziałam go w takim stanie. Był jak jakaś dziwna, alternatywna wersja samego siebie. Doprowadzony do obłądu tym wszystkim, czego nie potrafiła wyjaśnić medycyna. Mama miała rację: miał obsesję. Nie zatrzyma się, dopóki nie rozwiąże zagadki.

Och, tato, to tylko pęknięte serce. Nie potrzeba tu geniusza.

Skuliłam się na czarnej, skórzanej kanapie, na której Jack i ja produkowaliśmy karteczki z przepowiedniami z notesów taty, a potem wróżyliśmy sobie na głos. „Trójka dzieci. Jeden zwierzak - złota rybka o imieniu Flipper. Będziesz mieszkać w pałacu. Będziesz astronautą”.

Ale tego nie bylibyśmy w stanie przepowiedzieć. Nigdy w życiu.

Czułam ból w piersi, patrząc na niego w takim stanie. Tak strasznie namieszałam w życiu tylu ludzi. Kochałam tatę jeszcze mocniej, widząc, jak mu zależy. Jak bardzo pochłonęła go największa tajemnica w jego karierze: ja.

Zadzwoił telefon. Tato odebrał.

- Tak? - Słuchał przez chwilę. - Kotku, nie płacz. Wiem. Ja też przepraszam.

Usiadłam prosto. *To mama. Godzą się.*

- Okej - powiedział tato. - Dobrze. Zaraz przyjadę. Wraca do domu, wraca do domu, wraca do domu! Zerwałam się z kanapy. Byłam podekscytowana jak dziecko w gwiazdkowy ranek.

Tato skończył pisać e-mail, spakował teczkę, zgasił światło i zamknął drzwi na klucz.

Poszliśmy za nim na parking i usadowiliśmy się na tylnym siedzeniu samochodu. Strasznie się cieszyłam, że wyszliśmy ze szpitala.

- Nie wierzę, że zmuszasz mnie do jazdy tym starym rżęchem - burknął Patrick. - Będę pośmiewiskiem,

jak ktokolwiek się dowie. Śmiganie to o wiele lepszy środek transportu.

Zachichotałam. Zabawnie było patrzeć, jak się złości.

Pędziliśmy ulicą. Tato włączył radio. Bon Jovi.

- O Jezukochamtenkawalek! - krzyknęłam. Przepęłniała mnie nadzieja, jakiej nie czułam od dnia, kiedy trafiłam do pizzerii. - Tato, zrób głośniej! - Zaczęłam śpiewać na cały głos.

- *Ooo-o, livin' on a prayer!**

- Rany. Mój słuch już nigdy nie wróci do normy - grymasił Patrick. - Przypomnij mi, żebym na następne urodziny wykupił ci lekcje śpiewu.

- Jasne - rzuciłam drwiąco. - Myślałby kto, że jesteś lepszy.

Uniósł brew.

- Ucz się od mistrza. - Odrzucił głowę do tyłu i wydarł się na całe gardło.

- *Take my hand, and we'll make it, I swea-ear! Ooo-o, livin' on a prayer!***

Najlepsze, że Patrick był niezły. Naprawdę, naprawdę niezły. Zrobił na mnie wrażenie.

- Stary! Powinieneś wystartować w *Idolu*] Uśmiechnął się i rzucił mi niewidzialny mikrofon.

- Spróbujemy na głosy?

Staralam się jak mogłam, ale po kilku sekundach skrzeczenia oboje wybuchnęliśmy histerycznym śmie-

* Oo, żyję modlitwą!

** Weź mnie za rękę i damy radę, przysięgam! Oo, żyję modlitwą.

chem. No i co z tego, że odkrył moją jedyną wadę. Śmiech był przyjemny. Niesamowicie przyjemny.

Już wszystko dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Patrick uśmiechnął się do mnie. Odpowiedziałam tym samym.

Brie? - usłyszałam jego szept w głowie. *Pamiętasz, jak...*

- Hej! - krzyknęłam, kiedy minęliśmy targ warzywny. Skołowana obejrzałam się przez ramię. - Tato, co ty robisz? Przegapiłeś skręt.

Jeździ do domu inną drogą? Dziwne. Mknęliśmy szosą, mijając znajome ulice. Może chce gdzieś wpaść, żeby kupić mamie kwiaty? Stanęliśmy na czerwonym świetle i tato włączył migacz.

- Tato, dlaczego tutaj skręcasz?

Przepuścił dwa samochody i szybko skręcił w lewo, na parking hotelu Hilton. Co jest w Hiltonie?

Zaparkował, przestawił dźwignię biegów na „stop” i wyłączył silnik. Odpiął pas bezpieczeństwa i wysiadł. Co on robi, do diabła?

Patrick nie zdecydował się zgadywać. Był równie zdezorientowany, jak ja.

Poszliśmy za tatą przez hotelowe foyer, pełne usłużnych boyów, z wielkimi żyrandolami i sztucznymi palmami. Wsiadliśmy z nim do windy i wjechaliśmy na dziesiąte piętro.

Dziesiątka, moja szczęśliwa liczba.

Ruszyliśmy za nim długim korytarzem. Aż zatrzymał się przed pokojem 1008. Puknął dwa razy w drzwi. Usłyszałam, jak ktoś w środku przekręca zamek. Drzwi się otworzyły.

To była kobieta.

Zamarłam.

Nie.

Jasne włosy, ostrzyżone krótko, na chłopczycę. Błękitne oczy. Nie.

- Daniel.

- Sarah. Pani Brenner?

Nie mogłam oddychać. Moja nauczycielka. Moja sąsiadka. Przyjaciółka mojej matki.

Tato rzucił teczkę. Rozluźnił krawat. Nim się zorientowałam, co jest grane, załamał się i zaczął płakać. Najpierw cicho, potem coraz głośniej, aż kompletnie rozkleił się w jej ramionach.

Nie, proszę. Proszę, nie.

- Niewiarygodne - szepnął Patrick. Boże, chyba się porzygam.

A oni się obejmowali. Całowali się.

Pognałam korytarzem, nie oglądając się za siebie.

*Shot Through the Heart, And Youre to Blame**

Kręciło mi się w głowie. Nie wiedziałam, co robię, dokąd idę, która jest godzina ani nawet który rok. Wiedziałam tylko, że zostałam okłamana. Mój cały świat, tożsamość i cała moja egzystencja były jednym wielkim, gigantycznym, ani trochę nie śmiesznym dowcipem. Jeśli twoi rodzice - dwójka ludzi tak totalnie zakochanych, że każdy, kto ich poznaje, stwierdza, że są dla siebie stworzeni - jeśli nawet oni nie potrafią przetrwać, to jak ja mam wierzyć w hasła typu „rodzina” i „na zawsze”?

Byłam wściekła. Wściekła na tatę, że wszystko zepsuł. Wściekła na panią Brenner, że wbiła mojej rodzinie nóż z plecy. Wściekła na Jacoba, że nieproszony wpakował się w moje szczęśliwe, proste życie. Byłam wściekła nawet na Patricka, że ściągnął mnie

* Postrzelona w serce, i to twoja wina.

z powrotem, żebym to wszystko zobaczyła. Byłam taka wściekła, że nawet nie mogłam na niego patrzeć.

W szale wywołanym widokiem mojego ojca całującego się z kobietą inną niż matka śmignęłam z Hiltona prosto do centrum Half Moon Bay. I nawet dość miękko wylądowałam, co było niesamowite. Szkoda, że nie miałam nastroju, żeby się tym cieszyć.

- Chcesz o tym pogadać? - spytał Patrick, kiedy już skumał, gdzie się podziałam.

- Nie.

Krótko. Zwięźle. Na temat.

Po drugiej stronie Main Street jakiś stary hippis zaczął śpiewać piosenkę Neila Younga, którą poznałam. Była to jedna z ulubionych piosenek taty.

Because I'm still in love with you, I wanna see you dance again.

*Because I'm still in love with you, on this harvest moon *.*

- Zamknij się! - wrzasnęłam na niego. - Nikt nie chce tego słuchać!

- Hm, domyślam się, że to nie najlepszy moment - powiedział Patrick, kiedy mijaliśmy Pasta Moon, jedną z ulubionych restauracji Sadie. - Ale mam dla ciebie niespodziankę.

- Nie cierpię niespodzianek.

- Dziwne, słyszałem co innego.

- To źle słyszałeś.

* Ponieważ ciągle cię kocham, chcę znów zobaczyć, jak tańczysz/ponieważ ciągle cię kocham w tę jesienną pełnię księżyca.

Szłam w stronę parku Pilarcitos Creek. Potrzebowałam zniknąć na jakiś czas. Posiedzieć na trawie. Zaczerpnąć powietrza. Popatrzeć, jak upaleni goście dyskutują o energii odnawialnej czy innych podobnych rzeczach.

- Och, nie żartuj. - Patrick jęknął, kiedy zdał sobie sprawę, dokąd go prowadzę. - Nie wiesz, że jestem uczulony na słońce i radość?

- To moje urodziny, ja decyduję.

- Dobra - zgodził się. - Byle nie wieczorem. Wieczór organizuję ja.

Wzruszyłam ramionami.

- Jak tam chcesz.

Weszliśmy spory kawałek w głąb parku, klucząc krętymi alejkami, aż znalazłam wielki trawnik, który wydał mi się odpowiedni. Ładny widok, dużo słońca, doskonały stosunek trawy do łysej ziemi. Podeszłam do starej, samotnej topoli, położyłam się na plecach i wystawiłam twarz do słońca. Próbowałam wymazać z głowy obraz mojego ojca w ramionach tamtej kobiety. Kobiety, której ufałam. Kobiety, którą lubiłam. Na myśl o niej robiło mi się niedobrze.

Czy mama się domyślała? Od jak dawna to mogło trwać? Pocałunek taty z panią Brenner z pewnością nie wyglądał na ich pierwszy.

Uch, obrzydlistwo.

Oto człowiek, który całe życie był dla mnie wzorem. Bohaterem. W takim czy innym punkcie życia był bohaterem dla nas wszystkich. I ciągle był nim dla Jacka.

Postanowiłam, że nigdy mu nie wybaczę. Bo to, co robił, było niewybaczalne. Zdradził mamę. Zdradził Jacka. Zdradził nawet Sznycla.

Zdradził nas wszystkich.

- I to dzisiaj. Jakby już nie miał kiedy. - Głos mi drżał, łzy piekły w kącikach oczu, ale nie płakałam. Byłam zbyt wściekła, żeby płakać. - Miłość to jedna wielka ścierna.

Przypomniało mi się, jak rodzice Jacoba w zeszłym roku przez krótki czas żyli w separacji. Jak byłam przy nim przez cały czas i jak dosłownie płakał w moich ramionach tego dnia, kiedy jego tato się wyprowadził. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy. Wyglądał jak mały chłopiec, przestraszony i skołowany. Zastanawiał się, czy nie mógł temu jakoś zapobiec. Pamiętam, że pojechałam tego wieczoru do domu na rowerze i uściskałam oboje rodziców, chociaż nakrzyczeli na mnie, że wróciłam prawie godzinę spóźniona, tuż przed dwunastą. Uściskałam ich oboje i nie chciałam puścić. Tak się cieszyłam, że różnimy się od innych rodzin.

Byliśmy szczęśliwi. Byliśmy bezpieczni. Nic nie mogło nas rozdzielić.

Ale się myliłam.

Myliłam się w bardzo wielu sprawach.

*16 Candles Make a Lovely Light**

Patrick i ja siedzieliśmy na trawniku przez resztę popołudnia. Niewiele rozmawialiśmy. Przede wszystkim wchłanialiśmy chłodne, listopadowe słońce, wyciągnięci bok przy boku, i patrzyliśmy, jak chmury przesuwają się nad naszymi głowami.

- Pudel - powiedział Patrick, wskazując wielki, puchaty obłok wprost nad nami.

Parsknęłam.

- Ślepy jesteś? To najmniej pudlowata chmura, jaką widziałam.

- Rany. To było niemiłe, Kremowy Serku. Naprawdę niemiłe.

- Przecież jest oczywiste, że to królik - stwierdziłam, przewracając oczami.

Mijały godziny. Patrzyliśmy na skejtów jeżdżących wokół nas z majtami sterczącymi spod zwisających dżinsów. Patrzyliśmy na nianie popychające wózki

** 16 świeczek daje śliczne światło.*

z dziećmi i dwukilowymi chihuahua wystrojonymi w lepsze ciuszki niż moje wszystkie razem wzięte.

Ale mimo tych wszystkich widoków mój głupi mózg wciąż był pełen myśli o Jacobie. Myślałam o tych niezliczonych letnich dniach, które spędzaliśmy razem w tym samym miejscu. Gadając. Grając w karty. Zasypiając w swoich ramionach. Budząc się z ustami przy ustach.

Czy kiedykolwiek przestanie tak strasznie boleć?

Patrick nie miał żadnej dowcipnej odpowiedzi na to pytanie. Może wreszcie trzymał się z daleka od moich myśli, tak jak mu kazałam, a może wiedział, że jego odpowiedź by mi się nie spodobała.

Dzień dobiegał końca. Mgła zaczęła nadpływać znad hrabstwa Sonoma, a słońce powoli zniżało się nad zatoką.

- Obawiam się, że już pora, kwiatku - powiedział Patrick, przeciągając się. Wstał i otrzepał dzinsy.

- Na co pora? Ja nigdzie nie idę. Będę dzisiaj spać w parku.

- Jeszcze czego. - Roześmiał się. - Oj, nie psuj imprezy.

Chwycił mnie za rękę, błyskawicznie poderwał z ziemi. Pod podszwami baletek poczułam znajome, trzaskające iskry.

- No nie, znowu to samo.

Wystrzeliliśmy w górę jak fajerwerk. Czułam, jak ziemia oddala się ode mnie. Nie otworzyłam oczu. Wolałam nie wiedzieć, jak wysoko jesteśmy.

Nigdy nie nabierzesz wprawy, aniołku, jeśli się czasem nie rozejrzysz. Uch, okej, dobra.
Uchyliłam jedną powiekę. I przekonałam się, że owszem, byliśmy ze trzy kilometry nad ziemią.

- Nie waż się mnie upuścić - warknęłam przez zaciśnięte zęby.

Patrick wyśmignął nas z parku i ruszył w stronę Kawalka.

A przynajmniej tak sądziłam. Kiedy w następnej chwili nasze stopy dotknęły ziemi, poczułam, że piasek wypełnia mi buty, gorący, uprażony w popołudniowym słońcu. Nawet w listopadzie piasek był gorący. To Kalifornia.

Rozpoznałam skalne urwiska - wysokie, majestatyczne - i fale odpływu, odbijające się od brzegu i tworzące idealnie równoległe, białe smugi. Doskonale znałam te dzikie kwiaty, pomarańczowe, czerwone i lawendowe, tańczące w oceanicznej bryzie i wyrastające w najdziwniejszych miejscach - spomiędzy kamieni, spod morskich muszli.

Plaża Mavericks. Byłam tu tysiące razy. To jedno z moich ulubionych miejsc w Half Moon Bay. Tutaj Jacob zabierał mnie na tyle randek, i tu ostatniej nocy wakacji przyszliśmy po kryjomu ze śpiworem. Tu zagonił mnie do wody i całował pod gwiazdami, które spadały jedna za drugą. Gdzie tak naprawdę ostatecznie skradł mi serce.

PS. Chcę je z powrotem.

Patrick mógł mnie zabrać w tyle miejsc - tyle miejsc, które coś znaczyły - a przyprowadził mnie w to jedno, do którego pewnie nigdy nie powróciłabym z własnej woli. Choć może właśnie to miejsce potrzebowałam zobaczyć najbardziej ze wszystkich.

- Skąd wiedziałaś?

Patrick wzruszył ramionami i posłał mi swój sztandarowy uśmiech.

- Strzeliłem na ślepo. - Wskazał coś za moimi plecami. - Odwróć się.

Posłuchałam. I nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Kawalek dalej, podświetlone idealnym, kalifornijskim zachodem słońca - rzadkie widowisko z powodu mgły, która zwykle przychodzi wieczorem - były moje trzy ukochane przyjaciółki.

Emma, Tess i Sadie, w dżinsach i bluzach, z poduszkami i śpiworami, przytulone na wielkim plażowym kocu. Obok nich, na tle pomarańczoworóżowego nieba, trzaskało małe ognisko. Na ich widok, siedzących tu razem, łzy napłynęły mi do oczu. Spojrzałam na Patricka.

Co to jest?

Uśmiechnął się promiennie.

Impreza urodzinowa. Twoja.

Odjęło mi mowę. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć, jak mu dziękować. Spróbowałam nawet otworzyć usta, ale nie wyszło z nich żadne słowo.

Przyłożył palec do ust.

- Czekają na ciebie. Dzisiejsza noc, moja droga, jest twoja. Ciesz się nią.

I nagle, zanim zorientowałam się, co się dzieje, Patrick się pochylił. Powoli, słodko, musnął wargami mój policzek. Zamknęłam oczy i przysięgłabym, że przez ułamek sekundy czułam najłżejszy trzepot w piersi -delikatne, motyle skrzydła, poruszające się w miejscu, gdzie było kiedyś moje serce. Choć to niemożliwe.

Zaraz.

Kiedy po kilku sekundach otworzyłam oczy, Patricka już nie było. Rozpłynął się w wieczornym powietrzu, jakby w ogóle tu ze mną nie przyszedł.

Rany, koniecznie musiałam się tego nauczyć.

Powoli ruszyłam po piasku w stronę moich przyjaciółek. Tak strasznie chciałam do nich pobiec. Uściskać je. Przytulić się do nich, wszystkich trzech, i patrzeć z nimi, jak cudowne, płomienne słońce tonie w falach.

Kiedy podeszłam bliżej, usłyszałam ich głosy, czysto i wyraźnie. Rozmawiały o mnie.

- Ciągle nie mogę uwierzyć, że jej nie ma - wyznała Tess. Mocno obejmowała kolana, opatulona w niebieski polar. - To się wydaje nierzeczywiste.

Sadie skinęła głową.

- Ja chyba nigdy nie uwierzę. - Przez chwilę patrzyła na ocean; ukryła twarz w dłoniach. - Tak strasznie za nią tęsknię.

Dziewczyny, ja tu jestem. Jestem tutaj.

- Nawet nie mogę na niego patrzeć - powiedziała Emma. - Za każdym razem, kiedy mijam go na korytarzu. .. - Pokręciła głową. - Kim trzeba być, żeby nie przyjść na uroczystość pożegnalną swojej dziewczyny?

Cofnęłam się o krok. Więc nie widziały, jak chował się na tyłach auli. Pewnie nikt nie widział. Tess zacisnęła zęby.

- Co za palant.

- To co przyniosłyście? - przerwała jej Sadie, podświetlona blaskiem ognia za plecami. Emma wyjęła z torby koszulkę. Granatową, z długimi rękawami, z małym rozdarciem z przodu.

To była koszulka Jacoba. Zostawił ją u mnie w domu, a ja ciągle „zapominałam” ją oddać, bo była ciepła i miękka i pachniała nim. Zasypiałam z nią tyle razy, że nawet nie warto liczyć.

Powinłam ją wyrzucić, kiedy jeszcze mogłam.

- Doskonale - pochwaliła Sadie. - Tessie?

Tess poderwała się, aż podfrunęły jej rude włosy, i sięgnęła do tylnej kieszeni dzinsów. Wyjęła zdjęcie. Podeszłam bliżej, żeby spojrzeć.

Było to zdjęcie, które miałam przyklejone w szkolnej szafce, przedstawiające mnie i Jacoba w wesołym miasteczku. Zrobił je, kiedy wjechaliśmy na szczyt twistera - największej i najfajniejszej kolejki górskiej w mieście - kilka sekund przed zjazdem z pierwszego, gigantycznego spadku. Miałam zamknięte oczy i roześmiane, rozwrzeszczane usta. On całował mnie w policzek. Było to moje najulubieńsze zdjęcie nas dwojga.

Pewnie jego nowa dziewczyna ma już w szafce identyczne.

- Teraz ja - powiedziała Sadie. Przechyliła się nad Emmą i wzięła swoją torebkę, tę z L.L. Bean,

z inicjałami wyszytymi z przodu: STR, Sadie Taylor Russo.

Zawsze byłaś gwiazdą, od urodzenia.

Sadie pogrzebała w środku i wyjęła pudełko, które natychmiast rozpoznałam, bo należało do mnie. Była to stara skrzynka po cygarach, wytarta na rogach i pokryta kwiatkami wyciętymi z gazet, które przylepiałam na niej przez lata. Uniosła wieczko i wyjęła pamiętnik w czerwonej, skórzanej okładce, przewiązany delikatną, czarną koronką.

O. Mój. Boże.

Klapnęłam na piasek koło przyjaciółek, śmiertelnie zawstydzona.

- Serio, dziewczyny? Naprawdę chcecie mi to zrobić?

Prowadziłam pamiętnik, od kiedy zaczęłam chodzić z Jacobem. Był pełen marnych wierszy, ckliwych listów miłosnych, które pisałam do niego i nigdy nie wysyłałam, bo: a) to zbyt żenujące i b) tak naprawdę nie były do niego, tylko do mnie.

I dlatego, że miałby namacalny dowód, jaką jestem idiotką.

Jęknęłam, a moje policzki przybrały odcień jaskrawej czerwieni. Nie chciałam nigdy więcej oglądać tego głupiego pamiętnika.

- Drogie panie, pozwolicie mi czynić honory? - spytała Sadie.

Jezuu, ona naprawdę to robi. Naprawdę zamierza to czytać!

Zatkałam uszy, przygotowując się na największe upokorzenie w historii.

- Dawaj - zachęciła Emma, ściskając dłoń Tess. Sadie ostrożnie rozwiązała koronkową wstążkę

i schowała ją do kieszeni bluzy. Potem wstała i podeszła do ogniska. Otworzyła pamiętnik i się uśmiechnęła.

- Brie - powiedziała. - To dla ciebie.

Po tych słowach zaczęła drzeć pamiętnik na strzępy.

Opadła mi szczeka, kiedy zobaczyłam, jak wrzuca kartkę za kartką do ogniska; iskry strzelały w wieczorne niebo, kiedy płomienie pożerały moje słowa, moje życzenia, moje najskrytsze myśli o chłopaku, którego kochałam.

To było piękne. Magiczne. I po raz pierwszy od mojej śmierci coś zaczęło się zmieniać, przekształcać. Poczułam się lżejsza. Spokojniejsza.

I po troszeczku, po troszeczku zaczęłam się czuć wolna.

- Jea! - krzyknęła Emma. Podbiegła radośnie do ogniska, zwinęła w kulę koszulkę Jacoba i wrzuciła w ogień. - Zgiń, przepadnij! - zawołała, wymachując rękami w powietrzu.

Wybuchnęłam śmiechem, widząc, jak ciuch Jacoba zwija się i wykręca od żaru płomieni.

Wreszcie Tess uniosła moje zdjęcie z Jacobem. Pocałowała moją twarz, wzięła głęboki oddech i przedarła zdjęcie na pół. I jeszcze raz. I trzeci raz, aż z mojego niegdyś idealnego wspomnienia została garść małych, wściekłych kawałeczków. Uniosła ręce w górę

i zobaczyłam, jak chłodny, jesienny wiatr porywa je w powietrze - strzępki wspomnienia, muzyki, koloru i czasu zawirowały wokół nas.

Patrzyłyśmy we cztery, jak kawałki papieru unoszą się nad ogniskiem, zaczynają się żarzyć i płonąć na tle liliowego nieba. Patrzyłyśmy, jak zajmują się ogniem i lecą na ziemie niczym spadające gwiazdy.

- Wszystkiego najlepszego z okazji szesnastych urodzin, Eags - szepnęła Tess.

- Brakuje nam ciebie - dodała Emma łamiącym się głosem. - Strasznie.

- Kochamy cię, Brie! - krzyknęła Emma na całe gardło.

Przytłaczający ból - ale tym razem dobry ból - zapłonął w mojej piersi. Byłam taką szczęściarą, że je miałam. Nie, kimś więcej niż szczęściarą. Byłam naj większą szczęściarą na świecie.

Ja też was kocham.

Trzy dziewczyny wzięły się pod rękę. Podeszły na skraj wody. I kiedy ostatnie promienie słońca tonęły za horyzontem - daleko, daleko w morzu - moje najlepsze przyjaciółki otarły łzy i pożegnały się ze mną na dobre.

Every Breath You Take

Ognisko płonęło długo w noc. Dziewczyny spały, a ja patrzyłam, jak gwiazdy migoczą i bledną, i czułam ogarniający mnie dziwny spokój.

Chyba jestem gotowa.

Na co?

Żeby wrócić do Kawałka. Ruszyć dalej.

Chciałbym, żeby to było takie proste, aniołku.

Chwilę przed świtem schyliłam się i lekko uścisnęłam dłoń Sadie. Jej powieki zadrgały. Ku mojemu zaskoczeniu usiadła. Przeciągnęła się. Wyciągnęła rękę i spojrzała na telefon. Nagle przetarła oczy, założyła dodatkową bluzę i szybko, cicho wysunęła się ze śpiwora. Ostrożnie, żeby nie obudzić Emmy i Tess, założyła trampki i ruszyła po piasku.

Poszłam za nią.

Przez chwilę szłyśmy plażą na północ, aż okrążyłyśmy wydmy. Sadie ruszyła znajomą ścieżką w stronę

** Każdy twój oddech.*

miejsca, gdzie ustawione były stoły piknikowe. Miejsca, które odwiedzałyśmy milion razy, gdzie ludzie ze szkoły urządzali grille i mecze siatkówki w weekendy i wakacje. Sadie wybrała stolik i usiadła po turecku na ławce. Zająłam miejsce obok niej. Choć zaspana, była taka piękna. Długie, kręcone, ciemne włosy. Idealna, opalona skóra. Brązowe, ciepłe oczy. Roziskrzzone. Pełne życia.

Szkoda, że mnie nie widzisz. Chciałabym, żebyś wiedziała, że tu jestem.

Sadie i ja patrzyłyśmy razem, jak miękki blask świtu zaczyna rozlewać się po niebie sennymi pastelami -symfonia fioletów, błękitów i różu. Idealny wschód słońca. Emma i Tess pożałują, że go przegapiły. Leniuchy. Te dwie mogłyby spać w nieskończoność, gdyby im pozwolić.

- Jest tak pięknie - powiedziała Sadie, przerywając ciszę.

I nagle się rozplakała.

- Sadie? - Przysunęłam się bliżej, kiedy zaczęła szlochać i drżeć. Nigdy nie widziałam, żeby tak płakała. - Och, skarbie. - Klucha urosła mi w gardle. - Nie płacz. Jestem tutaj.

- Brie. - W jej głosie brzmiało tyle bólu. - Tak mi przykro. Tak strasznie mi przykro.

Dotarło do mnie, jak ciężko przeżywa moją śmierć. Jaka trudna było żałoba dla nich wszystkich. Odejść to jedno. Ale zostać... to chyba jeszcze gorsze.

- Już dobrze, już dobrze, cii, nie żałuj - szepnęłam, głaszcząc ją po plecach. - To nie twoja wina, Sadie.

Proszę cię, nie płacz. - Wzięłam ją w ramiona, chociaż mnie nie czuła. Po jej policzkach płynęły gorące łzy i przeciekały przez pęknięcia starego, drewnianego stołu.

Będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Może dlatego, że miałam zamknięte oczy. A może dlatego, że ona tak głośno płakała. Tak czy inaczej nie zauważyłam, że ktoś zbliża się po wydmach. Nie usłyszałam kroków na piasku.

- Sadie?

Ten głos.

Odwróciłam głowę i poczułam, jak Sadie wyślizguje się z moich objęć. Usłyszałam, że wybucha jeszcze głośniejszym płaczem, szlocha jeszcze gwałtowniej. I patrzyłam, zdruzgotana, w zwolnionym tempie, jak moja najlepsza przyjaciółka na całym szerokim świecie pędzi prosto w wyciągnięte ramiona Jacoba Fischera.

*What Becomes of the Broken Hearted?**

Dusza we mnie zdrętwiała. To ona. To Sadie.

- Nie - szepnęłam. Osunęłam się na kolana, widząc, jak moja pierwsza miłość chwyta dłonie mojej przyjaciółki. Nie wiem, jak długo ją tulił, i nie wiem, kiedy oderwali się od siebie, żeby mógł pójść z powrotem do samochodu, a ona wrócić do Emmy i Tess. Nie wiem nawet, ile czasu minęło, zanim Patrick wreszcie mnie znalazł, skuloną w kłębek, ze wzrokiem wbitym w horyzont na morzu. Czas nie miał już znaczenia.

Bo byłam w piekle.

- Staraj się o tym nie myśleć, aniołku - powiedział Patrick, kiedy już wziął mnie na ręce, jakbym nic nie ważyła, i zaniósł do Kawałka.

Przed oczami miałam tylko ramiona Sadie obejmujące Jácoba. Jej zaciśnięte powieki. Jego dłonie na jej

** Czym się stają ludzie o złamanych sercach?**

plecach. To wydawało się logiczne. Byli sobie bliscy od dziecka. Pewnie była w nim zakochana przez cały czas. A on w niej.

Nie. Dość. Należycie do mnie. Oboje. To dziwne uczucie, kiedy nagle zaczynasz obsesyjnie wspominać każdą chwilę spędzoną z najlepszą przyjaciółką. Odtwarzać w myślach setkę wspólnych noclegów, napady chichotu, babskie plotki, rozmowy o chłopakach, rozmowy o cyckach (albo ich braku), rozmowy o seksie, przelotne sprzeczki, tusz rozmazany od płaczu, weekendowe wyprawy rowerowe, urodzinowe uściski, chóralne śpiewanie Britney, SMS-y w przerwie na lunch, zakupy po szkole, czterogodzinne rozmowy przez telefon o wszystkim i o niczym.

Wszystkie te wspomnienia wciąż tak samo wyraźne. Wciąż tak samo znaczące. Ale nagle okazuje się, że znaczyły zupełnie co innego, niż ci się wydawało. Okazuje się, że to wszystko jedna wielka ścierna.

Dosłownie wszystko. To, co dobre, to, co złe, to, co pośrodku, to, o czym nie powiedziałaś nawet siostrze (jeśli masz siostrę). I chociaż rozpaczliwie chcesz wierzyć, że tak naprawdę nic, nigdy, nigdy nie może cię poróżnić z najlepszą kumpelą, musisz stawić czoło prawdzie: że ta przyjaźń, od początku do końca, była jednym wielkim żartem.

A najgorsze?

Ten żart był twoim kosztem. To Sadie. Moja najlepsza przyjaciółka. Moja najdawniejsza przyjaciółka. Przyjaciółka, która знаła mnie

dłużej, lepiej i dokładniej niż ktokolwiek inny. Znała mnie od początku do końca, z góry na dół i pewnie lepiej niż ja sama. Przyjaciółka, której się wyplakiwałam, kiedy moje papużki uciekły i nigdy nie wróciły. Przyjaciółka, która leżała ze mną wyciągnięta na dachu i wypowiadała życzenia do gwiazd, gdy moi rodzice już dawno spali. Przyjaciółka, z którą kiedyś chichotałam całą noc, kiedy przypadkiem (dodam, że okazał się bardzo pożyteczny) odkryłyśmy, że jej rodzice, ihaa, mają wykupiony Playboy Channel. To była przyjaciółka, która nauczyła mnie miliona karcianych sztuczek i poszła ze mną na pogrzeb babci Rity, i zawsze stawiała po mojej stronie, cokolwiek się działo.

To Sadie była osobą, do której zadzwoniłam w chwilę po tym, jak wpadłam do domu nad ranem tamtej nocy w zeszłe wakacje: jedenastego sierpnia 2010. Do śmierci zostało mi jeszcze pięćdziesiąt pięć nocy, moje serce wciąż biło, policzki wciąż mi płonęły, i choćbym nie wiem jak się starała, nie mogłam opanować dreszczy. Dobrych dreszczy. To była noc, kiedy straciłam dziewictwo.

Sadie odebrała telefon i natychmiast się domyśliła, zanim powiedziałam choćby jedno słowo.

- Zrobiłaś to, prawda? - szepnęła.

- Może. - Zachichotałam. - A może nie.

- Jezu, zrobiłaś to. Jak było? Cholera, Brie, jak było? Jego dłonie. Boże, jego dłonie wszędzie na moim

ciele. Jego pocałunki. Słodkie i lekkie, i głębokie, i szalone, i doskonałe.

- Aż tak dobrze, hm? - spytała tonem pełnym podziwu.

Roześmiałam się jak wariatka, ale zakryłam usta dłonią, na wypadek gdyby Jack albo rodzice podsłuchiwali pod drzwiami.

- Bolało?

Boże święty, tak.

- Właściwie nie.

- Ty mała zdiro, nie wierzę ci!

- No, może trochę.

- Trochę, czyli jak bardzo?

- Sadie! - wrzasnęłam. - Bardzo, okej? Zadowolona?

- O Jezu. - Słyszałam, jak kręci głową na drugim końcu linii telefonicznej. - Nawet nie wiesz, jak ci zazdroszczę.

Co ty powiesz. Tak bardzo, że postanowiłaś mi go ukraść.

Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze toaletki, żeby sprawdzić, czy wyglądam jakoś inaczej. Policzki miałam gorące i różowe. Mrowiła mnie skóra. Czy ludzie się zorientują?

- Powiedział to? - zapytała.

- Co powiedział?

- No przestań, Brie, a jak myślisz?

Jego dłonie przeczesujące moje włosy. Jego oczy patrzące w moje tak głęboko, że wręcz nierealne. Jego słowa palące mnie na wylot.

Kocham cię.

Powiedział to. Powiedział to i naprawdę tak myślał. Prawda?

- Halo?

Padłam na łóżko, uśmiechając się do słuchawki.

- Tak. Powiedział to.

Nie odzywała się przez sekundę i domyślałam się dlaczego. Po raz pierwszy coś tak potężnego spotkało mnie wcześniej niż ją. Przez te wszystkie lata, kiedy się przyjaźniłyśmy, Sadie zawsze pierwsza zaliczała wszystkie kamienie milowe. Wcześniej ode mnie straciła pierwszy ząb. Wcześniej nauczyła się jeździć na rowerze. Nawet okres dostała cały rok przede mną, jeszcze w siódmej klasie. I chociaż żadna z nas nie musiała tego mówić, obie wiedziałyśmy, że Sadie pierwsza się zakocha.

Ale tak się nie stało. Nie tym razem. Bo tym razem to ja wygrałam. Ja byłam pierwsza.

Choć raz wyprzedziłam Sadie Russo.

Choć raz.

Przez następną godzinę gadałyśmy i chichotałyśmy, omawiając każdy szczegół - chociaż tego dnia o siódmej rano szłam na trening. Ale miałam to gdzieś. Mogliby mi nawet kazać zrobić milion długości dziesięciu olimpijskich basenów, a ja i tak miałabym przez cały dzień na twarzy ten głupi uśmiech.

Dlaczego? Bo kiedy człowiek jest zakochany, świat jest jaśniejszy. Bardziej słoneczny.

Powietrze pachnie bardziej kwiatowo, a twoje włosy są bardziej jedwabiste, i nagle łapiesz się na tym, że uśmiechasz się do

dzieci, obcych ludzi i par staruszków spacerujących po plaży, trzymających się za ręce. Uśmiechasz się, bo dopuszczono cię do jednej z największych tajemnic życia.

Awansowałaś do pierwszej ligi, mała. Oficjalnie przyjęto cię do klubu fajnych ludzi. I nagle, kiedy inni na ciebie patrzą, zauważają, że coś się zmieniło.

- Nowa fryzura? Nie-e.

- Nowe ciuchy? Zimno.

- Masz soczewki kontaktowe? Zgaduj dalej.

Szczerzysz do nich zęby, a oni ciągle nie potrafią tego nazwać. Kiedy odchodzisz, zastanawiają się potajemnie, kiedy zrobiłaś się taka piękna. *It must have been love, but it's over now. It must have been good, but I lost it somehow.* Gorące łzy płynęły mi po twarzy, parząc skórę. Nieopanowane. Niepowstrzymane.

- Cii - szepnął Patrick. - Jestem tutaj, aniołku. Jestem przy tobie.

Jak oni mogli? Jak oni mogli mi to zrobić? Ból w mojej piersi był czarny - ostry i ciężki, jak świeża rana. Okazuje się, że piekło to nie płonąca, wrząca otchłań ognia i cierpienia. To coś o wiele, wiele gorszego. Piekło jest wtedy, kiedy ludzie, których kochasz najbardziej na świecie, sięgają po twoją duszę i wyrywają ci ją. I robią to tylko dlatego, że mogą. Czułam, że moja pierś ściska się, kurczy.

Jak długo to trwało?

Tydzień? Miesiąc? Może dłużej?

W mojej czaszce szalało trzęsienie ziemi, tuż za oczami wyły syreny. Tłukłam piasek pięściami i krzyczałam, ale moje słowa ginęły wśród krzyku głodnych mew i w porannym szumie Pacyfiku. Na dodatek miałam piach między palcami stóp. A szczerze tego nie cierpię.

Nagle wszystko stało się zrozumiałe. Każde dziwne spojrzenie i chwila niezręcznego milczenia między mną a Jacobem. Każda z tych chwil, kiedy się odsuwał, gdy sięgałam po jego rękę albo wtykałam mu dłoń w tylną kieszeń dzinsów. Teraz rozumiałam, że mi się nie wydawało. Na długie tygodnie przed śmiercią czułam, że coś między nami się zmienia - powoli i nieustępliwie - tylko nie chciałam tego przyznać sama przed sobą. Obcość narastała między nami niczym chłodna i szara szczelina. Ale ja wolałam siedzieć i patrzeć, jak zbierają się nade mną burzowe chmury - nie chciałam uciekać pod dach, widząc pierwsze oznaki ulewy. I zapłacałam za to czekanie. Bo burza zmieniła się w huragan. Intuicja próbowała mi to podpowiedzieć przez cały czas. Nie byłam paranoiczką, nie byłam wariatką. Jacob mnie okłamywał. Sadie mnie okłamywała. Słuchała i patrzyła, i czekała przez długie miesiące, kiedy się w nim zakochiwałam. Zbierała moje tajemnice, jedną po drugiej, żeby potem użyć ich przeciwko mnie.

- To boli - szepnęłam. - Tak strasznie boli.

Cii, trzymam cię, powiedział miękko Patrick.

Poczułam wiatr na twarzy i szyi, kiedy wziął mnie na ręce.

Wzrok miałam utkwiony w miejscu trzy, cztery kroki od nas, gdzie ślady Sadie i Jacoba zaczynały już zlewać się na piasku.

Nie mogę oddychać.

- Możesz. - Patrick lekko musnął moje czoło wargami. - Musisz. - Nagle jego stopy oderwały się od ziemi i poczułam, że planeta zapada się pod nami.

Au brie, otwórz oczy.

Wzięłam głęboki wdech i otworzyłam je. Położyłam głowę na piersi Patricka i patrzyłam, jak mój stary, znajomy, doskonały świat powoli staje w płomieniach.

1, 2, 3, 4, *Tell Me That You Love Me More**

W moim kawałku nieba wszystkie dni pachniały tak samo. Moje godziny składały się z pieczonego bakłażana, grzybów portobello, z musującego sprite'a i frosty z Wendy's (na moje osobiste życzenie). Minuty odmierzało linoleum w szachownicę, pełne plam i podrapane nogami krzeseł, szurającymi po podłodze przez dziesięciolecia. Moje sekundy brzęczały jak zakłócenia w starym, małym telewizorku z fatalnym odbiorem -tym, w który Patrick potrafił gapić się godzinami bez mrugania. Wentylatory na suficie mruczały i kręciły się leniwie nad moją głową, przypominając o wakacjach, imprezach przy basenie, lodowatych lemoniadach, którymi już nigdy nie będę się cieszyć z przyjaciółkami.

Ale nie ruszało mnie to.

Przyjaciółki są przereklamowane.

* *1, 2, 3, 4, powiedz, że kochasz mnie bardziej.*

Owszem, było mnóstwo rzeczy, które pozwalały mi na chwilę zapomnieć o moim najnowszym odkryciu. Nauczyłam się, jak robić wydzierane śnieżynki z papierowych serwetek. Moi nowi przyjaciele, Rozgrywający i Lady Gothga, nauczyli mnie rzucać piłkę futbolową i robić *smoky eyes*. Nawet Pani Krzyżówka wzięła mnie pod skrzydła i pomogła dokończyć moją pierwszą krzyżówkę.

Prawda była taka, że w moim kawałku nieba zawsze było mnóstwo pizzy do zjedzenia. Mnóstwo fal do surfowania. Zawsze mnóstwo czasu do zabicia. Ale niefajne jest to, że czas nie leczy wszystkich ran.

- Chcesz iść na spacer? - Patricka nosiło. Nudził się bardzo.

- Nie.

- Może popływać?

- Odpowiedź przecząca.

- Pojeździć konno?

- Nie, dziękuję.

- Całować się?

Uniosłam głowę znad książki.

- Słucham?

Patrick wyszczerzył zęby.

- Tak myślałem, że to cię obudzi.

- Jesteś nienormalny.

- Och - rozpląnął się z zachwytu. - To było słodkie. - Spojrzał na Chłopca Nintendo i Bransoletkę. - Widzicie? Lubi mnie. Jesteście świadkami.

- Moim zdaniem cię nie cierpi - odparł chłopiec monotonnym głosem; jego kciuki nie przestawały skakać po klawiszach.

Patrick obruszył się i spojrzał na mnie.

- Dzieci. Co one wiedzą?

Zignorowałam go i błyskawicznie przeczytałam ostatni akapit. Zatrzasnęłam *Ś.P.* i przesunęłam książkę w jego stronę na stoliku. - No. Skończyłam.

- No i? - spytał. - Czego się dziś dowiedziałaś, koniku polny?

- Poza tym, że zalatujesz pepperoni?

- Bardzo śmieszne.

- Zawsze do usług.

- Czego jeszcze się nauczyłaś?

- Że twoja mama...

- Tylko nie mów, że moja mama zalatuje pepperoni.

Zrobiłam minę.

- Kiedy zalatuje.

Westchnął i wskazał mój wisiołek.

- Tak z innej beczki, bardzo ładne. Od dawna chciałem ci powiedzieć.

Uniosłam rękę i zaczęłam kręcić delikatny łańcuszek między palcami.

Przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu.

- Skąd to masz? Nie odpowiedziałam.

- Drażliwy temat?

- Chcę lecieć na most - wypaliłam.

- Słucham? - Odchylił się na siedzeniu ze zdumioną miną. - A po co, jeśli mogę spytać? Wzruszyłam ramionami.
- Po prostu myślę, że jestem gotowa. Plasnął się dłonią w czoło i pokręcił głową.
- Co? - Poczułam, że policzki zaczynają mi płonąć.
- Tak się zastanawiam - powiedział z nadprogramową dawką sarkazmu - czy ty lubisz ból i cierpienie?
Posłałam mu złe spojrzenie.
- No więc? Lubisz?
- Nie - mruknęłam. Uniósł brew.
- Zabawne. Bo mnie się zdaje, że jednak tak. Moim zdaniem uwielbiasz.
- A moim zdaniem jesteś idiotą.
- Tak?
- Tak - odparłam. - Megaidiotą.
- Idiota czy nie, nie lecisz na most. Nie jesteś gotowa.
- Doprawdy? - odwarknęłam. - A kto cię uznał za autorytet?
- Ja sam - odrzekł, pochylając się w moją stronę. - Ja się uznaję za autorytet. Od czasu, kiedy postanowiłaś wyrzucić przez okno rozsądek i logikę.
- Ja po prostu chcę...
- Co? - przerwał mi. - Czego chcesz? Znowu zobaczyć ich razem? Zobaczyć, że są szczęśliwsi bez ciebie? Myślisz, że sobie z tym poradzisz? - Osunął się. - Bo mnie się nie wydaje.

- Nie pamiętam, żebyś pytała cię o zdanie - wypaliłam.
- A ja nie pamiętam, żebyś pytała, czy mam ochotę sterczeć tu z tobą, kiedy miesiącami się nad sobą rozczulasz. Bo to nieszczerze zabawne.

Miesiącami.

Miał całkowitą rację. Czas płynął wokół nas nieubłagalnie. W kącie pizzerii, przy witrynie, stała tandetna plastikowa choinka, chociaż święta już dawno minęły. Nie żyłam od tak dawna, że ludzie w moim świecie zaczynali już pewnie zapominać. Wyobrażałam sobie, jak młodsze dzieciaki przechodzą z klasy do klasy, jak znajdują moje zdjęcie w księdze pamiątkowej LPC. Wyobrażałam sobie, jak myślą, że jestem trochę niedzisiejsza.

Niemodna. Jak różowe, obcisłe džinsy, na punkcie których miałam obsesję w ósmej klasie, a w których teraz nie pokazałabym się za żadne skarby świata.

Uch.

- W porządku - odparłam słodkim głosem. - Przepraszam, że popsułam ci zabawę. Bo oczywiście masz tyle wspaniałych rzeczy do roboty.

Uniósł ręce, tracąc cierpliwość.

- Co? Chcesz przywiązać tych dwoje nieszczęśników do torów kolejowych? Utopić ich w morzu? Wrzucić do opuszczonej studni?

Uśmiechnęłam się szeroko.

- Cieszę się, że wreszcie mówimy tym samym językiem.

- No, przestań. - Jęknął. - Wiem, że jesteś rozgoryczona, zraniona i tak dalej, ale nie sądzisz, że może czas im odpuścić? Jak to szło? Żyj i daj żyć innym?

- Odpuścić? - spytałam. - Jak możesz tak mówić? Przecież wiesz, co mi zrobili. -

Pokręciłam z obrzydzeniem głową. - Nie obchodzi mnie, co myślisz. Ja im tego nie puszczę płazem. Nie zasługują, żeby dać im spokój.

- Posłuchaj no, panno fatalne zauroczenie. - Patrick popatrzył na mnie surowo. - Nie mam nic przeciwko małej zemście, ale już się zabawiałaś. Co się stało, to się nie odstanie. Prędzej czy później musisz się z tym pogodzić, a dopóki to nie nastąpi, nie zamierzam wspierać twoich obsesyjnych zachowań i szalejących hormonów. - Wskazał ruchem głowy książkę.

- Niczego się nie nauczyłaś, co?

- O - odparłam - wręcz przeciwnie. Nauczyłam się bardzo wiele. Właśnie wyczytałam, że podstawowa interakcja z przedmiotami polega nie tyle na kontrolowaniu przedmiotu, co na kontrolowaniu siebie. A każdy przedmiot znaleziony i przywłaszczony na ziemi staje się „duchową” własnością znalazcy. Ha.

To naprawdę całkiem fajna zasada. Pewnie mogłaby wyjaśnić całe mnóstwo zagubionych skarpetek i skradzionych brylantów.

- Jaka cwana - rzucił Patrick.

- Dowiedziałam się też, że nie należy śmigać z pustym żołądkiem. - Wzięłam swój frosty i pociągnęłam przez słomkę gigantyczny łyk, wyjątkowo głośny i obleśny. - Więc skoro to już załatwione...

- Nic z tego. Powtarzam ci po raz ostatni, że nie wracasz.
- A ja ci powtarzam po raz ostatni, że mną nie rządzisz.
- Kto tak powiedział?
- Ty tak powiedziałaś. Ja ustalam zasady, pamiętasz? Jestem gotowa, kiedy uznam się za gotową. Jeśli nie chcesz lecieć ze mną, w porzo. Bo cię nie potrzebuję. - Wypiłam jeszcze jeden długi, powolny łyk, aż lodowata, czekoladowa słodycz sparzyła mnie w język. - Nikogo nie potrzebuję.
- Rany. - Patrick pokręcił głową. - Mówisz, jakbyś nie miała serca, Cheeto.
- Cóż za ironia losu.
- Och, a co mi tam. - Wyrwał mi frosty z dłoni, przechylił kubek i wypił zawartość do ostatniej kropli. - Nie ma jak w domu.

*Every Time I See You Falling,
I Get Down On My Knees And Pray**

Podobno kiedy spadasz z ogromnej wysokości - z samolotu, drapacza chmur czy mostu na przykład - tak naprawdę nie masz czasu na panikę. Twój mózg nie ma dość czasu, by to ogarnąć, a kiedy lądujesz (auć), jesteś już praktycznie martwy z powodu szoku.

Otóż, coś wam powiem, chłopcy i dziewczynki. To kłamstwo.

Jedno wielkie kłamstwo.

Tym razem, kiedy spadałam, sekundy jakby zwolniły. Wiedziałam, że wiatr wyje wokół mnie, ale go nie słyszałam. Wiedziałam, że moje kończyny wyginają się od pędu w pustej przestrzeni, ale tego nie czułam. Wiedziałam, że czarna woda pędzi na mnie jak betonowa płyta, ale za bardzo się bałam, żeby patrzeć. Przez całe życie nie doświadczyłam niczego tak przerażającego.

** Za każdym razem, gdy widzę, jak upadasz, klekam i modlę się.*

Udawaj, że to gra, usłyszałam szept Patricka. I tak będzie.

Gra? Czyś ty zwariował?

- Bujaj się, Cheeto! - wrzasnął. Śmignął tuż przede mną, przecinając mi drogę.

- Hej! - odwrzasnęłam. - Uważaj!

Nagle poczułam znajomego bakcyła, rozłazącego się pod moją skórą, po żyłach. Moja stara, dobra żyłka rywalizacji włączyła się automatycznie.

O nie, nie ma mowy. Już po tobie, Truposzu.

Wyrzuciłam ręce przed siebie i śmignęłam w dół, mijając pomarańczowe liny nośne i gigantyczne, stalowe belki z nitami wielkimi jak moja głowa.

- I jeszcze jedno! - krzyknęłam, doganiając go. -Nie nazywaj mnie Cheeto!

Ocean wciąż pędził na mnie, coraz bliższy i bliższy.

Sto metrów.

Pięćdziesiąt.

- Jahuuuu! - zawył Patrick. - *I feel the need! I feel the need for speed**, Cheesburgerze!

Dwadzieścia pięć.

- Już prawie! - Podciągnął kolana do piersi i schował między nie podbródek. - Bombaaaaa!

Kompletnie zwariował. Spadaliśmy o wiele za szybko. Wiedziałam z treningów, że jeśli nie wejdem w wodę pod odpowiednim kątem, będzie paskudnie. Postarałam się wyprężyć ciało i ustawić je pionowo. Głowa w dół, ręce razem, palce stóp wycelowane w księżyc.

* Czuję potrzebę, czuję potrzebę prędkości!

Trzy metry.

Zacisnęłam powieki i przygotowałam się na zderzenie.

Pół metra.

Przez ułamek sekundy słyszałam tylko odgłos własnego bijącego serca - czy też jego wspomnienie. I nagle pędziłam przez gigantyczną norę, wir planet, gwiazd i wiecznego Pacyfiku, dając nura w czarną, bezgwiazdną noc, kręcąc się jak bąk. Jak w intergalaktycznej pralce włączonej na turbo wirowanie.

Ale kiedy się rozluźniłam - kiedy poddałam się tej wszechogarniającej ciemności - pojedyncza, rozżarzona, wściekła myśl zapłonęła w moim mózgu.

Jacob.

Jeśli ja nie mogłam go mieć, to nikt go nie będzie miał.

- Hej, Cheeto, żyjesz? Hm, znaczy, wiem, że nie żyjesz. Rozumiesz, o co mi chodzi.

Chwyciłam się za brzuch i jęknęłam.

- Musisz bez przerwy gadać? - Całe ciało miałam bezwładne. Moje włosy były mokre i skudłone, ręce i nogi powykręcane i jak z galarety. Próbowałam otworzyć oczy, ale blask ciągle był za jasny.

- Jak to jest być zbukiem? - zażartował Patrick. - Właściwie powiedziałbym, że jesteś w niezłej formie, ale twój scyzoryk nie umywał się do mojej bomby. Następnym razem spróbuj być bardziej kreatywna.

- Będę pamiętać. - Uniosłam rękę i zdjęłam wielki kawał wodorostu z twarzy. Uchyliłam powieki i stwier-

dziłam, że morze wyrzuciło nas na plażę przy parku Crissy Field, na obrzeżach dzielnicy Presidio.

- Hm, to ciekawe - powiedział Patrick.

- Co takiego?

- Nie miałem pojęcia, że to plaża nudystów. Nagle poczułam lekki wietrzyk muskający mój lewy pośladek.

Boże święty, jestem goła.

- Gdzie moje ciuchy? - krzyknęłam, rozpaczliwie usiłując się zasłonić. - Patrick, odwróć się!

- Spokojnie. - Zakrył oczy. - Nic nie widziałem. Dotknęłam szyi i odetchnęłam z ulgą, czując, że

mój naszyjnik ciągle jest tam, gdzie powinien, Bogu dzięki. Ale wtedy krab skrzypek wylazł niespodziewanie spod mojej pachy. Wrzasnęłam i podskoczyłam z pół metra w górę. - Widzisz? Mówiłem ci, że nie jesteś gotowa na powrót. Ledwie wylądowaliśmy, a ty już świrujesz. - Westchnął. - Kobiety.

Przez chwilę rozglądałam się po plaży, aż wreszcie zobaczyłam moją sukienkę, przemoczoną i zmiętą, na kłodzie drewna, ledwie parę metrów od miejsca, gdzie wyrzuciło mnie na brzeg. Zerknęłam ukradkiem na Patricka.

- Zostań, gdzie jesteś, przyjacielu, albo będą konsekwencje. Słyszysz mnie?

- He? - Pytam, czy mnie słyszysz.

- Co mówiłaś?

- Głuchy jesteś, czy co? Pytałam, czy mnie słyszysz! Uśmiechnął się przebiegle.
- Tak, Cheeto, słyszałem cię. Wyluzuj trochę. Zerwałam się z piasku i pobiegłam na paluszkach, robiąc, co w mojej mocy, żeby zasłonić cycki. Niewiele miałam do zasłaniania, ale zawsze. Odkleiłam ciężką od wody sukienkę od zasłanej wodorostami plaży i strzepnęłam z niej piach. Po długiej chwili ciągnięcia i szarpania udało mi się wreszcie założyć ją przez głowę. Problem polegał na tym, że sukienka się skurczyła. Bardzo.
- Wyglądasz... nieźle - powiedział Patrick, kiedy już pozwoliłam mu otworzyć oczy. Zmarszczyłam brwi.
- Oczywiście zawsze wyglądasz. Nieźle, znaczy. Hm. Bo wyglądasz. Poczułam, że się czerwienię. Naciągnęłam sukienkę na tyłku, który na całe szczęście nie rozrósł się od jedzenia w kółko pizzy i picia koktajli. Patrick mógł sobie być denerwujący, ale mimo wszystko był facetem. I - trudno zaprzeczyć - całkiem przystojnym. Przyzwyczyłam się już, że bez przerwy się ze mną droczy, ale to był pierwszy raz, kiedy w ogóle wspomniał o moim wyglądzie. Nie mówiąc już o tym, że widział mnie nagą. Zabiję się.
- Możesz mnie, hm, zapiąć? - burknęłam, usiłując sięgnąć do pleców sukienki.

- Tak. - Kiwnął głową. - Z całą pewnością mogę cię zapiąć. - Podeszedł do mnie i poczułam, jak jego palce muskają mi kark, kiedy delikatnie uniósł mi włosy.

Powietrze nabrało nagle posmaku dymu. A moja skóra zapłonęła.

- Nic sobie nie wyobrażaj - rzuciłam ostrzegawczo.

- Nie masz nic, czego bym wcześniej nie widział - odparł rzeczowo. - Ostatecznie miałem trzy siostry.

Trzy siostry?

Przez ułamek sekundy niemal je widziałam. Dwie starsze, o włosach koloru miodu, i młodsza, blondynka. Ich imiona zabrzmiały mi w głowie.

Julia, Kate i Alex.

Ale skąd mogłam to wiedzieć?

- Zdaje się... że już prawie mi się... udało. - Ostatnie szarpnięcie i dopiął suwak. Wyszedł z za moich pleców, bardzo zadowolony z siebie. - Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Próbowałam wymyślić w miarę dowcipną odpowiedź, ale poczułam tylko, że moje policzki przybierają jeszcze bardziej jaskrawy odcień czerwieni.

Brie, nie bądź głupia. Powiedz coś. Cokolwiek.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Patrick. - Masz jakąś dziwną minę.

- Nic mi nie jest - zapewniłam. - Trochę kręci mi się w głowie. Po upadku.

Słońce schowało się za chmurą, która rzuciła długi cień na jego twarz. Zadrzałam i spojrzałam w górę. Wiedziałam, że niedługo nadejdzie mgła.

- Powinniśmy iść. Zawahał się chwilę.

- Okej, Serowa Kulko, prowadź.

Powoli wyciągnęłam rękę i chwyciłam jego dłoń, wyobrażając sobie nasz cel, tak jak opisano to w *Ś.P.*

- No to jazda. - Skupiłam się na miejscu, gdzie chciałam wylądować. Pożałowałam, że nie mogę zjeść jeszcze jednego kawałka pizzy, zanim wystartujemy.

Ale nagle zerwał się wiatr, słońce zniknęło. Poczułam, jak planeta, wirując, ucieka nam spod nóg, i bum! grzmotnęliśmy na jakieś trawiaste pole, lądując jedno na drugim.

- Nieźle - stęknął Patrick. - Masz prawdziwy talent. Możesz ze mnie zleźć, z łaski swojej?

- Przepraszam. - Sturlałam się z niego i spróbowałam się zorientować, gdzie jesteśmy.

Rozejrzałam się dookoła i odetchnęłam głęboko, wchłaniając w siebie potężny haust zapachu ziemi, trawy i nieba. - Wróciliśmy. - Uśmiechnęłam się. - Udało nam się.

Podróż nie poszła zbyt gładko, ale liczyło się tylko to, że skutecznie prześmignęłam nas z powrotem do Half Moon Bay. Czułam się niesamowicie. Byłam wolna, panowałam nad wszystkim.

Najlepsze. Śmignięcie. Świata.

- Nie chcę się chwalić - zauważyłam - ale robię się w tym całkiem niezła.

Patrick nie odpowiedział; był zbyt zajęty rozglądaniem się. I nic dziwnego. Wybrzeże Kalifornii właśnie budziło się z zimowej drzemki. Wzgórza zaczynały

pokrywać się kwiatami, których płatki błyszcząły w słońcu. Fiołki, maki, lilie, ogóreczniki i wielkie połacie błękitnożółtych niezapominajek.

Ha. Przychodzą mi do głowy dwie osoby, które powinny znaleźć na progu wielki bukiet niezapominajek.

Nawet drzewa wydawały się trochę wyższe, jakby wyciągały zaspane gałęzie do słońca. Powietrze było słodkie, pełne wiosny.

Wiosna.

Teraz już nic nie stało mi na drodze. Nie licząc całych rzędów nagrobków z białego granitu.

- Ale trafiłam. - Czułam się tu zupełnie jak w domu. I chyba nie powinnam być zdziwiona. Wylądowaliśmy na cmentarzu.

*Hey, Hey, You, You, I Dont Like Your Boyfriend**

Podeszłam do mojego grobu i uklęknęłam. W twardym kamieniu wyryte było moje nazwisko.

- To się wydaje nierealne - mruknęłam.

- Najdziwniejsze jest to - powiedział Patrick - że chyba nigdy nie będzie realne.

Drapanie. Wrzask. Brak powietrza. Poczułam leciutkie łaskotanie w oczach.

- Nie płacz - skarciłam samą siebie. - Tylko nie płacz.

Ból. Pęknięcie. Rozdzieranie na pół.

Ale nie mogłam się powstrzymać. Pojedyncza, samotna łza popłynęła mi po policzku i kapnęła w wysoką, nieskoszoną trawę, z której sterczały niechlujne kępki polnych kwiatów.

- Czy ktokolwiek jeszcze do mnie przychodzi? - Wytarłam nos i spróbowałam wyrównać ziemię, ale nie

** Hej, hej, ty, ty, nie podoba mi się twój chłopak.*

mogłam jej dotknąć. Moje dłonie w ogóle nie zostawiały śladu. - Dlaczego nie mogę tego zrobić? Dlaczego?

- Czekaj - powiedział Patrick, klękając obok. Położył dłoń na mojej. - Poczuj ziemię. Poczuj jej puls. -Przycisnął mocniej. - Poczuj, jak pada na nią światło. Poczuj, jak oddycha. Spróbowałam wykonać jego wskazówki. Patrzyłam na nasze dłonie, wtopione w ziemię.

- Nie potrafię - szepnęłam. - Nic nie czuję.

- Kontroluj siebie - poradził. - Pamiętaj, co było napisane w książce. To nie polega na kontrolowaniu rzeczy. Chodzi o kontrolowanie siebie.

Ale jak? Jak mogę kontrolować to, co czuję?

- Udawaj, jeśli musisz. Udawaj, aż w końcu ci się uda.

Otarłam twarz grzbietem wolnej dłoni i chwyciłam głęboki, drżący wdech. Skupiłam się na poczuciu siły. Skupiłam się na świadomości wszystkiego dookoła. Kontrola.

Czułam place Patricka splecione z moimi. Nasze dłonie tkwiły w błotnistej mieszance ziemi, piasku i łez.

- Nic z tego.

- Nieprawda.

- Staram się.

- Staraj się bardziej.

Skoncentrowałam się tak mocno, że o mało nie zafundowałam sobie wylewu. Zapatrzyłam się w ziemię, rozpaczliwie starając się poczuć łączność z moim starym światem.

Sięgnęłam głęboko do swojego

wnętrza i włożyłam w ten wysiłek wszystko, co mi jeszcze zostało.

I ciągle nie dawałam rady.

Pochyliłam głowę. Nienawidziłam siebie.

I nagle coś mnie ugryzło.

- Au! - Zabrałam rękę. - Co to było, do diabła?

- Mrówka? - rzucił Patrick.

Zagapiłam się na mały znaczek na kciuku, puchnący i czerwieniejący. Spojrzałam na Patricka oczami szeroko otwartymi ze zdumienia.

- Ugryzła mnie. Ugryzła mnie, a ja to poczułam. Uśmiechnął się.

- Przyjemna sprawa, co? Wiedziałem, że dasz... Zarzuciłam mu ręce na szyję, zaskakując nas oboje.

- O rety - szepnął. Pozwolił się ścisnąć przez minutę; powoli i on zaczął mnie tulić. Przez pół sekundy nasze twarze dzieliły ledwie centymetry i nie pamiętałam, po co wróciliśmy do Half Moon Bay. Czułam tylko jego serce bijące tuż przy mojej piersi. Ciepło i miarowo. I kiedy tak obejmowaliśmy się przy moim nagrobku, w głowie błysnęło mi wspomnienie. Chłopak i dziewczyna biegnący razem po nieskończonej, ukwieconej łące. Ich śmiech unosił się w krystalicznie czyste, nocne niebo.

Nagle wstrząsnął mną dreszcz. To wspomnienie nie było moje.

- Mamy towarzystwo. - Głos Patricka przywrócił mnie do rzeczywistości. Poczułam, że jego ramiona się rozluźniają.

Podążyłam spojrzeniem za jego wzrokiem i zobaczyłam, że ktoś się zbliża. Długie, ciemne włosy i drobne ciało. Te jasnobrązowe oczy. Tak pełne żaru. Poznałabym je wszędzie. Sadie.

- Co ona tu robi? Patrick pokręcił głową.

- Pewnie miewasz znacznie więcej gości, niż ci się zdawało.

Dłonie miała pełne słoneczników i stokrotek. Miałam ochotę rzucić jej ten bukiet w twarz.

Poćwicz trochę, usłyszałam słowa Patricka, *i kto wie?*

Wstałam z klęczek i stanęłam przodem do niej. Policzki mi zapłonęły, kiedy się zbliżyła.

- Czego chcesz?

Zatrzymała się o krok od mojego nagrobka. Patrzyła przeze mnie na wylot.

- Cześć, Brie - szepnęła. - Wiem, pewnie mnie nienawidzisz...

- To prawda - wypaliłam. - Nienawidzę cię.

- ...ale strasznie za tobą tęsknię. I strasznie cię przepraszam. To było okropne, trzymać wszystko przed tobą w tajemnicy. Ale to nie zależało ode mnie. Ja nie mogłam ci o tym powiedzieć...

- Nawet nie waż się myśleć, że możesz mnie przeprosić. Nawet...

- Ona się stara - przerwał mi cicho Patrick. - Powinnaś jej wysłuchać.

Spojrzałam na niego ze złością.

- Dobra. - Pokręcił głową. - Bądź sobie wściekła. To twoja impreza.

Wyglądała tak samo jak zawsze. Te same idealne włosy. Ta sama idealna opalenizna. Te same zabójcze brwi. Przyznawałam to z niechęcią, ale wyglądała bosko. I chociaż teraz była strasznie smutna, widziałam, że te miesiące okazały się dla niej dobre. Widziałam po niej, że była szczęśliwa.

Uch. Ciekawe dlaczego.

Patrzyłam, jak Sadie patrzy na mój nagrobek. Wypatrywałam najmniejszych oznak emocji - poczucia winy, smutku, czy wręcz odwrotnie - i zastanawiałam się, jakim cudem ci dwoje zdołali zachować romans w tajemnicy. Tuż pod moim nosem. I pewnie pod nosem wszystkich innych, jeśli miałam zgadywać. Emma i Tess najwyraźniej nie miały o niczym pojęcia tamtej nocy, kiedy paliły dla mnie ognisko. Zrobiło mi się niedobrze na tę myśl; na myśl, że Sadie zdradziła również je. Jak świetnie udawała, że mnie kocha.

Bo - przykro mi - nie tak się traktuje kogoś, kogo się kocha.

To nie mogło być łatwe. Tyle oszustw. Tyle kłamstw. Tyle skradzionych pocałunków.

Skradzionych mnie, dziękuję bardzo.

Rany, ależ miała tupet, że tu przyszła. Że próbowała rozmawiać ze mną, kiedy nie mogłam odpowiedzieć. Kiedy nie mogłam jej wygarnąć, że absolutnie nie jest mile widziana na moim terenie.

- Na moim terenie? - Patrick się roześmiał. - Mówisz serio? Cheeto, gadasz jak postać z *West Side Story*. - Zaczął parodiować taneczny numer i beczeć na całe gardło starą, znajomą piosenkę z musicalu. - *Toniiiight, toniiiight, we'll get them back tonii-iight*. Nie mogłam się powstrzymać i się uśmiechnęłam. Odrobinę, ale jednak.
- Nagle zadzwonił telefon Sadie. Zaczęła grzebać w brązowej torbie marki Coach. Kupiła ją w zeszłym roku, ze mną, w centrum handlowym.
- Trochę wyszliśmy z mody, co, Sadystko? - powiedziałam.
- Patrick uniósł brew.
- Widzę tu tylko jedną sadystkę, i to z pewnością nie jest ona.
- Sadie wyjęła wreszcie swój iPhone.
- Hej, skarbie. Co tam? Skarbie?
- Chwila ciszy.
- Tak, musiałam załatwić parę spraw. *Ach tak. Więc teraz jestem sprawą, co? Spokojnie, tygrysico*. Patrick wyglądał, jakby się obawiał, że stanę w płomieniach.
- Jasne. - Sadie spojrzała w stronę bramy cmentarza. - Okej. Mam samochód mamy. Spotkajmy się za piętnaście minut.
- Och, potajemna randka. - Patrick westchnął. - Mój ulubiony typ.

Posłałam mu kolejne złe spojrzenie. Po wizycie na cmentarzu wybierałam się prosto do Jacoba. Ale to było niemal równie dobre. Nie, to było nawet lepsze.

Przyłapać ich razem. Przyłapać ich sam na sam.

- Rany, ależ ty jesteś pokrecona, sestro. - Patrick pokręcił głową. - Naprawdę pokrecona.

Patrzyłam, jak Sadie układa kwiaty, ostrożnie opierając je o nagrobek. Jakby mogły wynagrodzić to, przez co przeszłam.

Otóż, miałam nowiny dla Sadie Russo.

Może i gryzłam ziemię. Ale tym razem ona też się nie wykręci.

Losing My Religion

Dziesięć minut jechaliśmy na tylnym siedzeniu samochodu mamy Sadie.

- Nie za szybko? - Zerknęłam na prędkościomierz. - Wygląda na to, że ostatnio łamiesz zasady na prawo i lewo, Russo.

- Dziewczyno, kradzież chłopaka przyjaciółki nie jest nielegalna. - Patrick spojrzał na mnie, jakby mi naprawdę odbijało.

- Może i nie - odparłam. - Ale powinna być. Minęliśmy restaurację Sam's Chowder House po

prawej i Browar Half Moon Bay po lewej. Potem plantację karczochów i osiedle Frenchman's Creek.

- Miasto niewiele się zmieniło przez dwadzieścia siedem lat, co? - spytał Patrick. Opadła mi szczeka.

- Zaraz, co? Ty też jesteś stąd? Jęknął potężnie.

* *Tracę wiarę.*

- Pytasz poważnie, kwiatku? Rany, przypomnij mi, żebym cię nie zatrudniał, gdybym potrzebował prywatnego detektywa. A jak myślisz? Sterczę w Kawałku przez całą wieczność tylko dlatego, że pizza mi smakuje?

- Hm... no cóż, ja... - jękałam się zawstydzona. Ale Patrick miał rację. Nie miałam pojęcia, że jesteśmy z tego samego miasta. Jak mogłam nie pomyśleć, żeby spytać o coś tak ważnego? - Przepraszam. Jestem idiotką.

Trącił mnie lekko łokciem w bok.

- Postaw mi frosty i jesteśmy kwita.

- Frosty? Gdzie? - Spojrzałam przez okno; Sadie zjechała z przelotówki na parking pod Wendys.

- Mmm - mruknął Patrick, wdychając zapach hamburgerów i frytek. - Strasznie dawno nie jadłem niczego prawdziwego.

- Ile miałeś lat? - spytałam. - No wiesz, kiedy...

- Umarłem? - dokończył. - Siedemnaście. No, prawie osiemnaście.

- Więc przez ten cały czas... Chcesz powiedzieć, że bujałam się z czterdziestopięciolatkiem? - Zachichotałam. - Mama mnie zabije.

Uśmiechnął się.

- Przynajmniej nie zachowuję się jak stary zgred. Naszą uwagę przykuł trzask drzwiczek samochodu

na drugim końcu parkingu. Wyskoczyliśmy za Sadie, zanim zdążyła zamknąć swoje auto. Przygotowałam się na to, co mnie czekało. Wiedziałam, że za jakieś

dziesięć sekund zobaczę ciemnozielonego saaba Jaco-ba, którego przezywałam Wasabi. Zobaczę jego. I ją. Razem.

Ble.

Nie wiedziałam, jak zareaguję. Ostatnim razem mało mnie to nie unicestwiło. Sześć miesięcy to nie tak znowu długo. Miałam nadzieję, że nad sobą zapanuję.

Kontrola, powiedziałam do siebie. Kontrola.

Ale samochód, do którego podeszła Sadie, nie był ciemnozielony, i z całą pewnością nie był to saab. Tylko jasnoniebieska honda.

Auto Emmy? Co ona tutaj robi?

- Cześć, piękna - przywitała się z Sadie. Zachłysnęłam się, widząc, że jej włosy są ostrzyżone bardzo krótko. Tess wysiadła z samochodu i do nich dołączyła. Była chyba jeszcze wyższa, jeśli to możliwe. Już przedtem miała prawie metr osiemdziesiąt. Długie, miedziane włosy związała w ciasny kucyk. Wyglądała obłędnie. Jak primabalerina.

Sadie założyła ręce, stając przodem do dziewczyn.

- No więc? Chciałyście ze mną pogadać? Emma i Tess wymieniły spojrzenia.

- O-o - jęknął Patrick. - Coś czuję, że to będzie niezłe. Szkoda, że w Wendy's nie sprzedają popcornu.

Uciszyłam go. Nie chciałam stracić ani słowa. Emma nerwowo spojrzała na Sadie i zaczęła.

- Chciałam tylko powiedzieć... że cię przepraszam.

- Że co? - wypaliłam. - Dlaczego Emma przeprasza?

Sadie szeroko otworzyła oczy. Najwidoczniej ona też nie mogła w to uwierzyć.

- Nasze oskarżenia były nie w porządku - ciągnęła Emma. - Ale widzisz... - Urwała i znów spojrzała na Tess. - Wszyscy gadali. I musiałyśmy poznać prawdę.

- Mamy nadzieję, że nam wybaczysz - dodała Tess. - Naprawdę strasznie, strasznie nam przykro.

Nic nie rozumiałam. Byłam kompletnie, totalnie skołowana. Do diabła, co mnie ominęło?

Nie przepraszajcie jej. To ona jest czarnym charakterem. To ona jest kłamczuchą!

Sadie spojrzała na własne stopy.

- Żeby wszystko było jasne, chcę, żebyście wiedziały, że Jacob Fischer i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi. I zawsze byliśmy tylko przyjaciółmi. Jeszcze zanim poznałam Brie. - Głos jej zadrżał. - Wierzycie mi, prawda?

Emma westchnęła.

- Tak. Wierzymy. Ale musisz przyznać...

- Nie jestem głupia. - Sadie otarła oczy. - Wiem, co mówią o mnie ludzie. Ale kiedy się dowiedziałam, że wy też w to wierzycie...

- Nie! Nie, nie, nie! - wrzasnęłam. Miałam ochotę potrząsnąć Emmą i Tess. - Ona udaje.

Nie wierzcie w ani jedno jej słowo!

- ..to mnie naprawdę zabolalo. Och, ty suko. Ty podła, wredna suko.

Nie mogłam tego dłużej znieść. Miałam dość. Wzięłam zamach, obróciłam się i kopnęłam tylną oponę sa-

mochodu tak mocno, jak zdołałam, wyrywając z dna żołądka wrzask: Jezu!!!!!!

Samochód drgnął potężnie, a ja padłam na beton, zachłystując się z bólu.

- Auuuu! - krzyknęłam, łapiąc się za nogę. - Au-uuu, au, au, auu.

Patrickowi opadła szczeka. Spojrzał na samochód, potem na mnie, a potem znów na samochód, promieniejąc z dumy.

- Do boju, Eagan!

- O kurczę - zaklęła Tess, odsuwając się od auta. -Dziewczyny, poczułyście to?

- Jasne, że poczułam - potwierdziła Emma. Uklękła, żeby dokładnie obejrzeć oponę. - Co się stało, do diabła?

Sadie rozejrzała się po parkingu, by sprawdzić, czy jeszcze ktoś coś zauważył.

- Może to trzęsienie ziemi, czy coś? Usiadłam prosto, kiedy dotarło do mnie, co zrobiłam.

O kurczę. O kurczę. O kurczę. Gigantyczny uśmiech wypłynął mi na twarz.

- Zrobiłam to. Znowu to zrobiłam. Do diabła, kopnęłam go!

- Kopnęłaś, jeszcze jak! - Patrick, szczerząc się w uśmiechu, wskazał samochód ruchem głowy. - Zrób to jeszcze raz.

Skoncentrowałam się na emocjach.

Kontrola.

Kopnęłam znów, tym razem celując w drzwi.

- Cholera! - Tess odskoczyła do tyłu. Moja stopa zostawiła niewielkie wgniecenie.

Odrzuciłam głowę do tyłu i wrzasnęłam:

- Rządzą!

Patrick uniósł rękę, żeby przybić ze mną piątkę. Machnęłam ręką. I chybiłam.

- Hm - mruknął Patrick. - Chyba jeszcze popracujemy nad tym przybijaniem piątek.

Roześmiałam się. Miałam to gdzieś. Czułam w sobie moc, jakbym mogła zrobić dosłownie wszystko (nie licząc przybijania piątek). Widząc, jak Sadie sięgnęła dna i jeszcze miała czelność kłamać na ten temat, czułam, że jestem gotowa przetestować swoje nowe umiejętności. Skóra aż mnie parzyła od niekontrolowanej, desperackiej chęci wyrządzenia poważnych szkód. Bo każda dziewczyna zna pierwsze przykazanie z kodeksu przyjaźni: „Nie będziesz kradła chłopaka przyjaciółki swej”.

Wskoczyłam na maskę samochodu Emmy i ulżyłam sobie jeszcze jednym potężnym kopniakiem. Ale tym razem, kiedy moja stopa weszła w kontakt z realnym światem, wybiła wielką dziurę w przedniej szybie. Dziewczynom opadły szczęki na widok wielkich, ciężkich odłamków szkła sypiących się na asfalt.

Zaczęły wrzeszczeć. Emma i Tess wskoczyły do samochodu, a Sadie rzuciła się do swojego.

- Zadzwoń później! - krzyknęła do niej Emma, kiedy oba auta pędem wyjeżdżały z parkingu.

- Oj, cholera, podwózka nam uciekła - zmartwił się Patrick.

Nie słuchałam go.

- Jaki to dzień? Spojrzał w słońce.

- Korzystając z wiedzy, która pochodzi z rozdziału trzynastego *Ś.P., Survival dla zaawansowanych*, powiedziałbym, że mniej więcej dwudziesty ósmy kwietnia.

- Mnie chodzi o dzień tygodnia.

- Chwileczkę. - Zobaczyłam, że schyla się i sięga po coś.

- Co? - rzuciłam. - Co tam masz?

Na jego twarzy pojawił się uśmiech winowajcy. W dłoni uniósł telefon Sadie. Bingo, Batmanie. Wcisnął guzik i ekran zaświecił.

- Poprawka - oznajmił Patrick po sekundzie. - Jest dwudziesty dziewiąty kwietnia, piątek. Piątek. Pogrzebałam w pamięci. Jacob miał trening na bieżni codziennie po szkole, ale piątki prawie zawsze były zarezerwowane na mityngi.

Patrick rozejrzał się, by mieć pewność, że nie patrzy na nas nikt żywy, po czym schował komórkę do kieszeni, kryjąc ją przed światem. Teraz oficjalnie była nasza. Przedmiot znaleziony.

- Daj mi to. - Wyciągnęłam rękę.

- Chwileczkę. Co ty kombinujesz, Pleśniaku?

- Kto, niby ja? Ależ, proszę pana, nie mam pojęcia, o czym pan mówi.
- Posłuchaj. - Jego głos spoważniał. - Będę na to spokojnie patrzył jeszcze przez jakiś czas. Ale nie chcę, żeby cię kompletnie poniosło. Są pewne zasady, których musisz przestrzegać, Cheeto.
- Tak? - rzuciłam wyzywająco. - Na przykład jakie?
- Na przykład takie, żeby zapomnieć wreszcie o tych idiotach i ruszyć dalej, by wreszcie spoczywać w spokoju. I jeszcze jedno. - Spojrzał mi prosto w oczy. - Niedługo musimy wrócić do Kawałka. Niedługo będziesz musiała ich zostawić samych sobie. Wiesz o tym, prawda?
- Spojrzałam na niego ze złością, nie odzywając się słowem. Patrick był dobrym człowiekiem i zaczynało mi na nim zależeć. Ale nie mógł mnie zrozumieć. Bo niby jak? Był po prostu chłopakiem z lat osiemdziesiątych; miał pecha i za szybko jechał na motorze. Jakie on mógł mieć pojęcie o miłości i stracie; skąd mógł wiedzieć, jakie to uczucie, mieć serce rozdarte na pół?
- Nie wie nic; totalne, wielkie zero, ot, co.
- W tej chwili postanowiłam, że nie wrócę do Kawałka.
- Ani teraz, ani nigdy.
- Zrobiłam, co w mojej mocy, żeby ukryć tę myśl, na wypadek gdyby Patrick czaił się w mojej głowie. Zrobiłam, co w mojej mocy, by mój głos brzmiał wiarygodnie.
- Tak. - Skinęłam głową. - Wiem, że będziemy musieli wrócić.

Widocznie nie tylko Sadie potrafiła dobrze kłamać. Bo Patrick to kupił. Uśmiechnął się. -
No to okej.

Miałam poczucie winy, jasne, ale nie dość silne, żeby zmienić zdanie. Bo choćby się waliło
i paliło, nikt nie mógł mnie zmusić do powrotu.

Ani Patrick. Ani Pani Krzyżówka. Ani sam diabeł.

Nikt.

*Permanently Black And Blue, Permanently Blue, For You**

Postanowiłam czekać na Jacoba siedem kwartałów od kampusu LPC, w miejscu, przez które przejeżdżał codziennie (pod Bo-Bo's), wciąż na tym samym starym rowerze (czarnym hybrydowym Raleigh Performeence) i zawsze o tej samej porze (czterdzieści dwie minuty po drugiej).

Byłam pewna, że lada chwila zobaczę go, jak jedzie na Stadion Belchera - który wszyscy nazywali Beką - gdzie LPC zawsze urządzało mityngi lekkoatletyczne.

Nie żebym miała jakąś obsesję, czy coś.

*Au contraire, mon frère**.*

Żeby wszystko było jasne, chciałabym podkreślić, że nie jest żadną obsesją zapamiętywanie planu dnia chłopaka, żeby móc przypadkiem na niego wpaść. To się nazywa ekonomika. Bo po co marnować czas i energię

*Nieprzetłumaczalna gra słów, w wolnym przekładzie: wiecznie smutna przez ciebie.

** (fr) Wręcz przeciwnie, mój bracie.

na ganiecie po mieście i próby odgadnięcia, gdzie on może być, kiedy można to po prostu wiedzieć? A potem przypadkiem być w tym samym miejscu. Jak dla mnie to dość oczywiste.

Hm, owszem, bo jesteś stalkerką.

Patrick posłał mi spojrzenie mówiące, że nie żartuje.

- *Fac ut vivas*. Znane również jako: znajdź se życie.

Machnęłam na niego i po raz siedemnasty rozejrzałam się po ulicy, żeby nie przegapić Jacoba, kiedy będzie koło nas przejeżdżał.

- To nie tak, że przebiegałam pod jego domem raz na pół godziny, udając, że uprawiam jogging.

- No jasne. Raz na godzinę wystarczyło. Pacnęłam go w ramię.

Minęło jeszcze kilka minut i Patrick zaczął się niecierpliwić.

- On nie przyjedzie, Cheeto. Robimy z siebie idiotów. Zresztą, ujmę to inaczej: ty robisz z siebie idiotkę.

Obróciłam się do niego.

- Proszę bardzo, ty możesz stąd iść. A tak właściwie, może zechciałbyś? Zakłócasz mi koncentrację, a chcę być gotowa.

- O, próbujesz się mnie pozbyć? - Oparł się o słup. - Przykro mi, że cię rozczaruję, ale nigdzie nie idę. Pokręciłam zirytowaną głową.

- Zostań, idź, jak tam sobie chcesz. Naprawdę mnie to nie obchodzi.

Nagle - wciąż czujna - usłyszałam odgłos kół roweru. Oblał mnie zimny, nerwowy pot. Jacob był

blisko. Czułam to. I w końcu zobaczyłam przednie koło skręcające w prawo, w Mili Street. Zamarłam. To naprawdę był on. Włosy urosły mu dziko, jakby nie strzygł ich od miesięcy, i wydawał się szerszy w ramionach.

Jest coraz starszy.

Ta myśl trochę mnie zaboląła. Wszyscy rozbili się starsi. Wszyscy, tylko nie ja.

- Gotów? - Schyliłam się, przyjmując pozycję.

- Wciąż uważam, że zwariowałaś - burknął Patrick.

- To zabawne, bo nie pamiętam, żebym cię pytała o opinię.

Stanęliśmy naprzeciw siebie, jakieś dwa metry jedno od drugiego - Patrick pod słupem, a ja pod witryną kawiarni Garden Deli, do której uczniowie z dwunastej klasy LPC przychodzili na lunch. Plan polegał na tym, żeby porządnie nastraszyć Jacoba tuż przed mityngiem. Był ogromnie przesądny, szczególnie jeśli chodziło o biegi, więc chciałam zrobić coś, co go naprawdę przerazi i - miałam nadzieję - sprawi, że zbłąźni się przed całą szkołą. Chciałam narobić mu wstydu.

Nie, chciałam go upokorzyć.

- Igrzyska czas zacząć - szepnęłam.

Był coraz bliżej i bliżej, aż w końcu widziałam nawet białka jego oczu. Moja osobista bitwa o wzgórze złamanych serc.

Chyba trochę za bardzo się nakręcamy, co?

- Czekaj - powiedziałam. - Czekaj... Okej, teraz! - Oboje wyskoczyliśmy na drogę Jacoba i spleliśmy ręce

w łańcuch, jak w grze Red Rover. Zacisnęłam powieki, kiedy Jacob przejechał wprost przeze mnie.

Słyszałam serce bijące w jego piersi. Czułam jego puls we własnych żyłach. Czułam zapach brudu pod jego paznokciami. Odważyłam się na mgnienie otworzyć oczy. To było niesamowite - jak prawdziwa wersja *Było sobie życie*. Widziałam jego krew, komórki, żyły, wszystko to pulsowało i oddychało wokół mnie doskonałym, równym rytmem. Wszystko, czym był Jacob Fischer, połknęło mnie na moment; doświadczenie było tak potężne, że odjęło mi dech.

Zapałam się piętami w ziemię. Nigdzie się nie wybierałam.

Jestem silna. Jestem potężna. Mam kontrolę.

- Jasna cholera! - krzyknął Jacob, tracąc panowanie nad kierownicą. Usłyszałam, jak łańcuch zeskakuje z zębarki. Jacob poleciał w lewo, prosto na kupę worków ze śmieciami, które wywlokłam zza kawiarni. Jego rower grzmotnął o słup i wypadł na jezdnię.

Nadjeżdżający samochód skręcił gwałtownie, ale i tak przejechał tylne koło.

Łubu-dum.

- Trafiony! - Wyrzuciłam ręce w powietrze i odtańczyłam taniec zwycięstwa. Jacob jęknął i przeturlał się w wielkiej kupie czerstwych bułek i starego salami.

- Gratulacje - powiedział Patrick. - Zadowolona? Podbiegłam do niego w podskokach i cmoknęłam

go w policzek.

- Tak.

Popatrzył na mnie jak na wariatkę.

- A to za co? Uśmiechnęłam się.

- Za to, że jesteś doskonałym współnikiem w przestępstwie.

Jacob powoli wygrzebał się ze sterty śmieci i wstał. Wyglądał na skołowanego i - tak jak genialnie przewidziałam - na przerażonego.

- Hej, nic ci nie jest? - Gość z kawiarni wystawił głowę za drzwi. - Widzieliśmy, jak cię zmiotło, koleś, wyglądało to groźnie. - Wskazał głową kupę śmieci i się roześmiał. - Ale na szczęście miałeś miękkie lądowanie. Zwykle wystawiamy śmieci dopiero po zamknięciu. Zdaje się, że ktoś nad tobą czuwa.

Och, nawet nie masz pojęcia.

- Fakt - odparł Jacob. - Ale nie bardzo wiem, co się stało. Zdaje się, że odleciałem na sekundę, czy co. -Obrzucił wzrokiem rower i zaświniony chodnik. -Sorka za ten bałagan.

Posprzątam.

- Właśnie - warknęłam. - Narobiłeś straszego bałaganu, Fischer. A ja dopilnuję, żebyś naprawdę posprzątał.

Patrick plasnął się dłonią w czoło.

- Kobiety.

- Naprzód! - Chwyciłam go za rękę. I prześmignęłam nas prosto na Bekę.

You Oughta Know

Beka pękała w szwach (czyli była idealną widownią dla tego, co się miało wydarzyć). Na trybunach byli ludzie ze wszystkich szkolnych grup społecznych. Kujony, ćpuny, kibole, hipsterzy ze swoimi „czeskimi piłkarzami” i okularkami w stylu lat pięćdziesiątych; nawet teatralne snoby wypełzły ze swojego kółka dramatycznego. Spojrzałam na tablicę wyników i zrozumiałam dlaczego. Walczyliśmy z Cyklonami z San Mateo. Rywalizacja z nimi trwała od wieków, a przynajmniej od lat dziewięćdziesiątych.

Wreszcie wszystko układa się po mojej myśli. Proszę, proszę, jak to fortuna kołem się toczy.

Zachichotałam jak maniaczka, ciesząc się ze swojego forta. Zapowiadał się NMLW (Najlepszy Mityng Lekkoatletyczny Wszech Czasów).

- Tak dla twojej wiadomości, śmiejesz się jak Drakula - stwierdził Patrick. - Mogłabyś być tak miła

** Powinieneś wiedzieć.*

i przestać wydawać te potworne odgłosy? Zaczynasz mnie przerażać, Serowy Śmierdzielu. Zignorowałam go, co było już naszą małą tradycją.

- Gdzie telefon? - Sięgnęłam do jego kieszeni, ale mnie zablokował.

- Nie tak szybko, kwiatku. - Wyjął iPhone Sadie i pomachał nim nad moją głową. - Tego szukasz?

Podskoczyłam, próbując mu wyrwać komórkę.

- Nie bądź palantem. Dawaj.

- Tylko jak obiecasz, że nie zrobisz nic głupiego.

- Tak, tak, obiecuję. - Podał mi telefon. Wstukałam hasło Sadie, to samo, którego używała od zawsze.

Juilliard.

Po czym, próbując wczuć się w jej myśli, napisałam do Jacoba SMS jak najbardziej w jej stylu.

JFIJezu, dzisiaj Beka! Jesteś tam już? Złam nogę! Bua-ha. Złam nogę.

Parsknęłam z własnego żarciku. Patrick spojrział na mnie podejrzliwie.

- Co cię tak bawi?

- Niestety, to ściśle tajna informacja. - Wcisnęłam „wyślij”.

Patrick jęknął.

- Przypomnij mi, żebym nigdy nie zrobił sobie z ciebie wroga.

Po kilku sekundach telefon zawibrował. Jacob odpisał.

Jestem w drodze. Rozwaliłem rower. Możesz mnie podwieźć wieczorem?xx

Przeczytałam SMS kilka razy z rzędu. Miałam to czarno na białym. Podwójny x. *Kocham*. Poczulałam dreszcz ekscytacji - taki sam, jak zawsze, kiedy pisał do mnie, żeby się przywitać albo przypomnieć mi, jaka jestem fajna.

- Uwaga, Serowa Gębo, on nie pisze do ciebie -zauważył Patrick. - Myśli, że pisze do niej. Spojrzałam na niego ze złością.

- Naprawdę? Dzięki, że wyjaśniłeś mi oczywistość. Minutę później zobaczyłam, że Jacob podprowadza

pogięty rower do stojaka i rzuca go na ziemię, nie zawracając sobie głowy przypinaniem. Poszłam za nim do miejsca, gdzie rozciągali się biegacze. Zaczął rozgrzewkę.

Nie było żadnych wątpliwości, że jest najlepszym sprinterem w LPC. Rekruterzy z uczelni kręcili się wokół niego jak pszczoły wokół kwiatka już od ósmej klasy, od dnia, kiedy pobił wyśrubowany rekord Mi-ke'a Remy'ego z dwunastej klasy. Uniwersytet Princeton właściwie zagwarantował mu miejsce w swojej reprezentacji, byle tylko do końca szkoły utrzymał wysoką średnią ocen. Był gwiazdą. Był popularny, ale woda sodowa nie uderzyła mu do głowy. Zawsze był miłym, kochanym chłopakiem o złotym sercu. Wszyscy go lubili. Od zawsze.

Potajemne romanse z najlepszą kumpelą własnej dziewczyny nie były w jego stylu. I z całą pewnością

nie było w jego stylu zdradzanie ludzi, na których mu zależało. To dlatego ta historia z moim złamanym sercem była taka niewiarygodna i taka od czapy. Twarda, pewna, godna zaufania ziemia po prostu zapadła się pode mną. Nie dzwoniły żadne dzwonki ostrzegawcze. Nie wyły żadne syreny strażackie. Żadne słonie nie pędziły w głąb lądu kilka dni przed tsunami.

Szczerze mówiąc, nawet po tylu miesiącach jakaś część mnie wciąż nie mogła w to uwierzyć. Jacob i Sadie.

To się po prostu nie trzymało kupy.

Ale teraz było jakoś inaczej, jakby zmienił się układ planet. Widziałam, jak inni patrzą na niego, mijają go. Widziałam, jak koledzy z drużyny mrużą oczy i ściszej głosy, kiedy przechodził obok.

Co się dzieje?

Jacob rozciągnął prawy bark, przyciskając ramię do piersi, potem lewy.

- Hej, Fischer, spóźniłeś się - powiedział trener Bobby. - Rozgrzewaj się. Jesteś następny.

- Przepraszam. - Jacob opuścił głowę i przebiegł truchtem resztę drogi dzielącej go od drużyny.

Patrzyłam na ich twarze, kiedy do nich dołączył. Tak, z pewnością coś tu było nie tak.

Spojrzenia nie były przyjazne. Żadnych uśmiechów, „siemek” i przybijania piątek. Tylko niezręczne milczenie.

Skóra zaczęła mnie mrowić z zachwyty, kiedy do mnie dotarło.

- Oni wiedzą - szepnęłam. - Oni wszyscy wiedzą, co mi zrobił.
- Czyli co - odparł Patrick. - Chcesz powiedzieć, że nasze zadanie jest już wykonane.
Roześmiałam się drwiąco.

- Śnij dalej, Patrycjjo.

Sprinterzy podeszli do bloczków startowych. Jacob zajął tor pierwszy od wewnątrz.
Idealnie.

- Do biegu! - krzyknął trener Bobby, unosząc nad głowę pistolet startowy.

Biegacze uklękli.

- Gotowi! Unieśli biodra.

- Start!

Usłyszałam wystrzał pistoletu i patrzyłam, jak ruszają, z naprężonymi mięśniami, z łomoczącymi sercami.

To był krótki wyścig - tylko sto metrów. Jacob prowadził. Widziałam, jak wbija wzrok w linię mety, słyszałam, jak publika zagrzewa swoją drużynę.

- L-P-C! L-P-C! L-P-C!

Wszyscy mieli się za chwilę przekonać, co potrafię zrobić nawet z tych swoich cholernych zaświatów. Wszyscy patrzyli. Całe liceum. Wszyscy nauczyciele i wszyscy rodzice.

Daleko z boku, wysoko na trybunach, siedziała ładna, czarnowłosa dziewczyna, całkiem sama. Doskonale widziałam jej twarz, jakby chmury się rozstały i słońce oświetliło ją niczym reflektor na scenie.

Sadie.

Znów się uśmiechnęłam, obserwując Jacoba pędzącego w moją stronę po bieżni.

- Zezryj własne serce, Russo - szepnęłam, zajmując pozycję w kucki. Był już prawie przy mnie, niemal widziałam kontur własnej sylwetki, odbijający się w jego niebieskich oczach. Przypomniałam sobie bicie jego serca i przez sekundę było mi wstyd, że zamierzam to zrobić.

Ale pamiętałam też bicie mojego serca.

Zebrałam się w sobie, wystawiłam nogę i skoncentrowałam się mocniej niż kiedykolwiek wcześniej. Przygotowałam się na uderzenie, bo domyślałam się, że będzie bolało. Ale wiedziałam też, że jego będzie bolało o wiele bardziej niż mnie.

Trzy, dwa, jeden, kontakt!

W mgnieniu oka cały świat zatrzymał się z piskiem opon. Usłyszałam trzask pękającej kości. Usłyszałam, że tłum milknie, widząc swojego gwiazdora bieżni lecącego twarzą na asfalt.

A potem - o, cudowne zwycięstwo - usłyszałam, jak uniwersyteckie stypendium mojego byłego chłopaka pęka niczym przekłuty balon.

Cry Me a River

Patrick nie odzywał się do mnie. Za karę. Bo, cytuję, „posunęłam się za daleko”.

- Bez urazy - powiedziałam - ale moim zdaniem skrecona noga w zamian za pęknięte serce to i tak łagodna kara.

Uniósł brew. *Skrecona?*

- Okej, okej - przyznałam. - Złamana. Wszystko jedno.

Na trybunach wciąż panował totalny chaos, kiedy przyjechała karetka, żeby zabrać Jacoba do szpitala na zrobienie rentgena i założenie gipsu. Nie licząc ratowników, mnie i Patricka, tylko jedna osoba wsiadła z nim do karetki i pojechała na ostry dyżur. Sadie. Jak słowo daję, czy ci dwoje mogli być jeszcze bardziej banalni?

Wszyscy czworo siedzieliśmy w milczeniu, kiedy karetka mknęła do szpitala.

* *Wyplacz mi rzekę.*

- Dość niezręczna sytuacja - odezwał się w końcu Patrick.
- Nie odpowiedziałam. Byłam zbyt zajęta posyłaniem morderczych spojrzeń Sadie, w nadziei, że może ulegnie spontanicznemu samozapłonowi.
- Co tam się stało, Jake? - Sadie delikatnie położyła dłoń na jego dłoni.
- Jacob gniewnie uniósł ręce.
- Nie wiem, okej? Nic. Potknąłem się o nic. Pokręciła głową skołowana.
- Przecież musiałeś się o coś potknąć, wszyscy to widzieli.
- Więc dlaczego mnie o to pytasz? - krzyknął. - Skoro wszyscy widzieli, to może ty mi powiesz, co się stało. - Oparł głowę z powrotem o nosze. Głos mu zadrżał. - Jezu. To zmienia wszystko. To - wskazał zabandażowaną nogę - jest koniec wszystkiego.
- Może nie? - próbowała go pocieszać. - Poczekajmy, co powie lekarz, a potem...
- Jest złamana - rzucił z goryczą. - To był mój bilet, żeby się stąd wyrwać. Jedyna szansa, żeby zacząć na czysto. A teraz mam przesrane. - Zacisnął powieki i skrzywił się z bólu. - Przysięgam, to wygląda tak, jakby coś się dzisiaj na mnie uwzięło. Najpierw rower, a teraz to.
- Sadie wyciągnęła rękę i delikatnie odsunęła mu kosmyk włosów z oczu. Rzygnę.
- O czym ty mówisz? Co się stało z rowerem?

- Jak to, o czym ja mówię? Napisałem ci SMS przed biegiem. - Gniewnie zmarszczył czoło. - Po tym, jak mi życzyłaś, żebym złamał nogę.

Sadie znów pokręciła głową, nic nie rozumiejąc.

- Jacob, co ty wygadujesz? Nie napisałam ci nic takiego.

Jacob przyglądał jej się przez długą chwilę, po czym chwycił swoją torbę i zaczął w niej grzebać. W końcu wyjął telefon, przewinął SMS-y i podał jej.

- Nie?

Widziałam, jak źrenice jej się rozszerzają, kiedy czytała.

- Nie napisałam tego. Nie wiem, kto to zrobił. Zgubiłam dzisiaj telefon, zdaje się, że pod Wendy's. Coś dziwnego działo się z samochodem Emmy i pewnie wtedy go upuściłam.

Widocznie ktoś go znalazł. SMS napisał ktoś inny.

Patrick posłał mi złe spojrzenie. Uups.

- Emma - stwierdził Jacob z niechęcią. - To w stylu Emmy.

Sadie pokręciła głową.

- Em by tego nie zrobiła. Ona i Tess mnie dzisiaj przeprosiły.

Spojrzał na nią.

- Naprawdę? Sadie kiwnęła głową.

- Zadzwoń do ciebie - oznajmił, ciągle pełny wątpliwości. - Zobaczymy, czy ktoś odbierze.

O-o.

Spojrzałam w oczy Patricka, kiedy telefon Sadie zaczął wibrować mi w kieszeni sukienki.

- Odbierzesz? - spytał Patrick.

- Ehm, raczej nie - odparłam, czerwieniąc się. - Niech się włączy poczta głosowa.

Uśmiechnął się drwiąco.

- Dobry pomysł.

Kilka sekund później karetka zahamowała z piskiem i tylne drzwi się otworzyły. Patrick i ja wyskoczyliśmy, kiedy jacyś goście w jaskrawych pomarańczowych kurtkach kazali Jacobowi oprzeć się plecami o nosze. Policzyli do trzech, przenieśli nosze z karetki na ziemię i przesadzili go na wózek inwalidzki.

- Poczekam tu na twoich rodziców - poinformowała go Sadie. - Widzimy się w środku. -

Cmoknęła go delikatnie w policzek. -1 słuchaj, nie przejmuj się, okej? Wszystko będzie dobrze. Princeton nie robi nic strasznego. Nie pozwolimy im. Obiecuję. - Widziałam, że Jacob jej nie wierzy. Ale i tak uśmiechnął się do niej blado.

- Dzięki, Sadie - powiedział cicho, kiedy zaczęli go wieźć do środka. - Nie wiem, co ja bym bez ciebie zrobił.

Och, nie wiem. Ciagle chodziłbyś ze mną?

- Boże, dość! - krzyknął Patrick.

- Hej! Nie krzycz na mnie! - Chwyciłam go za rękaw kurtki, niechcący odsłaniając bliznę. Wyrwał mi rękę.

- Przepraszam, przepraszam. Ciągle zapominam, że jesteś przewrażliwiony na punkcie swojej garderoby.

Po wyrazie jego twarzy poznałam, że nie jest w nastroju do żartów.

- Posłuchaj - rzuciłam błagalnie. - Naprawdę mi przykro, okej? Nie chciałam...

- Owszem, chciałaś - wypalił. - I wcale nie jest ci przykro.

Poczułam się okropnie. Nigdy nie byłam wredna. Nigdy nie skrzywdziłam nawet muchy.

Po raz pierwszy zachowywałam się jak mściwa suka. Miałam dość bycia dobrą przyjaciółką, którą wszyscy wiecznie wykorzystują. Więc ten jeden raz trochę się odegrałam. I okej, to prawda, może parę osób przy okazji ucierpiało.

Ale co z tego? Zasłużyli sobie na cierpienie.

Cienkie smużki czarnego dymu zaczęły unosić się z mojej skóry. Czułam się fatalnie, że jestem taką zołą, ale ostatecznie to nie była sprawa Patricka. Widząc jego słusznie oburzoną, świętoszkowatą minę Toma Cruise'a, zaczęłam się wściekać. Zaczęłam się wściekać, że on się wścieka. Jak śmie?

- A jeśli nawet nie jest mi przykro, to co? - spytałam wyzywająco. - Nikogo nie muszę przepraszać. - Ruszyłam do wejścia na oddział ratunkowy. - A już na pewno nie ciebie. Patrick chwycił mnie za łokieć.

- Brie, nie rób tego. Spróbowałam się wyrwać.

- Puszczaj.

- Nie powinienem był cię zachęcać - stwierdził. - To była jedna wielka pomyłka. Za mocno trzymasz się życia. Teraz to widzę. - Ścisnął mocniej. - Ja to wszystko rozumiem. Uwierz mi, wiem, że świetnie się bawisz, ale tylko pogarszasz własne sprawy. Musisz przestać być taka zawzięta. Inaczej nigdy nie będziesz mogła ruszyć z miejsca.

- I co z tego? - krzyknęłam, wyrywając mu się. - Może ja wcale nie chcę się nigdzie ruszać. Może tu jestem o wiele szczęśliwsza, niż kiedykolwiek będę w Kawałku. Może mam w nosie, jaki jest następny durny etap na twojej durnej liście. Może wolę być z przyjaciółmi i rodziną, niż spędzić całą durną wieczność z tobą!

Oczy mu zabłyśły.

- Z przyjaciółmi? Wiem, że wychowywaliśmy się w innych czasach, ale jestem pewien, że nie tak traktuje się przyjaciół.

- Dostają to, na co zasłużyli! Oboje! Przecież wiesz, że zasłużyli!

- Oni płacą za swoje błędy, Brie. Oboje wiele wycierpieli, od kiedy odeszłaś, może więcej niż ci się wydaje. - Znów wyciągnął do mnie rękę. - Pora uznać, że już wystarczy. Koniec zabawy.

Odsunęłam się od niego. Rozżarzony do białości gniew zaczął we mnie kipieć.

- O co ci chodzi? Dlaczego nagle troszczysz się o ich uczucia? - Roześmiałam się. - Nie mów mi. Ty też zakochałeś się w Sadie?

- Nie bądź śmieszna - odparł. - Dlaczego nie możesz pozwolić, żeby sprawy toczyły się swoim torem?

- Bo nie mam ochoty - wypaliłam. - Bo ja umarłam, a oni nie. Bo to nie fair, a ona na niego nie zasługuje, okej? On był mój. - Głos mi zadrżał, nagle zebrało mi się na płacz. - Był mój. Nie jej.

- Jak możesz tak się przejmować dwójką ludzi, którzy od początku na ciebie nie zasługiwali? - spytał Patrick, patrząc na mnie gniewnie. - Dlaczego nie możesz sobie odpuścić i pójść dalej? On cię zranił. Ona też. Dlaczego tego nie widzisz? - Podciągnął rękawy, odsłaniając jeszcze większy fragment blizny. Drgnęłam. Naprawdę spotkało go na ziemi coś straszego.

Ale co?

- Wziął twoje serce... - Głos Patricka posmutniał nagle. - Wziął sobie twoje słodkie, zabawne, idealne serce... i zniszczył je. Dlaczego pozwalasz, żeby robił ci to ciągle na nowo?

Odpowiedź była tylko jedna. Jasna i prosta, i jedyna, jaką miałam.

- Bo go kochałam. - Łzy gniewu popłynęły mi po policzkach. - A on kochał mnie. Wiem to.

- Potężny grzmot rozległ się w oddali, wiatr się wzmógł.

Nie ruszyło mnie to.

- Kochał cię? - rzucił drwiąco Patrick. - Myślisz, że to była miłość?

- Może gdybyś był kiedykolwiek zakochany, wiedziałbyś, jak to jest stracić najbliższą osobę. - Umilkłam na chwilę. - Stracić dwie najbliższe osoby.

Oczy Patryka pociemniały; nigdy ich takich nie widziałam.

- Aniołku - szepnął. - Nie mów o rzeczach, których nie rozumiesz.

To była ostatnia kropla. Czułam, jak małe, ogniste języczki liżą palce moich stóp, wznoszą się wzdłuż kręgosłupa, rozłazą po plecach, rękach i piersi. Zaczynałam płonąć.

- Zostaw mnie - rozkazałam. - I trzymaj się ode mnie z daleka.

Nie raczył odpowiedzieć głośno. *Jak sobie życzysz.* I zniknął.

Dont Dream It's Over

Dopiero na Cabrillo Drive zdałam sobie sprawę, że doszłam pieszo do domu. Kłótnia z Patrickiem wytrąciła mnie z równowagi, zdekoncentrowała, i nie zauważałam nazw ulic, aż uniosłam wzrok i zobaczyłam bmw taty zaparkowane na naszym podjeździe, ledwie parę przecznic ode mnie. Ruszyłam dalej, kopiąc żwir pod nogami.

Mam rację. Mam rację, a Patrick się myli. Co on może wiedzieć, do diabła? Nigdy czegoś takiego nie przeżywał.

Wyjęłam z kieszeni telefon Sadie. Na razie wykręciła się sianem, ale świat miał się przekonać, że mam jeszcze w rękawie parę asów. Wcisnęłam kilka guzików i w parę sekund otworzyłam jej profil na Face-booku.

Odlóż to, wyobrażałam sobie, jak beszta mnie Patrick. Nawet o tym nie myśl, Pleśniaku.

* *Nie śnij, że to koniec.*

Wygoniłam go z myśli jak irytującego komara i zaczęłam przeglądać profil. Nie aktualizowała statusu od prawie miesiąca, co jak na nią było dość ekstremalnym zjawiskiem. Otworzyłam wiadomości, żeby sprawdzić, czy znajdzie się tam coś wartego przeczytania, ale stwierdziłam ze zdumieniem, że jej skrzynka jest pusta. Trudno w to uwierzyć, biorąc pod uwagę, że miała ponad tysiąc znajomych.

Widocznie kasowała dowody.

Co ty ukrywasz, Sadie?

Nawet jeśli przez parę miesięcy jej towarzyskie akcje spadły na łeb, miałam przeczucie, że w LPC ciągle są ludzie bardzo ciekawi, co też Sadie Russo ostatnio kombinowała.

- Nie możemy pozwolić, żeby twoja wierna publiczność się nudziła - powiedziałam. Po czym wpisałam najlepszy status świata.

PLOTKI SĄ PRAWDĄ.

SR + JF = WM. PS BRIE? JAKA BRIE?

- I to by było na tyle, jak to mówią.

Uśmiechnęłam się, wylogowałam i schowałam telefon z powrotem do kieszeni. Misja wykonana. Potem podeszłam do naszej tylnej werandy i zerknęłam na dom Brennerów, otoczony żółtymi żonkilami i białym płotkiem. Zmarszczyłam ponuro brwi, myśląc, jakie to wszystko sztuczne. Byłam ciekawa, czy pan Brenner dowiedział się już o moim tacie.

I czy mama się dowiedziała.

Myśl o tacie z panią Brenner ciągle wywoływała u mnie mdłości. Moje całe życie było kłamstwem. Dlaczego Jack i ja nie mogliśmy się urodzić w miłej, normalnej rodzinie nieprzeżywającej takich dramatów? Westchnęłam.

Może w przyszłym życiu.

Przez chwilę myślałam o reinkarnacji i o tym, w jakiej postaci chciałabym wrócić do życia, jeśli w ogóle. Może jako delfin. Albo miś koala. Ale tak serio, kto chciałby wracać? Życie było zbyt kłopotliwe. Zbyt bolesne. Nie miałam ochoty zaczynać od nowa, z nowym zestawem problemów. Raz wystarczy.

Ale potem moje myśli zeszyły na Jacoba i nie mogłam się nie zastanowić, w jakiej postaci on wróciłby na ziemię.

Jako świnia.

Nie, świnie są jak na niego zbyt miłe. Może jako glista. Albo szczur.

Och, z całą pewnością szczur.

A Sadie? To było oczywiste. Byłaby wężem. Wielkim, obrzydliwym, oślizłym wężem ze szczurzym pyskiem. Na myśl o Sadie czołgającej się na brzuchu o mało nie wybuchnęłam głośnym śmiechem, na chwilę zapominając o tym, co nie dawało mi spokoju.

Czy chciałam to przyznać, czy nie- a nie chciałam - nie mogłam się pozbyć wrażenia, że Patrick mógł mieć odrobinę racji. Może i posunęłam się trochę za daleko.

O wiele za daleko, wyobraziłam sobie jego słowa.

- Och, zamknij się - burknęłam. Drastyczne sytuacje wymagają drastycznych działań. Z mojego punktu widzenia i tak obojgu się upiekło.

Weźmy Jacoba na przykład. Byłam pewna, że gdzieś jest całkiem przyzwoita państwowa uczelnia, która chętnie przyjmie go do drużyny lekkoatletycznej. A co do Sadie - nie miałam wątpliwości, że i tak dostanie się do Juilliarda i zostanie gwiazdą Broadwayu, skoro ma taką świetną praktykę w okłamywaniu ludzi.

Bo wszyscy wiedzą, że kłamstwo i aktorstwo to właściwie to samo.

Zatrzymałam się na skraju podjazdu. Nagle dotarło do mnie, że teraz mam jeszcze większy problem na głowie.

A raczej pytanie.

Co dalej?

Patrick miał rację. Moje zadanie zostało wykonane. Udało mi się odegrać na Jacobie.

Ale teraz nie bardzo wiedziałam, co zrobić ze sobą.

Czy powinnam zostać w okolicy, nawiedzając przyjaciół i krewnych, dopóki nie przyłączą się do mnie po drugiej stronie? Czy może powinnam się zgłosić jako wolontariuszka na Anioła Stróża i czuwać nad mamą i Jackiem, żeby ich życie toczyło się możliwie gładko?

Szczerze mówiąc, nie wydawało mi się to najlepszym pomysłem, bo takie stróżowanie, kiedy właściwie nie można nic zrobić, mogłoby mi się szybko przejeść.

Na sekundę wróciłam myślą do pewnego popołudnia parę lat temu - kiedy ja i moje przyjaciółki

znalazłyśmy w mieście nasze amulety. Sklep pojawił się znikąd, niemal jakby czekał na nas, i tylko na nas.

Królicza Nora.

Nazwany na cześć nory, przez którą Alicja wpadła do swojej prywatnej Krainy Czarów. Wyobraziłam sobie ten sklep. Ciemne, zniszczone deski na podłodze. Zapach jaśminowego kadzidełka. Ciepły, przytulny blask papierowych lampionów, których światło odbijało się od bladożółtych ścian. Kiedy tak przypominały mi się wszystkie szczegóły, zauważyłam, że mój naszyjnik zrobił się nieprzyjemnie gorący. Wsunęłam palce pod łańcuszek, by odsunąć go od skóry i pozwolić mu trochę ostygnąć.

I wtedy mnie oświeciło.

Jej prywatna Kraina Czarów.

Spojrzałam na przedwieczne niebo. Potem na północ, w stronę San Francisco.

Moja królicza nora.

Tam mogłam zniknąć. A przynajmniej zagubić się i schować, dopóki nie wymyślę, co zrobić z resztą swojego życia.

Hm, śmierci.

Nagle usłyszałam szczeknięcie i dwie białe, plamiste łapy przewróciły mnie na trawnik przed domem.

- Sznycel!

Zaczął mnie obskakiwać i lizać po twarzy, jakbym była największym na świecie kawałkiem bekonu.

- Przestań! - krzyknęłam. - Siad, siad!

Prychnął i zaczął wesoło ujadać, ganiając po ogródku, zataczając wielkie, radosne koła, aż fruwały za nim uszy. W końcu zmęczył się bieganiem i klapnął obok mnie na szorstkiej trawie, machając ogonem jak wariat.

- Spokojnie, piesku, spokojnie. - Podrapałam go po głowie i połaskotałam miękką sierść pod brodą, aż trochę ochłonał.

Położył mi łapę na piersi i zafundował następną serię oślinionych całusów.

- Chyba się ucieszyłeś na mój widok, co? - Usiadłam i rozejrzałam się po ogródku. - Ale co ty robisz sam na dworze? Gdzie jest mama? Gdzie Jack?

Na dźwięk imienia mojego brata Sznycel zaczął skomleć, wydając z siebie krótkie, wysokie piski, wynalezione tylko w jednym celu: żeby kompletnie cię rozbroić. Zerwał się na nogi i potruchtał do psich drzwiczek. Odwrócił się i szczechnął raz, zapraszając, żebym szła za nim.

- Przykro mi, kolego. - Pokręciłam głową. - Wiesz równie dobrze jak ja, że nie mogę tam wejść.

Kichnął.

- Też tak myślę.

Przytruchtał z powrotem do mnie i zaczął się turlać na trawie, wydając odgłosy bardziej przypominające hienę niż psa. Podeszłam do domu i zajrzałam przez okna od tyłu.

Dom wyglądał, jakby przeleciał przezeń huragan.

Cała kuchnia była zastawiona naczyniami. Wszędzie poniewierały się czasopisma i stare gazety. Światła

były przygaszone; na blacie zauważyłam kilka starych pudełek po chińszczyźnie na wynos.

- O kurczę - jęknęłam, patrząc na Sznycla. - Co tu się stało? - Niemożliwe, żeby mama aż tak zapuściła dom. W życiu. Pobiegłam do garażu i zajrzałam przez okrągłe okienko. Samochodu mamy nie było. Blednące światło słońca mówiło mi, że zbliża się pora kolacji; mama z całą pewnością powinna już być w domu. Spojrzałam jeszcze raz, żeby sprawdzić, że wzrok mnie nie myli.

Subaru nie było.

Zaczęłam się martwić. Jeśli nie było mamy, to nie było też Jacka. Zastanowiłam się nad istniejącymi możliwościami. Może pojechali do Vancouver, do dziadków. Może wpadli na parę dni do cioci i wujka w Portland. Ale to nie były jeszcze wiosenne ferie, prawda? A nawet jeśli, to czy nie zabraliby Sznycla? Zawsze zabieraliśmy Sznycla na ferie. Zawsze. Sznycel podbiegł i usiadł kilka kroków ode mnie, przyglądając mi się.

- Gdzie mama? - spytałam jeszcze raz. - Gdzie Jack? - I znów, słysząc imię Jacka, zaczął szczebrać jak wściekły.

- Okej, okej! - Zatkanam uszy rękami. - Drażliwy temat, rozumiem!

Położył się i oparł głowę na łapach. Jego oczy powiedziały mi to, czego nie chciałam usłyszeć. Odeszli. Oni odeszli.

- Mama wie - szepnęłam. - Przyłapała go.

Spojrzałam ze złością na dom. To wszystko wina taty. Wszystko. To on rozbił moją rodzinę. To on doprowadził do tego, że mama i Jack się wynieśli. Był potworem, skoro zniszczył to, co mieliśmy.

I wiedziałam, że mu tego nigdy nie wybaczę.

Moje spojrzenie padło na kamień leżący parę kroków ode mnie. Nie za duży, nie za mały. Sznycel spojrzał w tę samą stronę i skoczył do niego, jakby to był patyk albo piłka tenisowa, ale go odgoniłam.

- Przestań! To nie zabawka!

Cofnął się, ale widziałam, że wciąż myśli, że to zabawa.

Skup się. Kontrola.

Wyobraziłam sobie, jak moje palce obejmują chłodną, gładką powierzchnię kamienia. Powoli sięgnęłam w dół, nakazując sobie spokój. Opanowanie. Wydałam mózgowi najprostsze polecenie, jakie przyszło mi do głowy.

Podnieś.

I podniosłam.

Przez chwilę turlałam kamień na dłoni. Wyczuwałam gładkie i szorstkie miejsca, zdumiewając się, jak coś tak małego może być takie ciężkie. W końcu zamachnęłam się i cisnęłam nim prosto w dom.

Wydawało się, że świat zwolnił, kiedy kamień leciał w powietrzu i wreszcie trafił w wielkie okno od tyłu. Usłyszałam dźwięk tłuczonego szkła, jeszcze zanim zobaczyłam, jak szyba pęka i osypuje się na werandę.

We wnętrzu rozległ się przestraszony głos taty.

- Co jest, do diabła? Hej! Kto tam jest?

Nie miałam najmniejszej ochoty go oglądać. W moich myślach musiał pozostać potworem. Gdyby wyglądał jak tato - ten, którego pamiętałam i kochałam - pewnie nie miałabym siły uciec. Ruszyłam więc biegiem i popędziłam na drugą stronę domu tak szybko, jak dały radę biec moje martwe nogi.

- Nienawidzę cię! - krzyknęłam. - Nienawidzę!

Dopiero kiedy po minucie czy dwóch pod podszewkami baletek poczułam piasek, a we włosach chłodny wiatr, zatrzymałam się, żeby złapać oddech. Uklęknęłam na plaży i schowałam twarz w dłoniach. Z oczu popłynęły mi łzy. Zacisnęłam powieki i poczułam, że świat znów wali mi się na głowę. Tym razem naprawdę byłam sama.

Mama i Jack odeszli. Mój ojciec jest potworem. Nasza rodzina nie istnieje.

Usłyszałam kichnięcie. Poczułam ciepły, mokry nos przyciśnięty do mojego policzka. A kiedy otworzyłam oczy, zrozumiałam, że nie jestem sama.

Nie do końca.

Bo Sznycel poszedł za mną.

In the Arms of an Angel

Nie możesz tu zostać, głuptasie - skarciłam go. Słońce już zachodziło. - Musisz wracać do taty. Musisz wracać do domu. - Przekrzywił głowę na bok i wiedziałam, że myśli to samo co ja. Do jakiego domu?

Miał trochę racji. Ale przecież to się nie mogło udać. Gdyby ludzie zobaczyli psa wędrującego samotnie ulicą, zaraz ktoś spróbowałby go złapać - żeby zabrać do schroniska albo (co bardziej prawdopodobne) zatrzymać go dla siebie. Bo jak ktoś mógłby go nie chcieć? Był nedorzecznie uroczy.

- Pewnie zmieniliby ci imię na jakieś okropne, w rodzaju Buster albo Sparky. -

Pociągnęłam nosem. -Nic z tego.

Ziewnął, szeroko rozdziawiając pysk, i przeturlał się na brzuch.

- Z ust mi to wyjąłeś.

* *W ramionach anioła.*

Siedzieliśmy razem długą chwilę, patrząc, jak nadchodzi przyptyw i gwiazdy budzą się jedna po drugiej. Opowiedziałam Sznyclowi, gdzie byłam i co widziałam. Opowiedziałam mu o Patricku, Pani Krzyżówce i o tym, jak skoczyłam z Golden Gate - dwa razy! - i że wolałabym umrzeć na nowo, niż zjeść jeszcze jeden kawałek pizzy. A on położył mi swoją miękką, kochaną głowę na kolanach i wzdychał, jak za dawnych czasów.

Wiedziałam, jak się czuje.

Mając przy sobie Sznycla niemal mogłam udawać, że jestem zwykłą dziewczyną z psem, a nie jakąś zagubioną duszą ze zbiegłym czworonogiem. Żałowałam, że w *Ś.P.* nie ma rozdziału o śmiganiu z psami. Chociaż pewnie to kiepski pomysł, jak się tak zastanowić. Spojrzałam na niego i pocałowałam go w nos.

- Jeszcze tego by mi było trzeba. Żeby ktoś zadzwonił na policję z powodu niezidentyfikowanego latającego basseta. - Sznycel przytulił się mocniej, a ja ośmieliłam się zamknąć oczy tylko na sekundę. Światło już prawie zniknęło. Tak przyjemnie było odpocząć.

Ale nagle, nie wiadomo czemu, poczułam na skórze drobne dreszcze, łaskoczące mnie po rękach. Mój wewnętrzny system ostrzegania uaktywnił się na całego. Usiadłam. Sznycel powąchał powietrze i zaczął tłuc ogonem w piasek.

Pac. Pac-pac.

- Ciii. - Rozejrzałam się, ale niewiele widziałam. Zaczęłam się bać. Cholera, co ja tu robiłam sama, po ciemku? - Chodź, piesku. - Objęłam Sznycla

ramionami. Nie był raczej materiałem na psa obronnego, ale miałam nadzieję, że jeśli ktoś jest tam, w ciemności, nie zauważy różnicy. - Może byś zawarczał albo coś? - szepnęłam. Podrapał się w ucho i prychnął.

O tak, to ich przepłoszy.

Pojedyncze, żółte światełko zamigotało przede mną. Podskoczyłam ze strachu.

Wstrzymałam oddech i patrzyłam na nie, aż zgasło po sekundzie. Ale potem kolejne zapaliło się kilka centymetrów od mojego barku, zawieszony w powietrzu.

- Co...?

Z początku było jedno, dwa. Ale po chwili pojawiło się kolejne. I jeszcze jedno. Patrzyłam zdumiona, jak powietrze się od nich zaroilo - maleńkich, migotliwych światełek, tańczących wokół naszych głów.

Świetliki.

Po kilku chwilach nie dało się ich zliczyć. Były ich setki. Nigdy nie widziałam czegoś takiego. Ani w prawdziwym życiu, ani w snach. To było niesamowite.

Nie, to była magia.

Patrzyliśmy oboje zahipnotyzowani, jak powoli płyną wzdłuż plaży. Na północ.

Oświetlając drogę do San Francisco.

- To jest znak - szepnęłam. - To musi być znak. - Czulałam, jak ich nieważkie skrzydełka poruszają powietrze, delikatnie studząc łańcuszek na mojej szyi. Widziałam smużki światła, które zostawiały za sobą,

kiedy gaśły i znów się zapalały, zalewając plażę miękkim, przyjaznym blaskiem. Sznycel zerwał się i otrzepał z piasku; zaczął gonić świetliki aż na skraj wody.

- Czekaj, piesku! Czekaj na mnie!

Ruszyłam za nim biegiem i wybuchnęłam śmiechem, kiedy moje stopy obmył chłodny, świetlisty ocean. Tańczyliśmy wśród tych iskier, podążaliśmy za nimi, kiedy tak płynęły nad migotliwym brzegiem. Po raz pierwszy od Bóg wie jak dawna w mojej piersi zaległo się dawno zapomniane uczucie.

Nadzieja.

Przekonanie, że wszystko jeszcze jest możliwe.

Więc wzięłam Sznycla na ręce, choć niełatwo było utrzymać tego niezgrabiasza, i szepnęłam mu do ucha, żeby siedział spokojnie. Skupiłam myśli na Króliczej Norze - na jej wielkiej wystawie z niebieskim witrażem i białymi papierowymi lampionami pod sufitem. Wyobraziłam sobie rozmigotane świece i sentencje wypisane czarnym, eleganckim tuszem na papierowych zwojach, przesłaniających ściany z wiśniowego drewna - cytaty z najlepszych książek dla dzieci.

Sznycel zaskomlał, więc przycisnęłam go do siebie jeszcze mocniej. Teraz już nie mógł mi się wyrwać. Dałam mu jedyną radę, jaka przyszła mi do głowy.

- Trzymaj się, piesku. Trzymaj się mocno.

W następnej chwili pędziliśmy już w wirze oceanu, piasku, mgły i nieziemskiej chmury świetlików, tak gęstej, że ledwie mogłam oddychać. Poczułam,

że moje stopy odrywają się od ziemi i usłyszałam, że Sznycel wyje jak oszalały, kiedy śmigaliśmy w powietrzu w samo serce San Francisco.

Czas zwolnił jak na starym, niemym filmie, wszystko wokół rozplynęło się w nicość. A w mojej głowie pozostała tylko jedna myśl.

Szkoda, że nie ma tu Patricka.

CZESC 4

PRZEKUPSTWO

*California Dreamin'**

Miasto było mroczne i pełne cieni. Nie było ludzi. Nie było pulsu. Niemal jakby ktoś przeszedł z wielkim odkurzaczem i wyssał z niego życie.

Nie wylądowaliśmy dokładnie tam, gdzie chciałam - na Fisherman's Wharf zamiast na Haight. Ale to nie miało znaczenia. Wszystkie ulice były puste. Wszystkie budynki miały okna zabite deskami. Nigdzie nie widziałam żywej duszy.

Krążyłam i kluczyłam ulicami, czasem skręcając w lewo, czasem w prawo. Powykręcane drzewa rzucały dziwne cienie na chodniki; drżałam, zastanawiając się, ile czasu zostało do wschodu słońca. Ale im dalej szliśmy, tym ciemniejsze było niebo. I tym jaśniej płonęły gwiazdy nad nami.

W końcu wyjęłam telefon Sadie, żeby sprawdzić, która godzina, ale okazało się, że ekran jest całkowicie czarny.

* Kalifornijski sen.

- Kiepska bateria. - Wyrzuciłam telefon do najbliższego kosza, do którego trafił z brzękiem. Sznycel zawarczał na ten dźwięk, a ja bałam się przez chwilę, jakbyśmy znaleźli się w filmie *Świt żywych trupów*, w którym dziewczyna i pies kończą jako kolacja zombi.

- Nie ma jak w domu - szepnęłam, zaciskając powieki. Nie ma jak w domu, nie ma jak w domu, nie-majakwdomu.

Stuknęłam nawet baletkami dla efektu, na wypadek gdyby to w czymś pomagało. Ale kiedy znów uchyliłam powieki, stało się jasne, że sztuczka Dorotki dla nas nie zadziała. Wyobraziłam sobie, jak Patrick przewraca oczami. Próbuje do skutku, Serowy Mózdzku. Nawet Sznycel prychnął na mnie, jakbym była jakąś idiotką.

- Tak? - rzuciłam. - A masz jakiś inny, lepszy pomysł?

Wędrowaliśmy dalej ulicami, z Fisherman's Wharf, przez Cow Hollow, do North Beach, gdzie moja rodzina przyjeżdżała na włoskie jedzenie. Ciągle miałam nadzieję, że może ich zobaczę - może pojawią się nagle w samochodzie taty, z opuszczonymi szybami, gotowi zabrać nas do domu.

Śnij dalej.

Ale kogo ja chciałam nabrać? Byłam tylko ja. Tylko Sznycel. Tylko księżyc w pełni i niebo zapchane gwiazdami.

Byliśmy w miarę blisko, więc postanowiłam pójść Macondray Lane; była to mała, ukryta uliczka, kiedyś jedno z moich ulubionych miejsc - cała zarośnięta drzewami, kwiatami i bluszczem, i z bodaj najlepszym w całym mieście widokiem na Alcatraz i Zatokę.

Ale tak naprawdę uwielbiałam Macondray Lane dlatego, że to tam Jacob zabrał mnie na pierwszą randkę. Dzień po jesiennym balu LPC i po naszym pierwszym pocałunku.

Kiedy tam dotarliśmy, pozwoliłam sobie na wspomnienie tamtego popołudnia.

Pamiętałam miodowy zapach powietrza i szepty suchych liści szeleszczących na starej, brukowanej uliczce. Pamiętałam, że dzień był ciepły i cudowny i że był dla mnie absolutną niespodzianką. Jacob Fischer - pożeracz lodów cherry garcia - stwierdził, że mu się podobam.

Patrzyłam zdumiona, jak wspomnienie zaczęło rozgrywać się przede mną, niczym w teatrze. Cienie uleciały z ziemi. Kwiaty zaczęły się otwierać i wyciągać łodyżki. Igły upału przypaliły mi skórę, uliczka rozbłysła słońcem.

I nagle my. On i ja. Czy raczej dawna ja. Wybałuszyłam oczy, kiedy w uliczkę wszedł Jacob, ubrany w sprane džinsy i mój ulubiony polar Patagonia. Nasze palce były splecione.

- Dokąd idziemy? - zachichotała dawna ja, z oczami przewiązanymi opaską. - Nie jesteśmy jeszcze na miejscu?

- Zobaczysz - powiedział dawny Jacob. - Jeszcze kawałeczek.

Sznycel spojrział na mnie, bijąc ogonem w nierówny bruk. Przekrzywił głowę i zaskomlał, nie rozumiejąc, jakim cudem nagle jest mnie dwie.

Wtedy do mnie dotarło. Pies ich widzi. Pies widzi moje wspomnienie.

- Więc ty teraz też siedzisz w moim mózgu, co? - Pokręciłam głową. - Jesteś jakimś telepatycznym psem, czy jak?

W odpowiedzi polizał moją dłoń. To pewnie znaczy tak.

- Lepiej, żeby to było dobre - powiedziała ze śmiechem dawna ja.

- Nie martw się - zażartował Jacob. - Obiecuję, że odstawię cię do domu przed *Top Model*.

Nie mogłam oderwać wzroku od twarzy dziewczyny. Była mną. Ja byłam nią. A jednak jakimś cudem -nie. Znałam to wspomnienie w każdym szczególe. Ale z jakiegoś powodu, kiedy patrzyłam na rozgrywającą się przede mną scenę, poczułam się, jakbym podglądała cudze życie. Jakby ten dzień nigdy nie należał do mnie.

Pamiętam, jak zaimponował mi Jacob tamtego popołudnia. Zaimponowała mi jego pewność siebie, jego swoboda i spokój. Ale kiedy patrzyłam na niego z innego punktu widzenia, dostrzegałam, jaki był zdenerwowany. Jakby się bał, że nie odwzajemnię jego uczuć.

- Zaczekaj tutaj - powiedział, puszczając moją rękę. Sięgnął do plecaka i wyjął duży, granatowy koc. Patrzyłam, jak rozkłada go na niewielkim, kwadratowym

trawniku i drżącymi rękami wypakowuje najróżniejsze przysmaki z wiejskiego targu. Było tam chyba z pięć rodzajów sera, rubinowe maliny, świeżutka francuska bagietka i szarlotka z kruszonką na deser. Moja ulubiona.

Wziął głęboki wdech i powoli rozwiązał opaskę.

- Okej. Możesz otworzyć oczy.

Dawna Brie zachłysnęła się z zachwytu, kiedy jej oczy przywykły do światła.

- Zrobiłeś to wszystko dla mnie?

Jacob schylił się i zerwał małeńki kwiatek, a ja poczułam ściskanie w piersi, kiedy podał go jej. Wiedziałam, co będzie dalej.

Dawna Brie uśmiechnęła się, zawstydzona wzięła kwiatek i schyliła głowę, żeby go powąchać. Ale widocznie trochę za bardzo wczuła się w to wąchanie, bo wessała kwiatek prosto do nosa.

Zakryłam twarz dłońmi i pokręciłam głowę, na nowo paląc się ze wstydu.

- Rany. To się nazywa wąchanie - zażartował Jacob, kiedy już złapał oddech po ataku śmiechu. - Nie jesteś czasem spokrewniona z odkurzaczem?

Dawna ja pokręciła głowę i rzuciła w niego kwiatek.

- Raczej z kosiarką.

Zobaczyłam ciepły błysk w jego oczach.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Brie. A potem zatonęli w morzu pocałunków.

Poczułam, że łzy wzbierają mi w oczach, i musiałam odwrócić głowę. Wtedy cienie powróciły, skradając

się i wijąc, sunąc po bruku jak węże. Chłopak i dziewczyna zniknęli, a blask słońca wsiąkł w czarną pustkę.

- Głupie chłopaki - szepnęłam. Czułam się bardziej samotna niż kiedykolwiek.

Sznycel zaskomlał.

- Nie ty - poprawiłam się. - Ty jesteś jedynym chłopakiem, którego lubię.

W ciągu paru sekund znów zostaliśmy sami. Jedno przy drugim, w starej, ciemnej uliczce.

- Chodź, Sznycel. Spadamy stąd.

Szliśmy dalej. Gdziekolwiek trafiłam, znajdowałam coś, co przypominało mi dawne życie.

Przerośnięty bluszcz, jak na domu mojej ciotki w Seattle. Popękane graffiti pełne pacyf, tęcz i tańczących szkieletów, jak plakaty Grateful Dead, które tato trzymał w garażu.

Pasiaste, czarno-białe markizy, prawie identyczne jak tapeta w łazience na piętrze, którą dzieliłam z Jacobem.

Zupełnie jakby moja pamięć przywłaszczyła sobie całe San Francisco, zostawiając niewidzialne ślady stóp, które teraz odnajdywałam. Skręciliśmy w lewo w Beulah, i w prawo, w Shrader. Jeszcze pół kwartału i byliśmy na miejscu.

Ale kiedy spojrzałam, przekonałam się ze zdumieniem, że Królicza Nora zniknęła.

A raczej zostały z niej ruiny.

Sklep był jak wypatroszony. Piękna witryna roztrzaskana w drobny mak. Otwarte drzwi wisiały na wpół wyrwane z zawiasów, jakby otworzył je kopniakami jakiś agresywny ciemny typ. Ceglane ściany

z gipsowymi wykończeniami były zabazgrane czarnym graffiti - dziwnymi symbolami, których nie rozpoznawałam - a stara uliczna latarenka wyglądała, jakby nie zapalano jej od bardzo dawna. Gdziekolwiek spojrzełam, na chodniku błyszczały odłamki szkła.

Poczułam ciarki na plecach i serdecznie pożałowałam, że nie jesteśmy już w Half Moon Bay.

- Jeśli chcesz trafić do najbardziej podejrzanej dzielnicy we wszechświecie, zgłoś się do mnie - mruknęłam. Chociaż, z drugiej strony, nie pośliznęłam się na skórcie od banana ani nie zgubiłam przypadkiem wszystkich ciuchów, co, znając mnie, nie było takie znów nieprawdopodobne.

Zaczerwieniłam się, wspominając, jak Patrick musiał zapinać mi sukienkę po drugim skoku z mostu. Takie już moje szczęście, że pierwszym facetem, który widzi mnie całkiem gołą - od stóp do głów - jest martwy chłopak z lat osiemdziesiątych.

Okej, przyznaję, dość przystojny chłopak z lat osiemdziesiątych, ale mimo wszystko.

- Chodź, Szync. - Uklękłam, żeby wziąć Szyncła na ręce i prześmignąć nas z powrotem do Half Moon Bay. - Tu już nie ma nic do oglądania.

Znieruchomiałam, słysząc głos z za pleców.

- Już uciekasz?

Zaparło mi dech, kiedy odwróciłam się i stanęłam twarzą w twarz z dziewczyną mniej więcej w moim wieku. Była drobna, wysportowana, miała zabójcze kości policzkowe i ciemnoszare oczy. Długi, ciemny

warkocz zwisał jej luźno przez ramię, a skórę miała tak gładką, że przypominała porcelanową lalkę. Szczerze mówiąc, gdyby nie blizny od poparzeń, które zaczynały się tuż pod linią włosów i jak drobne płomyki rozłaziły się po całej lewej połowie jej twarzy, mogłaby być modelką. Jeszcze jaką.

Gapiałam się na nią, totalnie wbita w ziemię. Ale nie dlatego, że była piękna. Dlatego, że ją znałam.

- Hej, Brie. - Uśmiechnęła się i oczy jej zabłyśły jak małe węgielki, rozświetlając ciemność. - To ja. Larkin.

Enjoy the Silence

Larkin? Larkin Ramsey? - Walnęłam ją pięścią w ramię za karę, że mnie tak wystraszyła. -
Co ty tu robisz?

- Au! - krzyknęła ze śmiechem. - O Jezu, żałuj, że nie widziałas swojej miny. Bezcenna.
Po prostu nie mogłam w to uwierzyć. To było zbyt szalone, żeby mogło być prawdą. A
jednak to z całą pewnością była Larkin. Wyglądała dokładnie tak samo, jak zapamiętałam
ją z dziewiątej klasy. Oczywiście nie licząc tego, że była martwa.

Świat naprawdę jest mały. Czy raczej zaświaty.

Podeszła do Sznycla.

- Co to za beagle?

- Basset - poprawiłam ją. - Co, nie pamiętasz go? Gapiła się na niego bez słowa przez dobre
trzydzieści sekund.

- Sznycel? - Schyliła się i uścisnęła mu łapę. - W życiu. - Była pod ogromnym wrażeniem. -

Chyba

* *Ciesz się ciszę.*

żartujesz. Nigdy jeszcze nie widziałam wstecznego przejścia.

- Czego?

- Wstecznego przejścia. - Podrapała za uchem Sznycla, który ziewnął, radośnie rozdziawiając pysk. - Ciągłe masz bijące serce, psi słodziaku - powiedziała. - Nie powinieneś tutaj być. Ani troszkę!

- A, to - rzuciłam. - Tak. Jakoś tak po prostu poszedł za mną.

- Typowy myśliwski pies, one wiecznie się szlajają. Prawda, piesku? Prawda? No pewnie że tak!

Przeturlał się na plecy, dysząc wesoło. I pierdnął.

- Jezu, Sznycel - jęknęłam. - No co ty! Larkin zerwała się na równe nogi, zatykając nos.

- O kurczę. To było złośliwe, czy co?

- Sorka - przeprosiłam w imieniu Sznycla. - To tylko znaczy, że cię lubi.

Roześmiała się.

- Dobrze wiedzieć.

Patrzyłam na nią w przymglonym świetle księżyca. Ciągłe nie mogłam uwierzyć w to, co widzę.

- Co ty tu robisz? - spytałam zdumiona. - Chodziłam całą noc. Myślałam, że miasto jest kompletnie puste.

- I właśnie to mi się w nim podoba. - Uśmiechnęła się. - Ale pytanie brzmi, co ty tutaj robisz.

Milczałam przez chwilę. Wzruszyłam ramionami.

- Chyba potrzebowałam się wyrwać. Zmienić klimat.

- Nie, głuptasie, ja pytam, dlaczego jesteś martwa? Co ci się stało? Nie byłaś jakąś królową drużyny pływackiej?

Roześmiałam się.

- Skoków do wody.

- Pływanie, skoki. - Machnęła ręką. - Od jednego i drugiego robią się zielone włosy. Więc co się stało? Co pokonało niepokonaną Aubrie Eagan?

Niepokonaną. Ha, niezłe.

- Nie wiem. - Szukałam właściwych słów. - Zdaje się, że miałam problem z...

- Czekaj, czekaj, czekaj, nie mów mi, sama zgadnę! Tak będzie zabawniej. Zaraz... - Zaczęła okrążać mnie powoli z założonymi rękami. - Czy to mogła być... katastrofa samolotu?

Pokręciłam głową.

- Napad na bank?

- Nie-e.

Zerknęła na Sznycla.

- Śmierć od psiego pierdnięcia?

- Hej! - Roześmiałam się. - Nie bądź wredna!

- Okej, okej. - Zachichotała. - Po prostu badam wszystkie możliwości. - Spojrzała na mnie jak detektyw. - Wypadek balonu na gorące powietrze? Awaria samochodu? Awaria chłopaka?

Jej ostatnie pytanie dało mi do myślenia. Wzdrygnęłam się odrobinę.

- Kłopoty z facetem! - wykrzyknęła. - To jest to, zgadza się?

Kiwnęłam głową.

- Mniej więcej. Uniosła rękę.

- Jestem niesamowita. Piątka. Prychnęłam.

- Nie wkrecaj mnie.

- No przestań, mówię serio. - Piątka, dziewczyno! Zgadłam po pięciu strzałach. To całkiem nieźle.

- A, okej - odparłam. - Jasne. - Szybko uniosłam rękę i plasnęłam ją w dłoń.

- Ta, to chyba była najbardziej anemiczna piątka w moim życiu. - Po raz drugi uniosła rękę.

- Druga próba.

Spojrzałam na nią niepewnie, trochę zażenowana swoim brakiem umiejętności.

- No dawaj - zachęciła. - Wyobraź sobie, że walisz go w gębę.

Prychnęłam, ale postanowiłam spróbować. Pomyślałam o jego twarzy. Jego głupiej, irytującej, kłamliwej gębie. Pomyślałam o tym, jak to zawsze decydował, gdzie idziemy na randkę, i że w jego domu po szkole nigdy nie było takich dobrych rzeczy do jedzenia jak u mnie, i że jako dziewczyna doskonała nigdy mu nie wytknęłam, że czasami jego oddech trochę za mocno pachniał serowymi nachosami.

- Ja czeekaaam. - Larkin niecierpliwie stuknęła nogą.

Pomyślałam o Sadie w jego ramionach tamtego ranka na plaży. Pomyślałam o tym, jak oboje mnie zdradzili.

I walnęłam w dłoń Larkin tak mocno, jak tylko umiałam. Trach!

- Do diabła! - wrzasnęła Larkin. Odsunęła się o krok i zaczęła dmuchać na skórę, żeby ją ochłodzić. - Okej. To się nazywa piątka.

Wyszczrzyłam radośnie zęby i pożałowałam, że Patrick tego nie widział.

- Dzięki.

Larkin kopnęła z drogi kilka odłamków szkła i usiadła na chodniku parę kroków ode mnie.

- Hm. Więc było aż tak źle? - Pogrzebała w kieszeniach i wyjęła zmiętą paczkę papierosów.

- Tak. - Kiwnęłam głową. - Aż tak źle. Podsunęła mi paczkę.

- Chcesz?

- Nie, dzięki. Nie trzeba.

- Jak wolisz. - Szybki ruch kciukiem w górę i mały, pomarańczowy płomyk wystrzelił z jej stulonej pięści. Nie potrzebowała zapalniczki.

O kurczę. Zadaje się, że przegapiłam ten rozdział w *Ś.P.*

Nie mogłam się nie gapić. Płomyk rzucał dziwne, migotliwe światło na twarz Larkin, wydobywając z mroku jej oparzenia. Siłą rzeczy przypomniała mi się blizna Patricka. To, jak lekceważąco o niej mówił. „Wypadek na motorze. Nic wielkiego”.

Na wspomnienie jego głosu trochę mnie zemdliło; czułam wyrzuty sumienia, że kazałam mu spadać. A nawet jeszcze gorzej.

Czułam się egoistką.

Siedziałyśmy w milczeniu, aż jej papieros wypalił się prawie do zera. Dotarło do mnie, że nie wiem, o czym z nią rozmawiać, bo ostatni raz tak naprawdę gadałyśmy ze sobą w piątej klasie, jadąc razem do szkoły.

- Ja też się raz zakochałam - rzuciła Larkin. - Biedak nawet nie wiedział o moim istnieniu.
- Roześmiała się i delikatnie dotknęła blizn na policzku. - Zresztą nie istniałam zbyt długo.
- Puściła do mnie oczko. - Mówi się trudno. Tym gorzej dla niego.

Nie mogłam uwierzyć, że dziewczyna tak piękna jak Larkin - z poparzeniami czy bez - mogła cierpieć przez faceta. Owszem, zawsze była samotniczką, ale jakoś nie mieściło mi się w głowie, że Larkin Ramsey miała problemy z chłopakiem.

Ale kto wie? - pomyślałam. Może pęknięte serce nie wybiera.

- Kto to był? - spytałam. Chciałam wiedzieć więcej. - Co to był za facet?
- Obiecujesz, że nie będziesz się śmiać?
- Obiecuję.

Uśmiechnęła się z zażenowaniem.

- Doktor O'Neil. Opadła mi szczęka.
- Nauczyciel chemii?
- No, wiem! - jęknęła. - Ale sama przyznaj. Jest niezły!

Nie zaprzeczałam. Znałam mnóstwo dziewczyn, które tak uważały. Włącznie z Sadie.

Gadałyśmy i gadałyśmy, i nie mogłyśmy przestać. Opowiedziałam jej o Kawałku i o kłótni z Patrickiem. Opowiedziałam, jak prawie całkowicie pokonałam swój lęk przed motocyklami i o romansie taty z panią Brenner. Opowiedziałam jej nawet o moim głupim pękniętym sercu i jeszcze głupszym chłopaku, który je złamał. O jego głupich włosach, głupim uśmiechu, głupiej deskorolce i drużynie lekkoatletycznej - nawet o jego głupiej obsesji na punkcie *Władcy Pierścieni*.

- No, nie wiem - stwierdziła. - Ten cały Jacob to jakiś Bilbo Mięczak Baggins.

Powiedziałabym, że lepiej ci bez niego.

Zrobiło mi się lepiej, kiedy się wygadałam. Naprawdę dobrze. Powoli wciągnęłam powietrze. Poczułam się wolna, kiedy zapach plaży i wschodu słońca wypełnił mi płuca.

Och, nareszcie dzień.

Spojrzałam w niebo, ale stwierdziłam ze zdumieniem, że nie widzę ani skrawka złota, błękitu czy fioletu nad horyzontem. Tylko nieskończoną, bezdenną czernią.

- Nie licz na to - powiedziała Larkin. - Słońce przestało tu wschodzić wieki temu. - Wstała i się przeciągnęła. - Ale co tam! - rzuciła ze śmiechem. -Przynajmniej nie dostaniemy raka skóry.

- Słusznie - powiedziałam, zrywając się razem z nią. Zanim się obejrzałam, wzięła mnie w objęcia i potężnie uściskała.

- Strasznie się cieszę, że tu jesteś, Brie. - Spojrzała na Sznycla, który chrapał spokojnie na chodniku po drugiej stronie ulicy. Jej oczy zabłyśły w świetle księżyca. - Że oboje tu jesteście.

Just Like a Prayer

Ilekoć ludzie mówią o umieraniu, wszyscy zawsze trują o ostatniej rzeczy, jaka staje ci przed oczami. Ostatniej myśli. Ostatnim wspomnieniu. Ostatnim uczuciu, pocałunku czy piosence w radiu - dowolnej ostatniej rzeczy, która jakimś cudem ma podsumować całe życie w jednej chwili, w jednym potężnym, oślepiającym błysku doskonałego światła. Ale zdradzę wam sekret na temat tego wielkiego błysku.

On nie istnieje.

Tak naprawdę wszystko jest o wiele prostsze. Faza pierwsza: jesteś tu. Faza druga: nie ma cię.

Światło gaśnie na zawsze. Przerazająca myśl, wiem. Uwierzcie mi, że kiedyś bałam się ciemności. Ale już się nie boję.

* *Jak modlitwa.*

Od kiedy Larkin nauczyła mnie, co to znaczy odpuścić. Oswobodzić umysł. Cieszyć się życiem, że tak powiem.

W roku chłopaka, o którym wolę nie wspominać, całymi godzinami śpiewałam z odtwarzaczem w kółko te same ckliwe piosenki, dając się porwać muzyce albo tekstowi, jakby każde słowo było napisane specjalnie dla nas. Ale Larkin nauczyła mnie, jak wyłączyć te stare kawałki. Pomogła mi ułożyć nową playlistę.

Lepszą.

Nie mogłam uwierzyć, że zmarnowałam w Kawałku tyle czasu. Wszystko w tej knajpie było skupione na przeszłości, wręcz makabrycznie. Wszystko, począwszy od wspomnień, oglądanych ciągle od nowa, poprzez miejsca, które mi się śniły, na życzeniach skończywszy.

Tutaj było inaczej. W tej części nieba nikt nie martwił się o cokolwiek czy kogokolwiek, kto istniał w czasie innym niż teraz. Słońce nie wschodziło i nie zachodziło, więc nie istniało wczoraj ani jutro. Prawdziwy świat był stąd zupełnie niewidoczny, a czego oczy nie widzą, tego duszy nie żal. Nie było rozmyślań nad przeszłością. Nie było czepiania się jej dla bezpieczeństwa. Chyba po raz pierwszy byłam wolna.

A miasto stało się naszym placem zabaw.

Po jakimś czasie zaczęłam się tam czuć jak u siebie. Larkin i ja mianowałyśmy Sznycla oficjalnym mistrzem niuchaczem oceniającym nasze posiłki. Jedno

szczeknięcie oznaczało coś absolutnie jadalnego, dwa szczeknięcia - niekoniecznie. Przyznaję, że trochę się rozbestwiłam w Kawalku, mając niewyczerpane źródło pizzy na wyciągnięcie ręki, i potrzebowałam trochę czasu, by przywyknąć do nurkowania w śmietnikach. Ale Larkin nauczyła mnie, że jeśli masz cierpliwość -i mocny żołądek - bez problemu się wyżywisz.

Nie był to idealny układ, ale we trójkę jakoś sobie radziliśmy. Wiedziałam tylko tyle, że uwielbiam energię tego miejsca, księżyc w pełni oświetlający nasz mały, magiczny świat niczym sceniczny reflektor. Gdziekolwiek byliśmy, wreszcie czułam się jak w domu. Nawet jeśli od czasu do czasu żałowałam, że nie mogę się tym podzielić z Patrickiem. Patrick? Jesteś tam gdzieś?

Zero odpowiedzi. Połączenie zostało zerwane. W końcu przestałam go wołać. Sypiałyśmy w parkach i opuszczonych tramwajach linowych, na dachach, i w Pałacu Sztuk Pięknych w ogrodach Presidio, wygodnie rozwalone, jakby należał do nas - bo właściwie należał. Śmigałyśmy po ulicach na złamanie karku, tłukłyśmy szyby w dzielnicy Castro i wywracałyśmy kosze na śmieci w Parku Dolores.

Larkin okazała się najlepszą słuchaczką, jaką znałam. Zawsze chciała usłyszeć więcej o mojej historii i o tym, jak wyobrażałam sobie przyszłość. Kiedy mówiłam, nigdy mi nie przerywała i nie odrywała ode

mnie spojrzenia. Czasem się śmiała, czasem płakała; czasem po prostu pozwalała, żebym położyła głowę na jej kolanach, jak starsza siostra, której nigdy nie miałam, i usypiała mnie głaskaniem po włosach.

Po długim czasie, kiedy już zmęczyłam się mówieniem o sobie, zaczęła opowiadać mi trochę o swoim życiu - szczególnie o latach, kiedy nie miałyśmy ze sobą kontaktu.

Powiedziała mi, że nigdy właściwie nie miała bliskich przyjaciół w LPC i że zajęła się fotografią, bo czuła się dobrze schowana za aparatem. Powiedziała, że w ten sposób mogła celować obiektywem we wszystkich palantów, którzy osądzali ją za to, że nie jest taka jak oni.

Potem wyznała, jak fatalnie czuła się po pożarze, kiedy obudziła się po tej stronie, potwornie zawstydzona swoim wyglądem; i jak rozpaczliwie szukała miejsca, gdzie nikt by się nie gapił. Mówiła, że po miesiącach błąkania się miasto po prostu zawołało ją, a ona usłuchała.

Tutaj, w mieście, było w porządku być zagubionym. Było w porządku być dziwadłem. A dwa dziwadła, jak stwierdziłyśmy zgodnie, to o wiele lepsze niż jedno.

Kiedy już totalnie się nudziłyśmy, skakałyśmy z najwyższego wieżowca w mieście, Transamerica Pyramid, i sprawdzałyśmy, która spadnie szybciej. Zaczynałyśmy od wyścigu na czterdzieste ósme piętro, przez restaurację i sklep z pamiątkami, a potem długim, krętym korytarzem z paskudną tapetą i jeszcze brzydszą wykładziną. Potem skręcałyśmy na stary,

opuszczony taras widokowy, z którego było widać każdy metr San Francisco.

- Wiesz co? - zagadnęła Larkin pewnej nocy, kiedy siedziałyśmy na szczycie piramidy z nogami dyndającymi nad miastem; rozwiązała warkocz i zaczęła czesać palcami długie, czarne włosy. - Byłam sama tak długo, że chyba już zapomniałam, o ile fajniej jest mieć współniczkę w przestępstwie. - Wyszczrzyła do mnie zęby. - Uwielbiam nas. Jesteśmy najlepszą ekipą świata.

Najlepszą, pomyślałam. BEST. Brie. Emma. Sadie. Tess.

Dotknęłam naszyjnika. Serduszko rozgrzało mi się pod palcami, a moje myśli wróciły do przyjaciółek. Moich dziewczyn. Nie powiedziałam Larkin, że oddałabym wszystko, żeby znów mieć je przy sobie, jak dawniej.

- Ja też nas uwielbiam - potwierdziłam, wyrzucając je z pamięci. Nie było sensu wracać do przeszłości.

- Tak przy okazji, fajny wisiołek. Od dawna chciałam ci powiedzieć.

- Dzięki - odparłam. Dopiero teraz zauważyłam malutki tatuaż na jej lewym ramieniu.

Małe kółeczko przekreślone iksem. Ale nie wyglądał jak zwykły tatuaż zrobiony tuszem.

Wyglądał, jakby wcięto go w skórę jakimś ostrzem.

Ten symbol wydał mi się dziwnie znajomy, ale nie wiedziałam skąd.

- Kiedy sobie to zrobiłaś? - spytałam.

Spojrzała na ramię i jej włosy opadły na dół smolistymi falami.

- A, to? Głupi błąd podczas wiosennych ferii w dziesiątej klasie. Pojechaliśmy całą bandą do Cancun i wymknęliśmy się, kiedy rodzice spali. Jeden chłopak, Justin Chance, zrobił sobie taki i podpuścił mnie, żebym też sobie zrobiła. A ja nie umiem się oprzeć wyzwaniom. - Przewróciła oczami. - Nastolatki.

Popatrzyłam na horyzont. Moją uwagę zwrócił cień na zatoce.

- Co to jest? - Mój wzrok padł na małą, samotną wysepkę, daleko za Alcatraz, już prawie pod Sausalito (to małe, nadmorskie miasteczko z knajpką, w której podają najlepszy grillowany ser na świecie). Wysepka wyglądała totalnie dziko. Widziałam tylko las i plażę.

- Wyspa Anioła - powiedziała Larkin. - Słyszałaś o niej kiedyś?

Zaczęłam szukać w pamięci, ale nic nie znalazłam.

- Nie.

- Niezbyt przyjemne miejsce. Myślisz, że w mieście jest ponuro? W.A. to miejsce, gdzie trafisz, kiedy już nic ci nie zostało. Gdzie zmarli idą umrzeć.

Przeszył mnie zimny dreszcz. Gdzie zmarli idą umrzeć?

Przez moment wydawało mi się, że słyszę głos, szepczący coś do mnie - miękki, ulotny, ledwie słyszalny. *Uważaj, aniołku.*

A może tylko mi się wydawało? Drgnęłam, bo odzwyczaiłam się już od grzebania w moich myślach.

Bądź bardzo ostrożna.

Larkin chwyciła mnie za rękę i głos rozwiął się jak dym.

- Obiecuj, że ze mną zostaniesz, Brie. Od kiedy tu jesteś, wszystko stało się o niebo lepsze.

- Wstała i rozłożyła ręce, wskazując obłądną panoramę. - Do diabła, co może być lepsze niż to?

Miała rację.

Pomyślałam, o ile szczęśliwsza jestem, od kiedy tu trafiłam. Jak się cieszę, że znalazłam Larkin. I że wreszcie znalazłam nowy dom.

- Nic - odparłam. - Nie ma nic lepszego. - I naprawdę tak myślałam.

Podciągnęła mnie na nogi, aż stanęliśmy obok siebie.

- Ścigamy się na dół. Uśmiechnąłem się.

- Na pewno chcesz rzucać wyzwanie królowej nurków?

- Dziewczyno - odparła zaczepnie. - Pokonam cię z palcem w nosie.

Odliczyliśmy do trzech i rzuciliśmy się ze szczytu budynku, śmiejąc się jak wariatki na wietrze, który wył wokół nas przez całą drogę na dół.

Kilka dni później - chociaż bez wschodów słońca trudno było tak naprawdę liczyć dni - siedziałyśmy w jednym z naszych ulubionych miejsc w dzielnicy Tenderloin: na placu zabaw w parku Sierżanta

Johna Macaulaya, niedaleko zbiegu O'Tarrell i Larkin Street.

- Najpiękniejsza ulica w całym San Francisco, nie sądzisz? - spytała Larkin z drabinek, z których zwisała głową w dół.

Parsknęłam ze swojej huśtawki.

- Samochwała. - Rozbijałam się jeszcze mocniej, wymachując nogami i wychylając się do tyłu spomiędzy żelaznych łańcuchów. Kiedy już poruszałam się odpowiednio szybko, zamknęłam oczy i zaczęłam udawać, że latam w wieczornym powietrzu, chłodnym i pachnącym. Gdzieś w tle słyszałam Sznycla kopiącego w piasku.

Przez parę ostatnich godzin grałyśmy w ulubioną grę Larkin, prawda czy wyzwanie. Na razie kazała mi się sturlać w dół Lombard Street w kubie na śmieci, a ja kazałam jej obudzić z drzemki fokę na nabrzeżu i o mało nie dostała płetwą w twarz. Teraz wróciliśmy do mnie.

Moja kolej.

- Prawda czy wyzwanie? - spytała Larkin. - I lepiej, żebyś wybrała wyzwanie.

Pokręciłam głową.

- Nie ma mowy. Jestem wykończona po tym głupim kubie na śmieci. Więc wybieram... prawdę!

- Serio? - jęknęła. - Boże, ależ jesteś nudna. Uśmiechnęłam się.

- Będzie nudne, jak zadasz nudne pytanie.

Larkin umilkła na chwilę, a ja zaczęłam się zastanawiać, co znowu kombinuje. Miała wyjątkową wyobraźnię. Prawdopodobnie nieźle się wkopałam.

- No więc? - ponagliłam ją. - Dawaj, co tam masz, Ramsey.

Zeskoczyła szybko z drabinek, robiąc po drodze fikołka do tyłu, i podeszła po piasku do huśtawki. Z rozmysłem powoli usiadła na pustym krzeselku obok mnie.

- Gdybyś mogła wrócić do starego życia... - zaczęła w końcu... - na jeden dzień. - Spojrzała mi w oczy. - Zrobiłabyś to?

Hę?

W pierwszej chwili odpowiedź wydawała mi się oczywista. Ale kiedy otworzyłam usta, nie wydobyło się z nich żadne słowo.

Zamiast tego się rozplakałam.

Przyglądała mi się uważnie ze swojej huśtawki, ale nic nie mówiła.

Otarłam nos grzbietem dłoni, zażenowana swoim dziecinnym zachowaniem.

- Pewnie tak. A ty nie? Posłała mi smutny uśmiech.

- Szczerze mówiąc, już to zrobiłam. Poczułam się, jakby poraził mnie słaby prąd.

- Jak to, już to zrobiłaś? - Zerwałam się z huśtawki, nagle dziwnie przestraszona. - O czym ty gadasz?

Patrzyła na mnie, ale milczała. W bladym świetle księżyca widziałam niemal, jak jej oparzenia ozywają.

Wyobrażałam sobie, że wiercą się i wiją, jak małe węże przypalane ogniem.

Cofnęłam się o krok.

Ale to tylko Larkin. Nie boję się Larkin.

- Bo widzisz, Brie. - Jej głos brzmiał spokojnie i luzacko, choć wciąż wbijała wzrok w moje oczy. - Słuchałam twoich opowieści. I jest dla mnie jasne, że nie zakończyłaś swoich spraw. Pytanie brzmi, co by było, gdybym dała ci taką możliwość? Gdybym mogła dać ci jeszcze jeden dzień na pożegnanie... na żywo i naprawdę?

Mój mózg wypełniły pytania. Pokręciłam głową, czując, jak przelatują przeze mnie wszelkie możliwe emocje.

Gniew.

Dezorientacja.

Podniecenie.

Strach.

- Nie rozumiem. - Staralam się zachować spokój. - To nie jest możliwe.

- A jeśli jest?

Twardo patrzyłam jej w oczy.

- Nie jest. Uśmiechnęła się.

- Nigdy nie mów nigdy.

W głowie zabrzmiało mi wspomnienie głosu Patricka. *Nigdy nie mów nigdy, aniołku.*

- Przestań - rzuciłam ostro. - To naprawdę nie jest śmieszne.

- A kto powiedział, że żartuję? - Chwyła mnie za rękę. - Spokojnie. Nie musimy o tym teraz rozmawiać. Może nie jesteś gotowa...

- Jak - przerwałam jej. - Jak to zrobiłaś? Jak wróciłaś?

Puściła mnie, wstała z huśtawki i zrobiła leniwą gwiazdę.

- Rzecz w tym, że pytanie nie brzmi: „jak”. Pytanie brzmi: „ile”.

- Co masz na myśli? Jak to ile?

Larkin otrzepała dłonie i wzruszyła ramionami.

- No wiesz. Ile jesteś skłonna za to zapłacić.

- Zapłacić? Komu zapłacić? - Założyłam ręce. - Co ja mogę mieć takiego, czego chciałby ktoś inny?

Miałam coraz silniejsze wrażenie, że coś tu nie gra. Poważnie nie gra.

- Może naszyjnik? - rzuciła od niechcienia Larkin. - Oddałabyś go? Mogę załatwić, że w zamian za niego przeżyjesz dowolny dzień, jaki zechcesz. Może urodziny Jacka w knajpce U Judy? Albo jakiś zwykły piątkowy wieczór... Posiedzisz z Emmą i Tess, pograsz z Jackiem w czwórki, obejrzysz *Gdzie jest Nemo*... Wybór należy do ciebie.

Zasłoniłam obojczyki dłonią.

Mój naszyjnik? Po co jej mój naszyjnik?

- Na mnie pewnie i tak by lepiej wyglądał - powiedziała, chichocząc. - Złoto to nie twój kolor.

Jej ton zaczynał mnie irytować. Była zbyt słodka i za bardzo się starała; przypominała butterfingera

w waniliowym lukrze. Jeden kęs i czujesz, że kubki smakowe eksplodują ci od słodczy.

- Och. - Oczy Larkin zrobiły się wielkie jak u jakiegoś superszczęśliwego leśnego zwierzątka. Może u zajaczka. Albo jelonka.

Boże drogi, Bambi, pomyślałam, rozpraszając się na chwilę. Jej postać z Disneya to Bambi.

- A może ten szkolny bal? Byłoby niezłe, co? Mogłabyś odrzucić Jacoba już w pierwszej chwili, na parkiecie, i narobić mu wstydu na całą szkołę!

To już było totalne przegięcie. Nie życzyłam sobie, żeby mówiła o najlepszych chwilach mojego życia, jakby były jej własnością - jakby знаła mnie lepiej niż ja sama. Mówiliśmy o moim życiu. Nie jej.

- Już raz wróciłam - warknęłam. Oczy Bambiego zalśniły.

- Nie w taki sposób.

Świat wydał się nagle jakiś chwiejny. Wytracony z równowagi, jakbym zaraz miała wymiotować.

- Dość - powiedziałam. - Już nie chcę w to grać.

- To nie jest gra, Brie. Możemy ubić interes tu i teraz. - Uśmiechnęła się. - To łatwiejsze, niż sobie wyobrażasz. A kiedy już zabawisz się w domu, wrócisz tutaj i będziemy imprezować przez wieczność. Tylko ty i ja. Co o tym myślisz?

Co o tym myślałam? Ledwie widziałam na oczy, a ona mnie pyta o myślenie?

- Cały jeden dzień przeżyty na nowo? - szepnęłam. - Jaki tylko zechcę? - Zaczęłam się trząść, kiedy

zalała mnie fala wspomnień o domu, cudownie nudnych, codziennych wspomnień, które znałam tylko ja. Moje przyjaciółki śpiewające Lady Gagę w drodze do szkoły. Mama smażąca mi urodzinowe naleśniki przy wtórze serenady taty śpiewającego Boba Dylana. Śmiech Jacka, kiedy gonił mnie wśród zraszaczy w wakacje. Elektryzujący żar ust Jacoba na moich.

- Mówisz serio? - szepnęłam. - Naprawdę mogę wrócić? Nie ma żadnych haczyków?

- No cóż... - Larkin zachichotała, wskazując mój naszyjnik. - Jeden mały haczyk. - Zrobiła kolejną gwiazdę. - To całkiem niezły interes, jak się zastanowić.

Uniosłam rękę i lekko dotknęłam wiotkiego, delikatnego łańcuszka na szyi. Sięgnęłam do tyłu i odszukałam drobny, metalowy zatrzask, schowany pod włosami. Ale kiedy spróbowałam go odpiąć, igły żaru zaczęły mnie kłuć w skórę, jakby ktoś strzelał we mnie niewidzialnymi gumkami. Błękitne płomyki zapiekły mnie w kącikach oczu.

Rozbłysło mi w głowie jeszcze jedno wspomnienie.

A kiedy uniosłam wzrok, miasta nie było.

*You Must Be My Lucky Star**

Szkło było przejrzyste i gładkie jak kryształ, i umazało się trochę, kiedy pomalutku, delikatnie przesunęłam po nim palcem.

Kocha. Nie kocha. Kocha. Nie kocha.

- Proszę, nie dotykaj gablotki, moja droga - oznajmiła kobieta za ladą, z włosami związanymi w luźny, niski kucyk. - Przed chwilą ją czyściłam.

Gwałtownie wróciłam do rzeczywistości z mojego zakochanego świata marzeń.

- Oj. Przepraszam.

Usłyszałam tłumiony śmiech po drugiej stronie pomieszczenia. Zaczerwieniłam się i poczłapałam do Emmy i Tess, stojących przy stojaku ze starymi kapeluszami.

- Wielkie dzięki - powiedziałam.

Tess uniosła ogromne okulary przeciwsłoneczne i wsunęła je na nos.

* Ty chyba jesteś moją szczęśliwą gwiazdą.

- I jak?
- Genialne - pochwaliła Emma. - Audrey Hepburn. W pełni popieram ten zakup.
- Jezu, laski, Królicza Nora jest genialna! - Sadie wypadła z przymierzalni w ciemnofioletowej sukience bez ramiączek. - Od dzisiaj przychodzimy tu w każdy weekend. - Zerwała okulary z twarzy Tess i sama je założyła.
- Hej! - zaprotestowała Tess. - Nie ma mowy, Sadie.
- Oooh. - Sadie zrobiła pozę przed najbliższym lustrem. - Ale ja w nich super wyglądam.
- Co?! - wykrzyknęła Tess. - W życiu, wyglądasz jak konik polny. Masz do nich za małą twarz. - Wyciągnęła rękę i niecierpliwie postukała stopą. - Oddawaj.
- Sadie roześmiała się, podając jej okulary.
- Dobra, dobra. Ale tak dla twojej informacji, właśnie wycięłam cię z mojej oscarowej mowy.
- Zaryzykuję. - Tess z powrotem założyła okulary.
- Och, dziewczyny, chodźcie tutaj! - Emma kiwała na nas z niewielkiej niszy w kącie. Trzymała w dłoni małą, wyblakłą kasetkę z hebanową pozytywką w ręcznie malowane stokrotki.
- Jakie śliczne! - Sadie podbiegła do niej.
- Ale zobaczcie, co znalazłam w środku. - Emma uniosła podbródek. Na jej szyi wisiał delikatny srebrny łańcuszek z maleńkim kolibrem.
- Ems, to jest idealne! - Pochyliłam się, żeby lepiej widzieć.
- Prawda? - Wyszczерzyła się radośnie. - I patrzcie, tego jest więcej. - Otworzyła kasetkę; kiedy

zajrzałyśmy do środka, przywitał nas błysk srebrnych i złotych świecidełek. Amulety. Wszystkie błyszcząły. Wszystkie błagały, żeby je przymierzyć.

- Czekaście. Śliczne, co? - spytała Tess. Sięgnęła do pudełeczka i ostrożnie wyjęła maleńką miedzianą syrenkę, która, kiedy połyskiwała w słońcu, miała prawie taki sam kolor jak jej włosy. - Ja to kupuję, na stówę. - Podała mi wisiołek. - Możesz mi zapiąć, proszę? Rozpięłam zatrzask i założyłam jej wisiołek na szyję. Łańcuszek był idealny; nie za długi, nie za krótki.

- Doskonale. - Tess rozpromieniła się, bardziej arielowata niż kiedykolwiek. Sadie odgarnęła z oczu zbłąkany kosmyk włosów.

- Teraz ja. - Przez minutę czy dwie grzebała w amuletach, aż w końcu zrobiła zawiedzioną minę. - Oj, dziewczyny, nic tu dla siebie nie widzę.

- A co powiesz na ten? - Wyciągnęłam złoty łańcuszek ze śliczną, trochę asymetryczną gwiazdką.

- Brie! - Sadie zarzuciła mi ręce na szyję. - Jest doskonały. Strasznie mi się podoba! - Jeszcze krótką chwilę kopała w pudełeczku. - To może ten dla ciebie? - Uniosła wisiołek z kasetki, żebym mogła zobaczyć. Zamigotał do mnie z wnętrza jej dłoni, a kiedy go podniosłam, poczułam się, jakby to on wybrał mnie.
Serce.

Sadie stanęła za moimi plecami i odsunęła mi włosy, żeby zapiąć łańcuszek. Potem objęła mnie i cmoknęła w policzek.

- Śliczne!

- Hej, mam pomysł - wtrąciła Tess. - Nośmy je zawsze. Nośmy je zawsze i zawsze się wspierajmy, choćby nie wiem co.

- Och, no dobra. - Sadie westchnęła teatralnie. -Umieszczę cię z powrotem w mojej oscarowej mowie.

Przez chwilę patrzyłyśmy na siebie, a potem dostałyśmy dzikiego ataku śmiechu.

- Zawsze i na wieki - potwierdziłam.

- Na wieki. - Sadie spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. Jej brązowe oczy błyszczały i widziałam, jak bardzo mnie kocha.

Och, Sadie. Tak strasznie mi ciebie brak.

Nagle poczułam chłodne muśnięcie złota na skórze. W nosie zakręciło mnie słono-kwaśne powietrze zanieczyszczonego miasta, sklep rozplynął mi się przed oczami i znów zobaczyłam park Macaulaya.

Larkin stała przede mną z wyciągniętą ręką.

- Hej! Ziemia do Brie...

Emocje podeszły mi do gardła gdzieś z głębin żołądka.

Nie. Nie dostanie go.

- Czekał. - Siegnęła do tylnej kieszeni dzinsów i wyjęła zardzewiały scyzoryk.

Skąd ona go wzięła? Zrobiła krok w moją stronę.

- Pomogę ci zdjąć.

Szyncel musiał znów odczytać moje myśli, bo zaczął warczeć z drugiego końca placu zabaw, basowo i groźnie.

Uważnie przyglądałam się Larkin.

- Po co ci scyzoryk?

- Nie bój się. Przecież nie zrobię ci krzywdy. Ty dostaniesz to, czego chcesz, ja dostanę to, czego ja chcę. A potem - uśmiechnęła się słodko - będziemy przyjaciółkami na wieki.

Okej, świrusko, chyba traktujesz to trochę zbyt dosłownie.

Poczułam śmiertelne przerażenie.

- Słuchaj - powiedziałam, cofając się. - Chyba nie jestem na to gotowa. - Ale zanim się zorientowałam, co jest grane, poczułam, że nie mam kontroli nad własnymi kończynami.

Uklęknęłam przed nią na piasku jak jakieś jagnię ofiarne.

Co?!

Patrzyłam z przerażeniem, jak otwiera scyzoryk i idzie w moją stronę.

Chwileczkę. Czym my tu właściwie handlujemy?

Byłam tylko zwykłą dziewczyną. Dziewczyną ulepioną z dymu, kurzu i wyblakłych wspomnień. Czego ona mogła ode mnie chcieć?

Zbawienia, usłyszałam w głowie szept Patricka. A przynajmniej tak mi się zdawało.

Twojego wiecznego zbawienia.

- Mojego czego? - Na czoło wystąpił mi zimny pot.

- Przetnę tylko łańcuszek i będziesz w domu. -Larkin przysunęła ostrze do mojej szyi. - To takie łatwe, jak pstryknąć fotkę. Więc uśmiech, proszę.

Poczułam, że moje nieistniejące serce łomocze jak szalone. Usiłowałam zrozumieć, o czym ona mówi. I czy mówi prawdę.

- W domu? Serio? Skinęła głową.

- Jak najbardziej serio.

Drżącymi rękami sięgnęłam do zapięcia, chociaż złote serduszko zaczęło dymić i parzyć moją skórę. Tym razem rozgrzało się bardziej niż kiedykolwiek, paliło jak ogień.

Krzyknęłam z bólu.

Wystraszyłam się, że nie zdążę go zdjąć, zanim wypali mi dziurę w skórze. Ale kiedy spojrzałam w oczy Larkin, zobaczyłam coś, co przeraziło mnie jeszcze bardziej.

Jej oczy były zimne. Puste. Były martwe.

Uciekaj, Brie. Uciekaj w tej chwili.

Nie wiedziałam, czy to prawdziwy głos, czy nie, ale nie zamierzałam ryzykować.

Więc gwizdnęłam na Sznycla. Zerwałam się z ziemi. I uciekłam.

*To Die by Your Side, Is Such a Heavenly Way to Die**

Wylądowaliśmy w ogródku Jacoba i poleciliśmy w krzaki - splątany kłęb dziewczyny i psa.

- Uch - stęknęłam, wypluwając potężną porcję liści i gałązek. - Chyba zwichnęłam sobie tyłek.

Skoro już mowa o tyłkach, tyłek Sznycla znajdował się na mojej twarzy.

- O fuj, Sznycel, złaż ze mnie! - Ze stęknięciem stanął na łapach i otrząsnął się, klekocząc obrożą.

- Robię się na to za stara. - Jęknęłam, podnosząc się z ziemi. Kiedy wstałam, głośno chrupnęło mi w plecach i przysięgłam sobie, że zapiszę się na lekcje śmigania dla przedszkolaków, kiedy tylko znajdę wolną chwilę. Na paluszkach przeszłam przez ogródek pod ścianę salonu Fischerów i zajrzałam przez żaluzje. Kiedy moje oczy przywykły do światła, zrozumiałam, że patrzę na tył głowy pana Fischera - a konkretnie na

* Umrzeć przy twoim boku to niebiańska śmierć.

jego gigantyczną łysinę. Razem z mamą Jacoba oglądał *Idola*.

- Och, jest okropny - skomentowała pani Fischer piskliwy śpiew jakiegoś gościa, który porwał się na *Hooked on a Feeling*.

- I tak lepszy niż ten poprzedni - dodał pan Fischer, przeglądając gazetę. - Dzwoniłaś dziś jeszcze raz do szkoły?

Pani Fischer wyprostowała się na fotelu. Wyglądała na znużoną.

- Dzwoniłam.

- No i?

- Nic nie obiecują. Trener czuje się z tym fatalnie, ale Jacob jest wyłączony na resztę sezonu i właściwie nic nie mogą zrobić. Powiedział, że latem wrócą do sprawy, kiedy będzie już po rehabilitacji. - Umilkła i wypłała długi, niespieszny łyk herbaty. - W tej chwili najlepsze, co może zrobić, to utrzymać średnią ocen i nie zaniedbywać fizjoterapii...

- Mój syn pójdzie do Princeton! - Pan Fischer trzasnął dłonią w stół. Przypomniało mi się, że nigdy go nie lubiłam. Od zawsze był strasznie wybuchowy i o wiele za surowy dla Jacoba i Mai. Istny kapral od musztry: twardy, pedantyczny i trochę staroświecki. Kiedyś przyłapał nas, jak całowaliśmy się na kanapie, i myślałam, że dosłownie wystrzeli przez sufit.

- Ten chłopak pracował za ciężko i zaszedł już za daleko, Mary. Absolutnie nie pozwolę, żeby jedna mała kontuzja stanęła mu na drodze.

- Mów ciszej - odparła jego żona. - Wiesz, jaki jest zdołowany. Wiesz, jaki miał ciężki rok. Najpierw Brie... - Umilkła na chwilę. - A teraz to złamanie. Jeśli będziemy za bardzo naciskać, może całkiem zrezygnować z biegania.

- Po moim trupie. - Pan Fischer rzucił gazetę. - Po prostu musi ciężiej pracować.

Rezygnacja nie wchodzi w grę. - Po tych słowach wypadł z pokoju.

Nagle ogarnęło mnie poczucie winy. Czyżbym wpakowała Jacoba w poważne kłopoty? Chciałam tylko trochę nim wstrząsnąć, a nie rujnować mu życie. Teraz rozumiałam, że źle zrobiłam, mszcząc się na nim. Nie miałam prawa ich szpiegować, kraść telefonu Sadie i podsłuchiwać ich prywatnych rozmów.

Nie miałam prawa nawet ich nienawidzić.

Owszem, miałam swoje powody. Ale pozwoliłam, żeby gniew mnie zaślepił. Sadie była kiedyś dobrą przyjaciółką - moją najlepszą przyjaciółką. A Jacob cudownym chłopakiem. Ale mieliśmy ledwie po szesnaście lat. Niby czego się spodziewałam? Że będę jedyną miłością jego życia? Że któregoś dnia, po ogólniaku, odjedziemy razem w stronę zachodzącego słońca?

Prawda była taka - jak się dobrze zastanowić - że nasz związek nigdy nie był idealny. Nie pasowaliśmy do siebie zbyt dobrze. Jacob był zabawny, uroczy, inteligentny i wrażliwy, bardziej niż jakikolwiek znany mi chłopak. Ale potrafił też być zamknięty w sobie.

Humorzasty. Za surowy dla siebie, kiedy sprawy nie szły po jego myśli. Zdarzało się - choć przyznaję to

z wielką niechęcią - że całowanie się z nim nie podobało mi się tak bardzo, jak bym chciała. To prawda, mieliśmy parę spektakularnych pocałunków, ale były też i takie, kiedy czułam, że czegoś brakuje.

Choć tak naprawdę nigdy nie rozumiałam czego.

Obserwując rozpad małżeństwa swoich rodziców, przemyślałam sobie parę rzeczy. Na przykład to, że może - owszem, istniała taka ewentualność - Jacob nigdy nie był chłopakiem z moich snów.

I może karanie go za to było nie fair.

Jeśli Sadie i Jacob znaleźli to, czego szuka każdy człowiek na ziemi i w niebie, to kimże byłam, żeby stawać im na drodze? Może nie miałam magicznej różdżki, żeby naprawić wszystko, co zepsułam, ale mogłam spróbować. Poza tym, życie jest długie, ale śmierć jeszcze dłuższa. Nie chciałam skończyć jak Pani Krzyżówka, rozwiązująca krzyżówkę za krzyżówką przez najbliższe pięćdziesiąt eonów. Wiedziałam, co muszę zrobić.

Był najwyższy czas pogodzić się z Jacobem Fischerem.

Przeszłam przez ogród, wokół basenu, do wielkiej sekwoi rosnącej po lewej stronie domu. Spróbowałam śmignąć, ale podróż z miasta kompletnie mnie wykończyła i nie miałam dość energii. Jedyne, co mi pozostało, to wdrapać się na drzewo.

Szyncel spojrział na mnie z zaciekawieniem, kiedy złapałam najwyższą gałąź, jakiej mogłam dosięgnąć, i przerzuciłam przez nią nogę.

- Zaraz wracam - szepnęłam. - Zostań tutaj.

Zaskomlał przeciągle. Otworzył pysk, jakby zamierzał się rozkręcić.

- Nie waż się szczekać, Sznyclu Eagan - rozkazałam. - Bo rodzice Jacoba odeślą cię prosto do domu.

Sięgnęłam do następnej gałęzi i podciągnęłam się wyżej. Miałam nadzieję, że włączy mi się tryb Spidermana, ale włączył mi się tylko mój wewnętrzny chihuahua. Nie wiem, dlaczego sądziłam, że śmierć uczyni ze mnie specjalistkę od wspinaczki.

Kurczę, fatalnie mi idzie - burknęłam. Pasek mojej sukienki, potwornie wystrzępionej po tych wszystkich skokach z mostu, kąpielach w zatoce i twardych lądowaniach, natychmiast zahaczył o ostry obłamek gałęzi. Udało mi się uwolnić, ale wtedy zerknęłam na ziemię w dole. Sznycel był mniej więcej wielkości małego palca u mojej stopy.

- Cholera, czym oni je podlewają? - marudziłam. To drzewo jest o wiele wyższe niż kiedyś.

- Ale teraz nie było już odwrotu. Wchodziłam wyżej i wyżej, aż znalazłam się mniej więcej na wysokości drugiego piętra. Oparłam się plecami o pień, żeby złapać oddech i zdmuchnąć włosy z oczu. Potem policzyłam do trzech, wyciągnęłam ręce na boki jak linoskoczek i powoli ruszyłam po gałęzi - krok za krokiem - w stronę oświetlonego okna sypialni, znajdującego się jakieś pięć metrów dalej.

Nie spadnij, nie spadnij, nie spadnij. Kiedy już dotarłam na koniec gałęzi, pozostało mi tylko jedno.

Skoczyć.

Jeszcze raz zaczerpnęłam powietrza i przeskoczyłam półtorametrową lukę, aż z potężnym łup wylądowałam z twarzą wciśniętą w bluszcz.

Szyncel zaczął warczeć gdzieś daleko w dole.

- Nie rób mi tego. Nie zmuszaj mnie, żebym tam zeszła. - Kurczowo zacisnęłam palce na treliazu i wyobraziłam sobie, jak Patrick śmieje się na ten widok i nagradza mnie zwariowanym wykonaniem Miley Cyrus.

Ain't about what's waiting on the other siiiide... it's the climb.

Nagle poczułam ukłucie smutku.

Wiem, że się głupio ubierałam, ale naprawdę zaczynałam za nim tęsknić.

Przebieżłam do okna Jacoba i zajrzałam ostrożnie. Zobaczyłam go, zgarbionego przy biurku, ze spuszczoną głową, z książkami i notatkami porozkładanymi dookoła. Ale kiedy przyjrzałam się uważniej, zauważyłam coś jeszcze.

Jacob płakał.

*Who Will Save Your Soul If You Wont Save Your Own?**

N a szczęście okno Jacoba było uchylone dość szeroko, bym mogła wejść, nie robiąc zamieszania. Muzyka też grała dość głośno - album Trainsów *Save Me, San Francisco* - więc pewnie nie usłyszałyby mnie, nawet gdybym się tłukła.

Rozejrzałam się po pokoju i stwierdziłam, że wygląda w zasadzie tak samo, jak wyglądał zawsze. Plakaty gwiazd bieżni poprzypinane wszędzie na białych ścianach, granatowa wykładzina i narzuta na łóżku, trofea ze zwycięskich biegów, wielka mapa świata z pinezkami powtykanymi we wszystkich miejscach, gdzie chciałby kiedyś biegać. Hawaje. Australia. Wielki Mur Chiński.

Zaczęła się piosenka Trainsów *Half Moon Bay*, przypominając mi wszystkie chwile, kiedy we dwójkę spacerowaliśmy po centrum miasta. Kiedy piliśmy na

* Kto ocali twoją duszę, jeśli sam jej nie ocalisz?

spółkę mleczne koktajle z oreosami, przeglądaliśmy stare płyty w Muzycznej Szopie, pędziliśmy na rowerach po Main Street. Moje spojrzenie padło na dwie kule oparte przy łóżku. Skrzywiłam się na ten widok.

Jazda na rowerze przez jakiś czas nie wchodziła w grę. Zresztą nie miał już nawet roweru. O to też się postarałam.

Patrick miał rację.

Kobiety są walnięte.

Jacob otarł twarz grzbietem dłoni i zakaszłał. Usłyszałam, że jego rodzice na dole znów zaczynają na siebie wrzeszczeć.

Szczęśliwa rodzinka.

- Cześć, Jacob - przywitałam go cicho z drugiego końca pokoju. - Jestem tutaj. - Nie chciałam go wystraszyć, więc trzymałam się z daleka. Ale kiedy piosenka grała dalej, jego ramiona zaczęły drżeć jeszcze mocniej.

Spojrzałam z poczuciem winy na kule, ale nagle usłyszałam, że dzwoni jego komórka. Sięgnął po nią i odchrząknął.

- Hej. Co tam?

Dźwięk jego głosu ciągle na mnie działał, choć moje uczucia do niego zaczęły się zmieniać. - Nic. Nie wiem. - Milczał chwilę, a ja słyszałam urywki słów Sadie.

- Martwiłam się... nie jesteś sobą... musisz im powiedzieć.

- Nic nie muszę - odparł Jacob. - Wyrzuci mnie z domu, nie rozumiesz? Już i tak jest wściekły z powodu

mojego durnego biegania. Nikt nie może się dowiedzieć, Sadie. Nie mogę...

Przerwał mu jej gniewny głos.

- To nie fair. Olać ich. Kogo obchodzi, co myślą ludzie?

- Mnie! - krzyknął Jacob. - Mnie obchodzi, okej? Popatrz, ile bólu już sprawiłem wszystkim dookoła. W ogóle nie powinienem był ci mówić, więc o tym zapomnij. To nie twój problem. Nie rozumiesz tego.

- Jacob... ja...

- Słuchaj, muszę kończyć. - Rozłączył się i rzucił telefon na łóżko.

Nic nie rozumiałam. O jaki problem chodziło? O czym oni rozmawiali? Niemożliwe, żeby ludzie w szkole ciągle dawali mu w kość za to, że chodzi z Sadie. Minał już prawie cały rok szkolny. LPC na pewno znalazło sobie nowy temat plotek. Musiały przecież być jakieś inne skandale niż chłopak, który chodzi z przyjaciółką swojej zmarłej byłej. W życiu zdarzały się gorsze rzeczy. Wystarczy włączyć wiadomości, na litość boską.

Nastawił muzykę na maksa i przeczesał włosy palcami. Przeszłam przez pokój, robiąc, co w mojej mocy, żeby nie rozsiewać żadnej makabrycznej, widmowej aury. Stałam za nim. Skoncentrowałam energię. Powolutku położyłam dłoń na jego ramieniu. Potem drugą.

Jacob. Jestem przy tobie.

Rozkleił się i ukrył twarz w dłoniach. Rozdzierający, rozpaczliwy szloch zaczął się z niego wylewać, zagłuszany tylko smutną muzyką. Jego ból był wszę-

dzie. Czułam jego smak, czułam jego zapach, jego ciężar w przygiętych barkach Jacoba. - Cicho - szepnęłam. - Wszystko będzie dobrze. - Przygłodziłam mu włosy palcami. - Cokolwiek to jest, obiecuję, że będzie dobrze. - Tyle tylko, że nic nie rozumiałam. Przez wszystkie lata naszej znajomości nigdy nie widziałam go tak zrozpaczonego.

Nigdy.

Delikatnie pogłaskałam go po plecach, wyczuwając ciepło jego ciała pod koszulką. W końcu schyliłam się, niemal bojąc się oddychać, i lekko musnęłam wargami jego policzek. Jeden pocałunek, żeby wszystko naprawić. Jeden pocałunek, żeby przeprosić za wszystko, co przeze mnie wycierpiał.

Miałam nadzieję, że go poczuł.

Przepraszam, Jacob.

Ale kiedy odsunęłam usta, świat wyglądał dokładnie tak samo, jak przed chwilą. Jacob ciągle był w proszku. A ja byłam tylko bladym cieniem na ścianie jego pokoju.

Wyprostował się na krześle i otarł twarz rękawem. Sięgnął po notes na spiralcie i wrócił do tego, co wcześniej zaczął pisać. Patrzyłam, jak koniec długopisu porusza się po kartce; nie chciało mi się przekładać na ludzki język tych męskich bazgrołów poplamionych łzami.

Ale kiedy zobaczyłam, że jego palce zaciskają się na długopisie, stwierdziłam, że jednak spojrzę.

Nad czym mógł pracować tak zawzięcie? Nad listem motywacyjnym do collegeu?

Raportem z jakiegoś doświadczenia? Może spóźnił się z pracą semestralną?

Pochyliłam się nad jego ramieniem, żeby lepiej widzieć, i stwierdziłam, że to rzeczywiście list.

Ale kiedy się zorientowałam, jakiego rodzaju list, pokój zawirował wokół mnie.

Me mogę tak dłużej żyć.

Nie mogę się dalej ukrywać i udawać, że jestem kimś innym. Próbowałam się zmienić.

Próbowałam być innym człowiekiem.

Ale jestem, kim jestem. Jestem właśnie taki.

Przerwałam czytanie. Jesteś, kim jesteś? Co to znaczy? Wróciło do mnie wspomnienie naszej ostatniej randki. Czwartego października 2010 roku. Wieczór, kiedy jego słowa sprawiły, że moje serce na zawsze odmówiło posłuszeństwa. Prawda była taka, że wiedziałam, że Jacob zamierza ze mną zerwać. Widziałam strach i smutek w jego oczach, kiedy przyjechał po mnie do domu. Tylko nie chciałam temu stawić czoła.

Nie rób mi tego, błagałam go w duchu, siedząc z nim przy stoliku. Nie rób tego nam.

Proszę cię.

Oczywiście w końcu i tak wypowiedział te słowa. „Nie kocham cię”.

Ale teraz, kiedy stałam w jego pokoju i obserwowałam go, dotarło do mnie, że nie zdążyłam usłyszeć powodów jego decyzji. Od tamtego poranka na plaży zakładałam, że po prostu wybrał Sadie. A jeśli myliłam się od początku? Jeśli to była straszna, koszmarowa pomyłka?

Mój mózg pracował jak szalony. Zdałam sobie sprawę, że tamtego ranka po ognisku widziałam, jak Sadie i Jacob obejmują się - ale nic więcej. Widziałam spojrzenia, szepty, SMS-y, ale nigdy nawet jednego pocałunku. Dotarło do mnie, że na moich oczach oboje szamotali się coraz bardziej rozpaczliwie, zamknięci we dwójkę w swojej tajemnicy i karani za to przez naszych przyjaciół.

I przez cały czas to ja przewodziłam stadu.

Padłam do tyłu na łóżko, kiedy prawda na mnie runęła.

- Ty mnie naprawdę kochałeś - szepnęłam. - Tylko nie tak samo, jak ja ciebie.

Potrzeba było tyle czasu w zaświatach, całego życia, zdawałoby się, żebym nareszcie zrozumiała różnicę. Wszystko pasowało. Wszystko układało się w logiczną całość.

Jacob nie zakochał się w Sadie. On tylko się jej zwierzył.

Wyznał jej swoją największą tajemnicę.

A jedyną zbrodnią Sadie było to, że jej dochowała.

- Proszę, nie rób tego - błagałam go ze łzami płynącymi po twarzy. - Proszę, posłuchaj mnie.

Ale on mnie nie słyszał. Nie mógł mnie słyszeć. Bo był zbyt zajęty kończeniem swojego listu pożegnalnego.

Wolę umrzeć, niż powiedzieć wam, że jestem gejem. Więc ułatwię sprawę nam wszystkim.

*Always Something There to Remind Me**

Z dachu domu Jacoba było daleko do ziemi, ale i tak zeskokczyłam. Ledwie czułam, że smagają mnie liście i że przy lądowaniu skręciłam sobie kostkę.

Sadie. Muszę się dostać do domu Sadie.

Nie mogłam się wystarczająco rozpędzić, żeby śmignąć, więc pokuśtykałam ulicą jak staruszka.

A jeśli się z nią nie skontaktuję? Jeśli ona nie dotrze do niego na czas?

Głowa pulsowała mi boleśnie. Było mi niedobrze. Błyskawica przecięła nocne niebo; zatrzymałam się. Kiedy spojrzałam w górę, byłam pewna, że widzę majaczącą twarz dziewczyny, ukrytą w chmurach, obserwującą mnie.

- Co mam robić? - krzyknęłam. - Muszę go ratować! Proszę, pomóż mi!

Uderzył kolejny piorun i twarz zniknęła.

*Zawsze jest coś, co mi przypomni.

Odwrociłam się na chwilę w stronę domu Jacoba, myśląc o jego łzach. Potem spojrzałam przed siebie, w kierunku dzielnicy Sadie, daleko na drugim końcu miasta. Przynajmniej piętnaście minut drogi, i to samochodem. Przerazenie zaczęło zakradać się do mnie jak nadpływający powoli tuman mgły. A ja utknęłam tutaj.

Miałam przewalone. Nie mogłam iść dalej, ale nie mogłam też wrócić.

- Dlaczego nie możecie być prawdziwe? - błagałam moje bezużyteczne ręce. - Dlaczego nie mogę tego naprawić?

Usłyszałam leciutki szelest liści, z jezdni zaczął wyrastać czarny, wijący się bluszcz. Nagle otoczył mnie głos Larkin. Jej słowa wciskały mi się do gardła, przysysały do mojej piersi jak pasożyt.

„To łatwiejsze niż myślisz”.

Przypomniałam sobie jej propozycję i dotknęłam naszyjnika. Wreszcie zrozumiałam, dlaczego chciała go dostać. Ten wisiołek był wszystkim, co zostało mi z życia na ziemi. Symbolizował ludzi, których kochałam najbardziej, i miłość łącząca mnie z nimi.

Moje zbawienie.

Gardło mi się ścisnęło. Nie byłam pewna, czy dam radę.

- Nie bój się. - Twarz Larkin błysnęła na niebie. A jeśli to jedyna możliwość? - pomyślałam. Jeśli to

moja ostatnia szansa? Może gdybym wróciła na jeden dzień, zdołałabym zapewnić Jacobowi pomoc, której potrzebował. Może zdołałabym posprzątać ten bałagan,

którego narobiłam, i zadbać o to, żeby nikt z ludzi, których kochałam, nie musiał umierać tak bezsensownie jak ja. Może ten jeden dzień pozwoliłby mi pokazać Jacobowi, że nie jest sam. Że jest wart miłości. Sprawić, by wybaczył samemu sobie, że jest inny. Że jest tylko człowiekiem.

I to wszystko kosztowałoby mnie tylko moją nieśmiertelną duszę.

Wzięłam głęboki oddech.

- Od czego są przyjaciele?

Powoli odsunęłam włosy z karku i odpięłam naszyjnik. Uniosłam go przed sobą, patrząc, jak małe, złote serduszko - doskonale niedoskonałe - buja się i obraca na łańcuszku.

Kiedy wreszcie oderwałam od niego wzrok, Larkin stała przede mną.

- Miałam nadzieję, że się opamiętasz. - Miętko dotknęła mojego ramienia. - No dobrze. Ile to jest dla ciebie warte?

Znałam odpowiedź, jeszcze zanim dokończyła pytanie. Targowanie się o przepustkę z nieba mogło wyglądać tak.

A właśnie przepustkę chciałam kupić.

- Wszystko - powiedziałam, podając jej naszyjnik. - Jest warte wszystko.

*Listen to Your Heart, Before You Tell Him Goodbye**

Handel ludzkimi duszami to straszny interes. *Ś.P.* nazywa to ostatecznym świętokradztwem. To najgorsza zbrodnia przeciwko niebu, ziemi i człowieczeństwu, i wszystkiemu, co pośrodku.

Na szczęście dla mnie okazało się, że to także pozaszkolne hobby Larkin.

- Jaki dzień wybrałaś? - spytała. Jej głos brzmiał lekko, od niechcienia, jakbyśmy rozmawiały o jej fryzurze albo ostatej wyprzedaży bikini w J. Crew.

- Nie twoja sprawa - warknęłam. Miałam gdzieś, że jestem niegrzeczna. Nie byłam w nastroju do pogaduszek.

- Jak chcesz. - Była słodsza niż zwykle, ale w sposobie, w jaki podciągnęła mi rękaw, nie było nic przyjaznego. Uklękła koło mnie i wycelowała scyzoryk w moje ramię.

* Posłuchaj swojego serca, zanim powiesz mu żegnaj.

Jess Rothenberg

- Hej! - krzyknęłam. - Co ty wyprawiasz? Już ci dałam naszyjnik. - Próbowałam ją odepchnąć, ale była silniejsza, niż się spodziewałam.

- Wyluzuj, to nie będzie bolało. Uznaj to za inicjację do bardzo odłotowego klubu. - Dumnie wskazała własny tatuaż. - Widzisz? Teraz będziemy miały takie same.

Opadła mi szczeka.

- Mówiłaś, że zrobiłaś go sobie w Cancun.

- Naprawdę? Zdaje się, że moja pamięć nie jest już taka jak kiedyś. - To mówiąc, przystawiła mi scyzoryk do skóry.

Larkin kłamała. Wiedziałam, że będzie bolało jak cholera.

Mimo to robiłam co w mojej mocy, żeby skupić się na pozytywach. Na dobrej stronie naszego interesu: jeszcze jeden dzień w prawdziwym, żywym świecie. Po którym stanę się na zawsze jej własnością.

To się nazywa zdrowy związek.

- Odliczę od dziesięciu do zera, żebyś wiedziała, kiedy zacząć wrzeszczeć - wyjaśniła Larkin.

- Wielkie dzięki.

- Dziesięć - zaczęła. - Dziewięć. Osiem...

To jest tego warte, myślałam. Uratuję komuś życie. Naprawię to, co zepsułam. Jeszcze jeden dzień, specjalnie dla mnie, na wieki wieków amen.

Za to mogłam być wdzięczna przez całą wieczność.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam błysk ostrza w świetle księżyca.

- Pięć... Cztery...

Zacisnęłam powieki i przygotowałam się na ból. Ale zanim poczułam czubek ostrza zagłębiający się w skórze, coś innego błysnęło mi w głowie.

Czy raczej ktoś.

Pomyślałam o jego lotniczej kurtce i niedorzecznie marnych żartach. Przypomniałam sobie, jaka byłam na niego wściekła, że zepchnął mnie z mostu Golden Gate, i jak doprowadzał mnie do szału, przezywając mnie Cheeto. Przypomniałam sobie, że nigdy nie musiałam prosić, żeby dolał mi sprite'a, i jak zaniósł mnie z powrotem do Kawałka, kiedy nie byłam w stanie iść sama. Przypomniałam sobie ton jego głosu, kiedy nazywał mnie aniołkiem, i jak - ilekroć oplatałam go ramionami, siedząc za nim na motorze - czułam się jak w domu.

- Jeden - szepnęła Larkin. Patrick, przepraszam.

Nagle coś wpadło na mnie z prędkością stu kilometrów na godzinę, uderzając mnie w bok i przewracając na ulicę jak kręgiel. Wylądowałam twarzą w rowie, z trudem chwytając powietrze, od stóp do głów pokryta błotem, trawą i zielskiem. Udało mi się obrócić na plecy i kilka sekund później poczułam, że Sznycel jak wariat liże mnie po twarzy, usiłując mnie oczyścić.

- Uch, wali ci z pyska. - Odepchnęłam go i podciągnęłam rękaw, żeby przyjrzeć się ramieniu. Nóż Larkin ledwie zadrasnął mi skórę.

Nagły łoskot odwrócił moją uwagę; zerwałam się i pobiegłam w stronę dźwięku. Jakieś dziesięć metrów ode mnie Patrick i Larkin stali naprzeciw siebie, twarzą w twarz. On trzymał w dłoni jej scyzoryk. Wycelowany w jej gardło.

- Twoje usługi nie są już potrzebne - powiedział. - Odejdź.

- Dokonała wyboru - odparła Larkin. - Ubiłyśmy interes. Więc wracaj do swojej głupiej, małej pizzerii i zostaw nas w spokoju.

Wyglądało na to, że Larkin słuchała uważnie, kiedy opowiadałam jej o Patricku. Chyba że poznała go po kurtce.

Zbliżył się do niej o krok; obie widziałyśmy, że nie żartuje.

Proszę, nie, błagałam go w duchu. Muszę to zrobić. Dla Jacoba. Muszę wrócić dla Jacoba.

- Widzisz? Ona tego chce - stwierdziła Larkin. - Powinieneś jej pozwolić. A poza tym to, że ty sobie nie poradziłeś, nie znaczy jeszcze, że z nią będzie tak samo.

Spojrzałam na Patricka.

- O czym ona mówi?

- Hm, mamy tajemnice, co? - rzuciła Larkin. - To niezbyt grzeczne z twojej strony. Może pochwal się całej klasie?

- Odczep się - wypalił Patrick. - Brie nie jest twoją własnością. Ma lepsze rzeczy do roboty niż nadawanie znaczenia twojemu żaloszemu półzyciu.

Oparzenia Larkin jakby ożyły nagle w blasku księżyca.

- Lepsze rzeczy, czyli ciebie? - Założyła ręce na piersi. - Słuchaj, Bon Jovi, wystarczająco dużo o tobie słyszałam. Wiem o twoim tandetnym motorze i o tym, że jesteś w niej zabujany, czego ona absolutnie nie odwzajemnia. Więc wyświadczyć sobie przysługę i znajdź sobie kogoś innego, do kogo będziesz się ślinił, okej? Bo z tego - wskazującymi palcami narysowała w powietrzu serce - nie będzie nic.

O kurczę. Auć!

Patrick spojrział mi w oczy.

Tandetny motor? To było wredne, Serniczku. Naprawdę wredne.

Nigdy tak nie powiedziałam. Przysięgam.

Otrząsnął się po tej obeldze i zwrócił z powrotem do Larkin.

- Słuchaj, Lara, Lalka, czy jak ci tam. Nie pozwolę ci tego zrobić. Proste.

- To się już stało - odparła Larkin, spoglądając na mnie. - Brie, powiedz mu.

- Zabawne - odparł. - Bo coś mi się zdaje, że się mylisz. - Patrick pogrzebał w kieszeni i wyjął mój naszyjnik.

- Hej, to moje! - Podbiegłam i wyrwałam mu wisiołek z ręki.

- Masz rację. - W głosie Patricka zabrzmiało znużenie. - To twoje. Nie dawaj jej tego, Brie.

Nic nie jest warte tego, co chcesz jej sprzedać. Nic.

- Nie wtrącaj się - błagałam go. - Proszę. Znow wycelował scyzoryk w szyję Larkin.

- Wyzywasz mnie?

Strzeliła oczami w moją stronę, szukając pomocy, ale naprawdę nie wiedziałam, po czyjej jestem stronie.

- Dobra - ustąpiła Larkin, wyczuwając moją niepewność. Patrzyła ze złością na Patricka. - Ale uwierz mi, bo wiem, co mówię. Nie ma nic gorszego we wszechświecie, niż pragnąć kogoś, kto cię nie chce. Przykro mi to mówić, chłopcze z pizzerii, ale twoja dziewczyna o tobie zapomniała. - Roześmiała się gorzko. - Więc tak czy inaczej przegrywasz.

Twoja dziewczyna? Zapomniała o tobie?

- O czym ty mówisz? - spytałam kompletnie ogłuszona. - Czy ktoś mógłby, z łaski swojej, mówić po angielsku?

- Co widać na załączonym obrazku. - Larkin uśmiechnęła się drwiąco do Patricka. - Chyba naprawdę jesteś tak głupi, na jakiego wyglądasz.

- Przestań! - rzuciłam. - Nie mów tak do niego.

Chwyła mnie za ramiona i przyciągnęła tak blisko, że przez moment czułam żar ognia, który oszpecił jej śliczną twarz.

- W głowie się nie mieści, że stajesz po jego stronie, Brie. Nie wierzę, że go bronisz.

Przecież mnie znasz prawie całe życie. Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

- Larkin...

- Jesteś taka sama jak wszyscy.

- Nie. Wiesz, że to nieprawda. Posłuchaj...

- Nie, to ty posłuchaj. Nie masz bladego pojęcia o bólu i samotności. Ale to się zmieni. Przekonasz się, jakie to uczucie, kiedy wszyscy we wszechświecie o tobie zapomnieli, jakbyś w ogóle nigdy nie istniała. Przekonasz się, jak to jest nie mieć nikogo. - Zaczęła się cofać.

Nie, nie, nie, nie.

Nie mogłam jej pozwolić odejść. Potrzebowałam jej; musiała mi pomóc wrócić do domu. Inaczej kto wie, co Jacob sobie zrobi. I ile jeszcze osób będzie miało zrujnowane życie.

- Trzymaj. - Wyciągnęłam naszyjnik w jej stronę, totalnie zdesperowana. - Proszę cię, weź go. Zrobię, co zechcesz.

Patrzyła na wisiorek długą chwilę, po czym otarła samotną, zbłąkaną łzę.

- Zapomnij. Jesteście siebie warci. I zniknęła, tak po prostu.

Nie!

Ruszyłam biegiem i kurczowo zacisnęłam dłonie w powietrzu, próbując złapać jej znikającą sylwetkę. Ale po kilku sekundach nie zostało z niej nic prócz dymu.

Jakby w ogóle nigdy nie istniała.

Osunęłam się na kolana. Spóźniłam się. Straciłam jedyną szansę, żeby go uratować.

Uratować siebie.

- To się nie dzieje naprawdę - szepnęłam. Usłyszałam, jak scyzoryk Larkin pada z klekotem

na chodnik.

- Aniołku - powiedział Patrick miękko, kładąc dłoń na moim ramieniu. - Przykro mi. Nagle każdy centymetr mojego ciała stanął w płomieniach. Każda cząstka i pamięć atomowa skóry, krwi, łez i kości wrzała, przepalała się przez sukienkę. Czułam się, jakbym lada moment miała eksplodować, zmienić się w popiół i nicość. I w głębi duszy może nawet chciałam. Wtedy przynajmniej nie musiałabym już niczego czuć. Boże, miałam serdecznie dość czucia. Serdecznie dość bólu. Po prostu nie mogłam w to uwierzyć. Nie mogłam pojąć, że Patrick zrujnował moją jedyną szansę na naprawienie moich błędów. Zniweczył wszystko. Więcej niż wszystko. Przepraszam, Jacob. Tak strasznie mi przykro. Odepchnęłam rękę Patricka i wstałam.

- O co ci chodzi? To nie twój problem, co robię. Nie twoja sprawa, jak zamierzam spędzić wieczność. Mogę z nią zrobić, co mi się podoba!

Senne ćmienie w piersi zmieniło się w ścianę palącego bólu, który ledwie mogłam znieść. Ścisnął, wyduszał mi powietrze z płuc, aż poczułam się jak przekłuty balon z helem. Jeszcze chwila i nic nie będzie mnie trzymać w pionie.

- Nie mogłem ci na to pozwolić. - Patrick spuścił głowę. - Nie masz najbledszego pojęcia, w co się pakujesz. Teraz tego nie rozumiesz, ale przysięgam ci, żałowałabyś. - Jego głos był cichy. Zrozpaczony, pełen poczucia winy i przytłaczającego smutku.

Ale ja miałam to gdzieś.

I dobrze. Niech się czuje fatalnie. Niech się czuje winny! Byłam tak potwornie wściekła, że ledwie mogłam na niego patrzeć.

Może da się spróbować jeszcze raz. Może nie jest za późno. Może gdybym spróbowała ją przeprosić...

- Nie! - Patrick chwycił mnie nagle i mocno potrząsnął. - Naprawdę tego chcesz? Oddać jedyną szansę na spokój, jaka ci została? Być więźniem tej wariatki po wieki wieków? Prosić, błagać o śmierć? Bo ta namiastka życia będzie nie do zniesienia. - Oczy mu płonęły. - Wybacz mi, aniołku. Wybacz mi, ale nie będę stał z boku i patrzył, jak decydujesz się spędzić wieczność w piekle.

Szamotałam się i w końcu udało mi się wyrwać.

- To nie patrz. I nie stój.

- Proszę cię, spróbuj. - Położył dłoń na moim policzku. - Proszę, spróbuj sobie przypomnieć. Nie rozumiesz, co dla ciebie poświęciłem? Nie rozumiesz, jak długo czekałem? Nie czujesz tego? - Ostatni raz wbił spojrzenie w moje oczy, a ja poczułam w gardle smak płonącej benzyny. Poczułam żar ognia i dymu, palący oczy od tyłu, jakbym płonęła żywcem od wewnątrz.

- Nie dotykaj mnie! - krzyknęłam. - Nigdy nie prosiłam cię o pomoc! Dlaczego nie możesz po prostu trzymać się z daleka od mojego życia czy życia po życiu, czy cokolwiek to jest! - Wyrwałam mu się z rąk. -Dlaczego nie możesz zostawić mnie w spokoju?

- Brie, nie rób...

- Czego mam nie robić? - wrzasnęłam mu prosto w twarz. - Co ty z tego masz, Patrick?
Czego tak naprawdę ode mnie chcesz?

Nie potrafił odpowiedzieć.

Pokręciłam głową i odwróciłam się, żeby odejść.

- Nieważne.

- Nie. - Znów chwycił mnie za rękę. - Ja... znaczy, my...

- Nie ma żadnego my - przerwałam mu. - Jesteś ty i jestem ja. Nic więcej. I nigdy nie będzie nic więcej.

- Ale, aniołku. Nie rozumiesz...

- Nie mogę uwierzyć, że zachowałeś się tak egoistycznie. Larkin miała rację. W głowie się nie mieści, że zrujnowałeś moją jedyną szansę na naprawienie wszystkiego z powodu jakiegoś głupiego, żalostnego zauroczenia bez szans!

Miał taką minę, jakbym grzmotnęła go pięścią w żołądek.

- Jak? - szepnął. - Jak to możliwe, że wszystko zapomniałaś?

- Nie ja jedna o czymś zapomniałam - odparłam. - Spójrz na siebie! Jesteś tu tak długo, że nie pamiętasz już, jak to jest troszczyć się o kogoś. Zapomniałeś, jak to jest, kiedy się komuś obieca, że zawsze będzie się przy nim, niezależnie od wszystkiego.

Głos mi zadrżał, ale mówiłam dalej.

- Marnujesz tyle czasu na głupie żarty i myślenie o sobie, że kompletnie zapomniałeś, że w miłości chodzi o wszystkich innych, a nie o ciebie. Miłość znaczy kochać

kogoś bardziej niż siebie samego. - Otarłam łzę gniewu. -Chociaż nie spodziewam się, że mógłbyś to zrozumieć.

Nie odpowiedział od razu. Ale czułam, jakie wrażenie wywarły moje słowa. Z jego oczu zniknął żar.

- Przepraszam - powiedział w końcu. - Chciałem dla ciebie jak najlepiej. Chciałem cię tylko chronić.

- Nie potrzebuję nikogo do ochrony - wypaliłam. - A już na pewno nie ciebie.

Ledwie te słowa wyszły z moich ust, serdecznie pożałowałam, że nie mogę ich wszystkich cofnąć. Nie mogłam uwierzyć, że mogłam go tak zranić. Problem w tym, że czasem słowa są jak strzały. Kiedy je wystrzelisz, nie ma już odwrotu.

Byłam zszokowana własnym okrucieństwem. Ale to, co powiedział Patrick, zszokowało mnie bardziej.

- Nie wiesz, że cię kocham? Nie widzisz tego, że zawsze cię...

- No cóż, ja nie kocham ciebie. Słyszysz? - Spojrzałam w oczy i wstrzeliłam ostatnią strzałę, jaka mi została. - Nawet gdybyś był ostatnim chłopakiem w całym wszechświecie, i tak bym cię nie wybrała. Nie zorientował się, że to było kłamstwo. Poznałam to po jego minie. - *Dulce helium inexpertis.*

- Naprawdę nie jestem w nastroju na...

- Wojna jest słodka dla tych, którzy nigdy nie wojowali - powiedział. - Chociaż nie spodziewam się, że mogłabyś to zrozumieć.

Po tym nie zostało już nic do dodania.

Wsadził ręce do kieszeni.

- Dzięki za szczerość. Przeszanę ci zawracać głowę. I marnować twój czas.

Upuściłam na ziemię wisiołek, który wciąż świecił słabym blaskiem, i patrzyłam, jak zarys barków Patricka rozmywa się w świetle księżyca. Brązowa skóra jego kurtki zaczęła wyglądać na bardzo starą; była popękana i wytarta, jakby z minionego wieku.

Bo przecież była, zdałam sobie sprawę.

Drobne promienie światła przenikały jego ciało, kiedy blaknął na moich oczach, niemal jak wywołujące się zdjęcie z polarioda, tylko na odwrót. Najpierw jego czarne glany zrobiły się zielone, żółte, białe. Potem dżinsy. Potem ręce, barki i oczy - te słodkie, wyraziste oczy - aż nie zostało z niego prawie nic.

Wszystko wrzeszczało we mnie, że powinnam przeprosić, błagać go, żeby został, ale pozostałam niewzruszona.

W końcu spojrział na mnie i uśmiechnął się smutno. Widziałam, że jego usta poruszają się lekko, ale nie słyszałam go. To nie miało znaczenia. I tak wiedziałam, co mówi.

Żegnaj.

Przygryzłam wargę i odwróciłam wzrok. Zacisnęłam powieki, żałując przez moment, że w ogóle go poznałam. Że w ogóle odezwał się do mnie w Kawałku. Że zepchnął mnie z mostu, nauczył śmigać, że woził mnie po całym wybrzeżu na motorze. Ale teraz było już za późno na głupie „co by było, gdyby”.

Co się stało, to się nie odstanie.

I nagle pstryk, znów zostałam sama.

Ale w głębi duszy wiedziałam, że teraz nie będzie tak jak przedtem. Tym razem cisza przytłaczała mnie -dusiła - i czułam, że zapadam się w głuchą pustkę miejsca, o którym wcześniej tylko śniłam. Miejsca tak ciemnego i cichego jak dno oceanu.

Larkin miała rację.

Nie mogłam pomóc Jacobowi. Nie umiałam pomóc nawet sobie. Byłam bezużyteczną, pozbawioną miłości zjawą, która tylko zajmowała przestrzeń. Po tym wszystkim byłam w stanie zrobić już tylko jedno. Dowlec się na werandę mojego rodzinnego domu, oprzeć głowę o barierkę i czekać, aż wzejdzie słońce.

- Co teraz? - szepnęłam. - Co teraz będzie?

To głupie pytanie, bo przecież znałam odpowiedź.

Nic. Teraz nie będzie niczego.

Opuściłam głowę. Chwyciłam ze strachem drżący wdech. I poczułam, jak moje serce - nie, wspomnienie serca - na nowo rozdziera się na kawałki.

CZESC 5

SMUTEK

Since U Been Gone

Prześladował mnie zapach gnijących kwiatów. Prześladował mnie obraz czarnych limuzyn, odgłos ich opon mielących żwir. Szuranie łopat, plusk deszczu padającego na nagrobki i szczęk zimnej, twardej bramy cmentarza, zatraskującej mnie w środku na zawsze.

Nie mogłam jeść. Nie mogłam spać. Mój dawny koszmar wrócił, zaatakował jak wściekły - czasem śnił mi się nawet trzy, cztery razy w ciągu jednej nocy. Zaczynał się, kiedy tylko zapadałam w drzemkę, rykiem silnika. Potem wiatr we włosach, nawet pod kaskiem, kiedy pędziłam autostradą. Ciepło słońca na policzkach. Poczucie, że wszystko jest możliwe. Ale w tym miejscu zawsze kończył się sen, a zaczynał koszmar. Kiedy już czułam się jak najszcześniejsza dziewczyna na świecie, ogarniał mnie niepokój. Zauważałam nowy zapach w powietrzu. Benzyny i rozpalonego metalu. Czułam, że kierowca traci kontrolę

** Od kiedy cię nie ma.*

nad motocyklem. I nagle wiedziałam już, jak się to wszystko skończy.
Moimi wrzaskami i wspomnieniem czyichś rąk puszczających mnie.
Potem - Buum! - oczy mi się otwierały i budziłam się, spocona i spanikowana, skulona w swoim boksie w Kawałku.

Poprawka. W naszym boksie.

Brak mi ciebie. Tak strasznie żałuję.

Każda noc była taka sama jak poprzednia. Leżałam z zamkniętymi oczami, potem czekałam, aż koszmar połknie mnie i wypluje z powrotem. Zanurzenie, wynurzenie, powtórka. Nie mogłam zrobić nic, tylko czuć wciąż ten sam dręczący ból w piersi i zastanawiać się, kiedy się skończy. Choć zaczynała do mnie docierać prawda o wieczności.

Ona nie kończy się nigdy.

A ja nigdy nie czułam się bardziej samotna. W pizzerii nie było nikogo, z kim miałabym ochotę rozmawiać. Patrick zniknął, pewnie wyniósł się tak daleko ode mnie, jak tylko się dało. Nie miałam nawet Sznycla.

Bo zobaczyłam żarówiaste ulotki porozwieszane po całej dzielnicy. Były naklejone na każdym słupie, znaku stopu, na każdej skrzynce pocztowej w promieniu dziesięciu kilometrów od domu; nie sposób było je przegapić.

ZAGINAŁ: NAJCUDOWNIEJSZY PIES NA ŚWIECIE.

REAGUJE NA IMIĘ: SZNYCEL, SZNYC, KOTLET, SZNYCLATOR.

PROSZĘ, PROSZĘ, PROSZĘ ZWRÓCIĆ GO DOKTOROWI DANIELOWI
EAGANOWI, MAGELLAN AVENUE 11.

Ostatecznie postanowiłam zrobić, co należy. Wiedziałam, że miejsce Sznycla nie jest już przy mnie. Prawda była taka, że zawsze był psem taty. To on wybrał go jako szczeniaka. To jego Sznycel uwielbiał najbardziej. Sznycel i tato byli jak dwa w jednym.

Nierozdzielny dwupak.

I choć przyznawałam to z wielką niechęcią, nie był mój. Nie miałam prawa go zatrzymać. Więc zabrałam go na ostatni, pożegnalny spacer po plaży, a potem odprowadziłam na naszą werandę, choć łzy płynęły mi po twarzy.

- Musisz wracać do domu, piesku.

Przewrócił się na plecy, burcząc zabawnie. Wieczny żartowniś. Zawsze próbował poprawić wszystkim humor.

- Nie, Kotlet. - Pokręciłam głową. - To nie jest zabawa. Tato cię szuka. Strasznie za tobą tęskni. - Objęłam go, a potem chwyciłam jego pysk w dłonie, żeby go wycalować.

Popatrzył na mnie wielkimi brązowymi oczami i odwdzieczył się liźnięciem w nos. - Bądź grzeczny, okej? Nie sraj na cudze trawniki. - Nagle coś mi przyszło do głowy; zerknęłam ukradkiem na dom Brennerów. - No dobra. Niniejszym daję ci pozwolenie, żebyś srał na tamten trawnik. Ale żaden inny. Okej?

Nie, mówiły jego oczy. Nie odchodź. Pobawmy się.

Ale nagle rozszczękał się na całego, ujadał i wył jak wariat. Dorosły basset szczeka tak głośno, że słyszą go wszyscy w promieniu trzech kilometrów.

Idealnie wybrał moment.

Wiedziałam, że tato jest w domu. Czuję to.

- O właśnie. - Zmusiłam się do uśmiechu. - Kocham cię, wścachu. - Skoncentrowałam się najmocniej jak umiałam, stanęłam na wycieraczkę i zadzwoniłam do drzwi. Przyszła pora stawić temu czoło. Przyszła pora spojrzeć mu w oczy.

Ale kiedy po chwili drzwi się otworzyły, to nie był tato. To była ona. Najgorsza kobieta na całej planecie.

- Wpuściłeś ją do domu? - rzuciłam z obrzydzeniem. - Wpuściłeś ją do naszego domu?

- Och, gdzie ty się podziewałeś, głuptasie? - rozpromieniła się Sarah Brenner. - Chodź tutaj!

Poczułam, że moja krew zmienia się we wściekły wrzątek, kiedy zobaczyłam, jak obejmuje szyję Sznyca swoimi wypielegnowanymi rękami. Wyobraziłam sobie, jak odpycham ją od niego i przytrząskuję te jej głupie, czerwone pazury w drzwiach, raz za razem, aż wreszcie zrozumie, jakie to uczucie, patrzeć, jak ktoś rozwała ci rodzinę.

Podrapała Sznyca za uchem.

- To nawet nie jest jego ulubione ucho - warknęłam. - Uzurpatorka.

- Danny? - zawołała do wnętrza domu. - Wrócił! Pies wrócił!

Przez sekundę zastanawiałam się, czy nie wyrwać go z jej łap i nie śmignąć z nim z powrotem do Kawałka. Może popełniłam wielki błąd. Może Sznycel jednak powinien był zostać ze mną. Ale kiedy usłyszałam, że tato schodzi po schodach, i zobaczyłam, jak Sznycel zaczyna machać ogonem, znałam już odpowiedź.

Chociaż wcale mi się nie podobała.

Więc odwróciłam się, nie mówiąc nic więcej, i rzuciłam się pędem przez ogródek, aż nabrałam wystarczającej prędkości, żeby moje stopy oderwały się od ziemi. I kiedy śmigałam do swojego kawałka nieba -z twarzą mokrą od łez - podjęłam decyzję, że już nigdy nie obejrzę się za siebie. Miałam dość tego miotania się w tę i z powrotem. Przyszła pora, żeby sięść na tyłku i pogodzić się z długim, powolnym dogorywaniem. Patrzenie, jak świat toczy się naprzód beze mnie było zbyt bolesne. Nic nie mogłam zrobić. Nic nie mogłam powiedzieć.

Na ziemi nie zostało mi już nic, koniec, kropka.

W Kawałku miałam przynajmniej święty spokój. Mogłam siedzieć sama całe noce i całe dni i nikt nie miał do mnie pretensji. Chodziłam na długie spacery donikąd. Oglądałam w kółko te same smutne filmy, aż poznałam na pamięć wszystkie łzawe kwestie. Czasami, kiedy zapach pizzy wyjątkowo mnie drażnił, wychodziłam na dwór i sadowiłam się na skraju klifu, po drugiej stronie szosy. Gapiłam się w morze i myślałam o Jacobie.

Zastanawiałam się, czy wykonał swój plan.

Nie spotkałam go nigdzie w moim kawałku nieba, co chyba było dobrym znakiem. Choć pewnie mógł wylądować całkiem gdzie indziej.

W jakimś gorszym miejscu. Na przykład u Larkin.

Staralam się o tym nie myśleć.

Zamykałam oczy i dawałam nura do oceanu, pozwalając sobie opaść głęboko, aż na piaszczyste dno. Tu, w głębinach, było cicho. Cicho i baaardzo spokojnie.

Poza tym pod wodą nikt nie widział, że płaczę.

Nie wiem, jak długo pozostawałam na dnie. To mogły być dni. Mogły być tygodnie. Nie robiło to żadnej różnicy. Spędzałam czas na liczeniu rozgwiazd, na graniu w raz dwa trzy, baba-jaga patrzy z krabami pustelnikami, na pleceni bransoletek z wodorostów i ogólnie na udawaniu, że jestem Małą Syrenką. Chociaż moje piersi nie były dość duże, by utrzymać biustonosz z muszli (powód nr 3714, dlaczego bez sensu jest umierać przed szesnastką).

Czasami wydawało mi się, że niemal widzę twarz Patricka unoszącą się w cieniu jak meduza; wyobrażałam sobie, jak wyciąga do mnie ręce i unosi mnie z powrotem na powierzchnię. Wyobrażałam sobie, jak inaczej mogłoby wyglądać moje życie, gdybyśmy kiedyś dawno spotkali się na ziemi. Gdybyśmy byli w tym samym wieku w tej samej dekadzie. Gdyby to on pocałował mnie tamtego wieczoru na parkiecie zalanym wirującymi odblaskami dyskotekowej kuli.

W końcu orientowałam się, że to coś unoszącego się w ciemnościach to naprawdę meduza, więc zwi-

jałam się stamtąd i płynęłam na brzeg. Wracałam do mojego zwykłego uzalania się nad sobą. Okazuje się, że przygnębienie to cholernie uzależniający narkotyk.

Parę razy poszłam nawet do San Francisco w nadziei, że może zobaczę gdzieś Larkin.

Odwiedzałam wszystkie nasze ulubione miejsca - plac zabaw, przystań, nawet szczyt piramidy - ale nigdy jej nie znalazłam. Zupełnie jakby ten czas spędzony z nią tylko mi się przyśnił. Jakbym była jedyną duszą w całym tym przeklętym mieście.

I kto wie. Może byłam. Może wieczna samotność to moja kara za głupotę - za to, że w ogóle kiedyś wierzyłam w miłość.

Ale to nie miało znaczenia. Miałam to w nosie.

Bo wiecie co?

Teraz już nie wierzyłam.

*Hit Me With Your Best Shot**

Wędrowałam przez brazylijską dżunglę. W potwornym, wilgotnym, ogłupiającym upale i chmurach brzęczących komarów. Wśród leniwych węży i żuków wielkości mojej głowy, i tygrysów śpiących pod drzewami. Dziab.

Zaraz, w Brazylii nie ma tygrysów. Wstecz. Szłam przez indyjską dżunglę. W potwornym, wilgotnym, parzącym... Dziab.

Pacnęłam ręką powietrze. Coś próbowało mnie dopaść. Pająk? Małpa? Małpopająk? Boa dusiciel, który zaraz zmiażdży mi twarz? Pognałam przez krzaki i ukryłam się w cieniu gigantycznego drzewa. Rozejrzałam się. Żadnych pazurów. Żadnych zębów. Żadnych kłów i pajęczych nóg. Teren czysty. Udało mi się zwiać. Uff.

* Dawaj, co masz najlepszego.

Dziab. Dziab. Albo nie.

- Przestań - wymamrotałam. - Jestem zajęta.

- Hm, nie wyglądasz na zajęta.

- Ale jestem.

- Niby czym?

Usiadłam i znalazłam się twarzą w twarz z Bransoletką.

- Próbuję medytować, okej?

- A. - Cofnęła się o krok. - Sorry. - Odgarnęła jasny lok za ucho, jak zawsze dzwoniąc bransoletkami na nadgarstku.

Założyłam ręce na piersi. Ta dziewczyna nigdy się do mnie nie odzywała. Niby czego się spodziewała? Że natychmiast zostaniemy najlepszymi kumpelami?

- Przepraszam - powiedziałam, nawet nie starając się ukryć irytacji. - Ale po co mnie szturchałaś?

Dzyń-dzyń.

- Bo chciałam spytać, czy dasz mi autograf. -Dzyń. - Nie chciałam ci przeszkadzać w żadnym zen.

- Autograf? - Zmarszczyłam nos. - Dlaczego chcesz mój autograf?

- No ba! - Roześmiała się. - Bo jesteś sławna! - Wskazała telewizor, pod którym zebrało się kilku stałych rezydentów Kawałka. - Sama popatrz. Jesteś w wiadomościach!

Co ona paliła? Jakaś superdenerwującą bransoletkową trawkę. Wstałam i powoli poczłapałam do telewizora, bo uznałam, że to jedyne logistyczne posunięcie,

jakie zmusi ją, żeby się przymknęła. Ale kiedy wreszcie przyjrzałam się uważniej facetowi, z którym robili wywiad, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Ten człowiek w telewizji to mój tato.

- Zrób głośniejsze - rzuciłam do Rozgrywającego. - Proszę.

- Każdy zna to uczucie; każdy z nas w takiej czy innej chwili swojego życia mówił, że pęka mu serce. Ale prawie nikt nie wie, że pęknięte serce może być przyczyną śmierci. Jesteśmy tu dzisiaj z doktorem Danielem Eaganem, znanym kardiologiem z Akademii Medycznej San Francisco. Przez ostatni rok badał on zespół pękniętego serca, chorobę, która niemal pod każdym względem przypomina zwykły zawał i może dlatego najczęściej zostaje źle zdiagnozowana.

Tato siedział w milczeniu, z rękami złożonymi na kolanach. Wyglądał, jakby nie golił się i nie uśmiechał od tygodni.

- Panie doktorze - zwróciła się do niego błękit-nooka reporterka. - Jak często powstaje zespół pękniętego serca?

- Niezbyt często - odparł. - Ocenia się, że zaledwie jeden czy dwa procent osób, które sądzą, że miały zawał, tak naprawdę doświadczyły ZPS. Jest rzeczywiście rzadki i zwykle dotyka kobiet w średnim wieku. Nie zawsze jest śmiertelny, ale może taki być. - Spojrzał prosto w kamerę, a ja poczułam kluchę w gardle.

Głos spoza kadru mówił dalej.

- Doktor Eagan zetknął się z ZPS w osobistych okolicznościach. Zeszłej jesieni jego nastoletnia córka, Aubrie, padła ofiarą tej choroby. To pierwszy udokumentowany przypadek śmierci w wyniku pęknięcia serca.

Dostałam gęsiej skórki, kiedy na ekranie pojawiła się moja twarz. Najpierw zdjęcie z rocznika drugiej klasy. Potem ja z dziewczynami. I wreszcie ja z tatą, oboje roześmiani jak wariaci.

Ścisnęło mi się gardło. Klucha urosła. Ale nie miałam zamiaru płakać.

- W piątek oddano do użytku nowy oddział Akademii Medycznej San Francisco, dedykowany pamięci Aubrie: Dziecięce Centrum Kardiologiczne, którego dyrektorem został mianowany doktor Eagan.

- Widzisz? - Bransoletka walnęła mnie w ramię. - A nie mówiłam?

Na ekranie znów pojawił się tato.

- Z początku - powiedziała reporterka - nikt panu nie wierzył.

Tato skinął głową.

- Środowisko medyczne uważało, że śmierć Brie musiała mieć związek z jej wcześniejszą chorobą serca. Ale dowody temu przeczyły. Jej schorzenie było niegroźne. Byłem pewien, że nie może odpowiadać za tak poważne uszkodzenie, jakiemu uległo jej serce.

- Co było pańskim celem? - wypytywała łagodnie reporterka. - Co miał pan nadzieję udowodnić swoimi

badaniami? Uważa pan, że mógł pan zrobić coś więcej, by uratować córkę?

Milczał długą chwilę.

- Nie wiem, czy mogłem cokolwiek zrobić. I chyba nie wiem, co staram się udowodnić. Miłość rani wszystkich, niezależnie od wieku. - Na chwilę odwrócił wzrok od kamery, a kiedy znów w nią spojrzął, miał oczy pełne łez. - Ale przede wszystkim chodzi mi chyba o to, że jako rodzice powinniśmy częściej rozmawiać z naszymi dziećmi o tym, co czują. O tym, co tak naprawdę dzieje się w ich życiu. - Uśmiechnął się smutno. - I powinniśmy ich słuchać.

Chyba że jesteście zbyt zajęci romansami, pomyślałam.

Operator pokazał moje liceum, głos reporterki mówił dalej.

- Doktor Eagan przekazuje nam mądre przesłanie. Szczególnie w obliczu tragicznego incydentu, który wydarzył się zaledwie kilka tygodni temu...

- Co? - Zaczęła mnie ogarniać panika. - Jakiego incydentu?

- ...gdy uczeń dwunastej klasy liceum Pacific Crest, związany był z Aubrie Eagan w czasie, gdy zmarła... Chłopak, który, jak mówią jego koledzy, złamał jej serce...

Zrobiło mi się słabo.

- Nie. Nie, nie, nie.

- ...gwiazda licealnej drużyny lekkoatletycznej, Jacob Fischer...

- Błagam - zaskomlałam. - Błagam, nie.

- ... został znaleziony nieprzytomny w domu... Miałam wrażenie, że ściany wałą mi się na głowę.

Nie mogłam słuchać ani sekundy dłużej. Gardło mi się ścisnęło i obróciłam się na pięcie jak oszalała, oślepią łzami. Spróbowałam się przepchnąć przez zgromadzony tłumek; musiałam wydostać się na zewnątrz. Powietrza. Potrzebowałam powietrza.

- Hej! - usłyszałam wołanie Bransoletki. - Dobrze się czujesz?

To boli. To tak strasznie boli. Patrick, gdzie jesteś?

Traciłam nad sobą panowanie. Wszystko dookoła zrobiło się zielone i plamiste, sala pode mną zawirowała. A potem uderzyłam twarzą w zimne linoleum w szachownicę.

Mocno.

*What a Girl Wants**

Rany. Będzie miała megaguza.

- Czy ona jest martwa? Tak wygląda.

- Przykro mi, że dowiadujesz się tego ode mnie, mały, ale my wszyscy jesteśmy martwi.

Otworzyłam oczy. Bransoletka i Chłopiec Nintendo gapili się na mnie, jakbym była jakimś nieudanym naukowym eksperymentem. Frankenbrie. Albo Eaganstein.

Dotknęłam czoła i natychmiast wyczułam wielką bulwę.

- Auć.

- No nie? - Bransoletka się roześmiała. - Nieźle walnęłaś. Nie tak mocno jak ja, kiedy upuścili mnie ci idioci na koncercie, jak rzuciłam się ze sceny, ale i tak imponująco. -

Pochyliła się i przycisnęła mi do twarzy coś lodowatego.

Skrzywiłam się.

*Czego chce dziewczyna.

- Włoskie lody. Najlepsza imitacja zimnego kompresu, jaką mogłam znaleźć. Pomoże zmniejszyć opuchliznę.

Jakoś pozbierałam się z podłogi. Doczłapałam do swojego boksu i usiadłam.

- Dzięki.

Tamci dwoje poszli za mną i klapnęli naprzeciw mnie.

- Nie ma za co. - Bransoletka dźgnęła łokciem Chłopca Nintendo. - To jest Sam. A ja jestem Riley.

Uśmiechnęłam się do nich żałośnie.

- Brie.

- Wiemy, kim jesteś - przypomniała mi. - Miejscowa celebrytka i tak dalej.

- A, no tak. Zapomniałam.

- A przy okazji - zachichotała - gdzie twój kumpel?

Spojrzałam na nią dziwnie.

- Słucham?

- No wiesz, ten przystojny. Myślisz, że mogłabyś nas... ze sobą poznać? - Zawahała się. - No wiesz, kiedyś tam.

Że co?

Podeksytowana złapała swoją torebkę.

- Bo muszę ci powiedzieć, że jestem w nim ma-sakrycznie zabujana od... od zawsze. Ale przysięgam, on chyba nawet nie wie, że żyję. - Zreflektowała się i wybuchnęła śmiechem.

- No wiesz, co mam na myśli. - Wyjęła z torebki zmięty w kulkę papier i położyła

go na stole przede mną. - Ależ jestem żałosna. - Zachichotała. - Podoba mi się nawet jego charakter pisma. Charakter pisma?

Poczułam, że się czerwienię. Sięgnęłam po zmiętą serwetkę i powoli ją rozwinęłam, przyglądając najlepiej, jak się dało. Na serwetce, między paroma starymi plamami po pizzy, widniała lista słów, którą pamiętałam aż za dobrze. Wszystkie były schludnie wykreślone.

Z wyjątkiem dwóch.

Wyparcie

Gniew

Przekupstwo

Smutek

Akceptacja

- Skąd to wzięłaś? - spytałam cicho. Pogrzebałam w kieszeni i znalazłam długopis - ten superowy z trzeciej klasy - i wykreśliłam smutek.

Bo szczerze mówiąc, było mi cholernie smutno.

- O Boziu! - wykrzyknęła z bardzo kalifornijskim akcentem. - Ty myślisz, że jestem jakąś, no, stalceką, tak?

Hm, no, Boziu, tak właśnie myślę. Patrick miał rację. Dziewczyny są walnięte. Znów zachichotała, jak skrzyżowanie wiewiórki z delfinem.

- Przysięgam, że...

- Chyba nie jesteś w jego typie - wypaliłam. -Bez urazy.

Opadła jej szczeka. - Co?

Wzruszyłam ramionami.

- To, co powiedziałam.

Riley gniewnie założyła ręce na piersi.

- O, serio?

Spojrzałam na nią ze złością.

- Serio.

- A ty niby jesteś? - Roześmiała się sarkastycznie. Może.

Prawdopodobnie. Z całą pewnością.

Wstała i odeszła wściekłym krokiem. Po raz pierwszy od długiego czasu się uśmiechnęłam.

Spojrzałam na Chłopca Nintendo. Jego kasztanowe włosy i słodka twarz natychmiast przypomniały mi Jacka. Byłam ciekawa, co stało się temu malcowi, że wylądował w Kawałku całkiem sam. Wskazałam jego bluzę.

- Harvard, hm? Skinął głową.

- Michael tam chodzi. Zawahałam się chwilę, nim spytałam:

- A kto to jest Michael?

- Mój brat.

Stracił brata. Tak jak Jack stracił mnie.

Śmiech Jacka wypełnił moją głowę - ten nieopanowany, kiedy ganialiśmy się po domu, bawiąc się w berka w niedzielne poranki. Tęskniłam za jego uśmiechem i za kogutkiem, który sterczał mu na głowie zaraz po

wstaniu z łóżka. Tęskniłam nawet za tym, że puszczał mi bąki w poduszkę, bo złościł się, że wieczorem musiał chodzić spać wcześniej ode mnie.

Zapomnij o tym. Pomyśl o czymś innym.

Zrobiłam, co w mojej mocy, żeby wyrzucić wspomnienie z głowy.

- Wreszcie zrobiłeś sobie wolne od grania, co? Sam zmarszczył nos.

- Baterie się wyczerpały. - Po jego tonie poznałam, że poruszyłam wyjątkowo przykry temat. I nagle zrozumiałam dlaczego. Może gry wideo pomagały mu zapomnieć o czymś, o czym nie chciał myśleć.

- Hej, a chcesz nowe?

Jego twarz rozświeciła się jak bożonarodzeniowa choinka.

- Tak! Mogłabyś mi załatwić? Najwidoczniej nikt nawet nie pomyślał, żeby dać Samowi egzemplarz *Ś.P.* Pewnie dlatego, że był za mały na taką lekturę. Uśmiechnęłam się promiennie. Za moment miałam wywrócić świat tego małego do góry nogami.

Tajemniczo zamachałam rękami w powietrzu, jak robiłam to milion razy, kiedy Jack i ja nauczyliśmy się magicznych sztuczek. Różnica polegała na tym, że teraz czarowałam naprawdę.

- Hokus pokus. Abraaa kadabraaa...

Sam zrobił wielkie oczy. Jeszcze przez chwilę pomachałam rękami, schowałam je za plecy i wypowiedziałam pierwsze życzenie od bardzo długiego czasu. Tak jak nauczył mnie Patrick.

Baterie poproszę. Paluszki AA.

Po chwili uśmiechnęłam się do Sama.

- Ence pence, w której ręce? Wskazał lewą.

- W tej!

Uniosłam ją i pokazałam, że jest pusta.

- Pudło. Spróbuj jeszcze raz.

Zrobił minę, jakbym go oszukała, ale w końcu wskazał prawą.

- W tej?

- Ta-da! - krzyknęłam, upuszczając przed nim baterie z głuchym stukotem.

Spojrzał na mnie, spojrzał na baterie. Wziął je i ostrożnie obrócił w dłoniach, jakby się bał, że nagle rozpląną się w powietrzu. Błyskawicznie załadował je do swojej gry i włączył guzik zasilania. Po paru sekundach rozległy się dźwięki starego, klasycznego tetrisa.

- Dziękuję - powiedział Sam z nabożnym podziwem. - Naprawiłaś mi grę.

I wybuchnął płaczem.

- Nie, nie, skarbie. - Czułam się okropnie. Wstałam i przesiadłam się na jego stronę stolika.

Objęłam go i przyciągnęłam do siebie. Wtulił się we mnie; czułam, jak jego łzy wsiąkają w przód mojej sukienki. Zaczęłam go delikatnie bujać.

- Ciii. Już dobrze. Wszystko będzie dobrze.

- Nie będzie! - wyryczał. - Ja chcę do domu. Przypomniałam sobie tamten poranek, kiedy zobaczyłam Sadie i Jacoba na plaży. Przypomniałam sobie,

jak Patrick trzymał mnie w ramionach, aż nie została mi ani jedna łza, i jak zaniósł mnie do Kawałka, szepcząc mi do ucha, że wszystko będzie dobrze. Przypomniałam sobie ból w jego oczach, kiedy próbował mi powiedzieć, co czuje, a ja odrzuciłam jego uczucia, jakby się nie liczyły. Jakby on się nie liczył. Bo wtedy myślałam tylko o sobie.

I nagle, kiedy tak trzymałam w ramionach szlochającego chłopca, którego ledwie znałam, dotarło do mnie.

Złamałam Patrickowi serce.

Tak jak Jacob złamał moje.

I nienawidziłam się za to.

Nagle zapragnęłam wiedzieć wszystko. Chciałam -nie, musiałam - zrozumieć, kim jest Patrick i kim był, i dlaczego czułam się, jakby zabrał ze sobą część mnie, kiedy zniknął. Bo miałam naprawdę serdecznie dość, że o niczym nie mam pojęcia. Miałam dość smutku i samotności, i tego poczucia, że brakuje mi czegoś w środku. Czegoś - teraz byłam już pewna - czego brakowało zawsze. Nawet kiedy żyłam.

Poczekaliśmy, aż Sam przestanie płakać. Pocałowałam go w policzek i poczochnęłam mu włosy.

- Zaraz wracam. - Wstałam, z wyprostowanymi plecami, z uniesioną głową, i podeszłam do jedynej osoby, która wreszcie miała mi udzielić informacji, czy tego chciała, czy nie. Pani Krzyżówki.

Gdzie on jest? - Usiadłam na stołku na wprost niej i oparłam się na kontuarze.

Wzruszyła ramionami, nie odrywając wzroku od krzyżówki.

- Proszę. Niech mi pani powie.

- To tajna informacja. Aha. Więc jednak coś wie.

- Ale to ważne.

Posłała mi twarde, przeciągłe spojrzenie, zupełnie nie pasujące do miłej staruszki. Nie ustąpiłam. W końcu odłożyła ołówek na blat i splotła palce.

- Zadowolona?

- Będę zadowolona, kiedy mi pani powie, gdzie jest Patrick.

- A skąd ja mam wiedzieć, gdzie on jest?

- No cóż. - Błysnęłam jej swoim najszczerzym uśmiechem. - Pani wie wszystko.

* Umrzycjmy młodo, żyjmy wiecznie.

Przyglądała mi się podejrzliwie.

- Chyba nie próbujesz się podlizywać, co? Cholera, nie dość szczerzy.

- Skąd - obstawałam przy swoim. - A poza tym, w czym problem? Proszę mi po prostu powiedzieć.

Pokręciła głową.

- Ja nie żartowałam. To tajne. Westchnęłam zirytowana. Śmierć była równie uciążliwa jak życie! Mnóstwo głupich zasad, które nie miały żadnego sensu.

- Grzecznie panią proszę. Nie ma go od paru tygodni. Martwię się o niego.

Prychnęła drwiąco.

- Zabawne, skoro to twoja wina, że się wyniósł. - Poklepała krzyżówkę. - A tak nawiasem mówiąc, to też twoja wina, że teraz nie ma kto mi pomóc przy osiemnaście poziomo. -

Sięgnęła po ołówek.

Nagle przypomniał mi się formularz, który musiałam wypełnić pierwszego wieczoru w Kawałku. Czy było możliwe, że Patrick wypełniał te same papierki, kiedy zjawił się tu przed laty? Czy Pani Krzyżówka miała również jego teczkę? Pochyliłam się i porwałam jej krzyżówkę sprzed nosa.

- Hej! - krzyknęła. Pokręciłam głową.

- Oddam, jak da mi pani teczkę Patricka. - Wyjęłam długopis, śledzona jej przerażonym wzrokiem, i zaczęłam wpisywać własne odpowiedzi.

- Nie długopisem! - kwiknęła. - Długopisu nie da się wytrzeć!
- Zobaczmy... - Ignorując ją przeleciałam wzrokiem podpowiedzi. - Cztery litery, śródziemnomorski ser często dodawany do sałatki greckiej.
- Feta! - krzyknęła.
- Już wiem! - Zaczęłam wpisywać własną, jeszcze lepszą odpowiedź. - B-R-I-E!
- Nie! - Spróbowała wyrwać mi krzyżówkę, ale nie była dość szybka. - Oddawaj! Wszystko psujesz!

Zeskoczyłam ze stołka. Dopiero zaczynałam.

- Siedem liter, kobieta, która nie je mięsa. Hm... -Udałam, że jestem w kropce. - To trudne.
- Weganka. - Pani Krzyżówka zamachała rękami. - Weganka!
- Wiem! - Pstryknęłam palcami i jeszcze mocniej przycisnęłam długopis do papieru. -
Eaganka!

- Och, jak mogłaś! - zawyła. - Cała moja ciężka praca idzie na marne!
- Słucham? - spytałam. - Przepraszam, pani coś mówiła? - Nie dałam jej nawet sekundy na odpowiedź; natychmiast wróciłam do listy wskazówek. - Oo, to jest naprawdę trudne.
Osiem liter, smażony kotlet mięsny, ulubieniec każdej rodziny. - Zacisnęłam powieki i zaczęłam się kiwać, mruczając pod nosem, jak jakiś podrabiany mistrz jogi. - Jasne! -
Wpisywałam litery, wykrzykując każdą po kolei. - S-Z-N-Y-C-E -Urwałam. - Kurczę, nie zgadza się. Szynceł ma siedem liter, nie osiem. - Walnęłam się w czoło i jęknęłam

dla jeszcze lepszego efektu dramatycznego. - To musi być schabowy! Ale teraz nie mogę już wytrzeć! O, ja głupia, dlaczego nie użyłam ołówka?

Pani Krzyżówka była już tak fioletowa na twarzy, że przypominała bardziej bakłażana niż kobietę. Trudno! Z mojego punktu widzenia nie było żadnego powodu, dla którego nie miałabym mieć dostępu do historii Patricka. On z całą pewnością znał moją od A do Z.

- Chcesz jego dane? - Szarpnęła szufladę obok siebie, wyjęła cienką, tekturową teczkę i trzasnęła nią o blat. - Proszę!

Wzięłam ją natychmiast. Posłałam Pani Krzyżówce szeroki, naprawdę szczery uśmiech. - Bardzo dziękuję.

Rzuciłam jej krzyżówkę i wypadłam z Kawałka tak szybko, że o mało nie roztrzaskałam szklanych drzwi. Przycisnęłam teczkę Patricka do piersi i śmignęłam w jedyne miejsce, gdzie, jak wiedziałam, mogłam przeczytać jej zawartość nie niepokojona przez nikogo. Na most.

Kiedy po kilku sekundach moje stopy dotknęły znajomej, pomarańczowej kratownicy Golden Gate, pomyślałam, że Patrick mógłby być ze mnie dumny.

- Perfekcyjne lądowanie - szepnęłam.

Płuca wypełniło mi oceaniczne powietrze i poczułam, że się rozluźniam. Dzisiaj nie było silnego wiatru, a niebo przybrało senny, szarofioletowy odcień. Góry rozpościerały się przede mną, majestatyczne i tajemnicze; na skórze czułam ciepło zachodzącego słońca.

- No to jazda - powiedziałam. - Dość tajemnic. - Ostrożnie otworzyłam teczkę. W środku był cienki plik kartek. Szybko przebiegłam wzrokiem pierwszą stronę. Kwestionariusz, taki sam, jaki ja wypełniałam prawie rok wcześniej. Pisane ołówkiem litery były wyblakłe i ledwie widoczne, ale udało mi się odczytać kilka odpowiedzi.

NAZWISKO: *Patrick Aaron Darling* Darling¹? Nazywa się Darling? Kurczę, jak mogłam to przegapić?!

Przeszłam do kolejnych wpisów. DATA URODZENIA: *1 sierpnia 1965* DATA ŚMIERCI: *11 lipca 1983*

O kurczę. Żartować z nim to jedno, ale zobaczyć to napisane czarno na białym to zupełnie inna sprawa. Naprawdę przez cały ten czas bujałam się z czterdzie-stopięciolatkiem. Tak jakby. Czytałam dalej.

PRZYCZYNA ŚMIERCI: *Sui caedere*.

Widocznie jego irytujący nawyk popisywania się łacińskimi sentencjami miał długą tradycję.

- *Sui caedere*? - Jęknęłam. - Co to ma znaczyć, „ups, skasowałem motor”? - Pokręciłam głową. - Co za palant.

Spróbowałam odczytać pozostałe odpowiedzi, ale reszta arkusza tak wyblakła, że trudno było je rozszyfrować. Z wyjątkiem dwóch ostatnich rubryk na samym dole.

NADZIEJE: *Lily mnie znajdzie*.

¹(ang.) kochanie.

MARZENIA: *Wybacz mi.*

No. Nareszcie coś konkretnego. Jakiś punkt zaczepienia. Imię.

- Lily. - Wypowiedziałam to słowo powoli, smakując je na języku. Więc to była dziewczyna, którą kochał wtedy, w dawnych czasach. - Patrick i Lily. - Brzmiało nieźle. Pasowało.

Przez jakieś pół sekundy czułam się odrobinę zazdrosna, chociaż doskonale zdawałam sobie sprawę, że zachowuję się jak wariatka. Dlaczego miałabym być zazdrosna o dziewczynę, którą znał dawno, dawno temu, zanim ja w ogóle się urodziłam?

Nie mam powodu. Żadnego.

Nie bądź śmieszna, Brie - zbeształam się w duchu. - Panuj nad sobą.

Zrobiłam, co w mojej mocy, żeby wyrzucić tę myśl z głowy i skupić się na tym, jak świetnie szła mi zabawa w prywatnego detektywa. Może nie osiągnęłam jeszcze poziomu Sherlocka Holmesa, ale dwa nowe tropy to lepsze niż nic. Ale co on jej takiego zrobił? Co miała mu wybaczyć?

Typowy chłopak, oni zawsze wszystko psują.

Przejrzałam bardziej oficjalne dokumenty - nic godnego szczególnej uwagi - aż trafiłam na zdjęcie dziecka z ciemnymi włosami, ciemnymi oczami i uśmiechem, którego nie dało się pomylić z żadnym innym.

Halo, Houston, właśnie otrzymaliśmy informację, że Patrick Darling był śliczny od urodzenia.

Znalazłam poskładaną gazetę i wyjęłam ją z pliku. Sprawdziłam datę w górnym prawym rogu. 11 lipca 1983 roku. Rozłożyłam ją delikatnie, żeby nie podrzeć, i ułożyłam na kolanach. Podziękowałam w duchu niebu, że nie ma dziś wiatru, i zaczęłam przeglądać nagłówki. Jeden wyróżniał się spośród reszty.

SIEDEMNASTOLATEK Z HALF MOON BAY ODEBRAŁ SOBIE ŻYCIE.

Przerwałam. Przeczytałam jeszcze raz. I jeszcze raz.

- To nie może być on - powiedziałam zdezorientowana. - Patrick zginął na motorze... - Spojrzałam na krótki artykuł.

„Uczeń miejscowego liceum odebrał sobie życie na obrzeżach Half Moon Bay. Jak twierdzi policja, śmierć nastąpiła w niedzielę wieczorem. Ciało Patricka A. Dar-linga, lat 17, znaleziono około godziny 21.00 w niedzielę na plaży Breakers, na którą, jak się uważa, wykonał samobójczy skok, uprzednio zadając sobie kilka ran kłutych za pomocą noża. Darling zostawił w żałobie rodziców i trzy siostry; mówi się, że był zdruzgotany niedawną śmiercią swojej szkolnej miłości, Lilian R. Thomas, lat 16, która zginęła w tragicznym wypadku motocyklowym w długi weekend 4 lipca”.

Przygniotła mnie lawina odczuć. Głosy, zamieszanie, wycie syren, poskręcany metal, moje płuca wypełniające się ogniem. Dźwięki były tak głośne, wrażenia tak intensywne, że zmaćcił mi się wzrok.

Pomocy. Proszę, pomóżcie mi. Nie mogę oddychać.

Wołanie chłopaka, jego ręce, jego usta przyciśnięte do moich, próbujące wtłoczyć we mnie życie, choć było już za późno. Łzy i krzyki, pocałunki i szczęk bramy cementarza zatrzaszkującej się za mną.

Me zostawiaj mnie tutaj. Proszę, nie zostawiaj mnie tu samego.

Trzęsłam się cała. Wróciłam do kwestionariusza i spojrzałam jeszcze raz.

PRZYCZYNA ŚMIERCI: *Sui caedere*.

- *Sui caedere* - czytałam raz po raz, aż dwa słowa zlały się w jedno angielskie słowo.

Suicide.

Samobójstwo.

Kartka wypadła mi z palców.

- Okłamał mnie - powiedziałam. Patrick nie zginął w wypadku motocyklowym. Sam się zabił.

Oczy wypełniły mi się łzami. Ale dlaczego? Dlaczego miałyby kłamać? Kopię w ziemi.

Wypuśćcie mnie. Drapię. Pomóżcie. Drę paznokciami. Błagam.

Cisza. Bezruch. Stęchlizna. Ciemność. Bez końca.

Głos chłopaka wsączający się w błotniste szczeliny. Z początku cichy, potem zmieszany z mdląco-słodkim zapachem benzyny i łez.

Błagam, mówił. Błagam, nie zostawiaj mnie. Nie mogę bez ciebie żyć, aniołku.

Kątem oka zauważyłam drugą wyblakłą gazetę wystającą z teczki Patricka. Przerazona sięgnęłam po nią i odczytałam datę.

5 lipca 1983 roku.

Tydzień wcześniejsza niż poprzednia.

Otworzyłam gazetę i krzyknęłam głośno, kiedy zobaczyłam wielkie zdjęcie z wypadku. Kupa dymiącego, gorącego metalu, potrzaskane manetki, płonące opony i wybebeszone siodelko gapiły się na mnie z wyblakłej fotografii. Wymarzona popołudniowa przejażdżka autostradą 101, która zmieniła się w koszmar.

Głos mi drżał, kiedy czytałam nagłówek.

MIASTO OPLAKUJE NASTOLETNIĄ MIŁOŚĆ, PRZERWANĄ PRZEZ
ŚMIERTELNĄ KRAKSE.

Moje oczy przeskoczyły artykuł. Wzrok sam pobiegł do drugiego, mniejszego zdjęcia tuż pod nagłówkiem, przedstawiającego chłopaka i dziewczynę. Tusz wyblakł prawie zupełnie, więc musiałam nieźle wyteńczyć wzrok, żeby przyjrzeć się dokładnie.

Patrick.

Był w tej samej skórzanej kurtce, w spranych dżinsach, miał ten sam zabójczy uśmiech. Za nim - czule obejmując go w pasie - stała jego dziewczyna.

Lily.

Oto ona. Dziewczyna, którą Patrick kochał tak, że czekał na nią dwadzieścia siedem lat w najbardziej

obskurnej pizzerii po tej stronie nieba - mając nadzieję, błagając, modląc się, żeby weszła przez te drzwi prosto w jego ramiona.

Zmrużyłam oczy jeszcze bardziej i przysunęłam gazetę tak blisko do twarzy, że prawie dotykałam jej nosem. Nie bardzo wiedziałam, czego szukam, aż nagle to zobaczyłam.

Jej ciemne, falujące włosy. Jej radosny uśmiech. Jej twarz tak swobodną, tak delikatną, tak obiecującą.

I nie mogłam oderwać wzroku.

Bo dziewczyna na zdjęciu była mną.

Wake Me Up Inside

To niemożliwe. To po prostu niemożliwe.

Wpatrywałam się w zdjęcie tak intensywnie, że myślałam, że mózg mi eksploduje albo oczy wyjdą mi z głowy, albo jedno i drugie jednocześnie.

- Jakim cudem to jestem ja? Jak ona może być mną? Jak?

Jak to możliwe, że ja - zwykła dziewczyna prowadząca zwykłe życie - byłam dwiema osobami jednocześnie? Co to miało być, jakiś recykling? Renowacja? Jak wtedy, kiedy rodzice kazali wymienić tapicerkę na kanapie w salonie?

Boże, śmierć jest taka skomplikowana.

Wzięłam głęboki oddech, próbując się uspokoić.

- Musi być logiczne wyjaśnienie - powiedziałam sobie. - Musi być racjonalne wyjaśnienie.

- Ale w tej chwili przypominałam sobie, że siedzę w najwyższym

* Obudź moje wnętrze.

punkcie mostu Golden Gate i nie żyję od prawie roku. Niewiele w tym było logiki.
A może nie żyję od trzydziestu lat.

Położyłam dłoń na sercu, jakbym składała przysięgę.

- Bij - rozkazałam mu. Walnęłam się dłonią w mostek. - Bij. - Usłyszałam tylko głuchy, pusty odgłos uderzenia. Spróbowałam jeszcze raz. - Bij! -1 jeszcze raz. - Bij, głupie, bij! - Ale nie poczułam łaskotania pulsu, żadnej iskry, oddechu, żadnego ruchu. Tylko smutne, milczące nic.

Odrzuciłam głowę do tyłu i wrzasnęłam na całe gardło:

- Gdzie jesteś? Dlaczego mi nie powiedziałaś?! Patrick nie odpowiedział. Linia telefoniczna między naszymi mózgami była uszkodzona.

Padłam do przodu, na łokcie, i położyłam głowę na stalowej platformie. W głębi duszy znałam prawdę. Powiedział mi, a przynajmniej próbował. Tylko że ja nie słuchałam.

To był jakiś koszmar, że nie mogłam się z nim skontaktować. Koszmar, że nie wiedziałam, gdzie się podział. Ale szukałam wszędzie. Zwiedziłam wszystkie zakamarki mojego kawałka nieba, byłam na każdej drodze, w każdym lesie, na każdym moście i każdej górze, jaka przyszła mi do głowy. Gdzie jeszcze mógł się ukrywać? Gdzie było to jedno miejsce, gdzie miałby pewność, że go nie znajdę?

Przez małe, pomarańczowe kwadraciki kratownicy patrzyłam, jak świat szumi i faluje trzysta metrów pode mną. Obróciłam głowę na bok - na północny wschód -i zauważyłam samotną wyspę wiele kilometrów dalej, tuż za Sausalito, kawałek wzdłuż wybrzeża od Tiburon.

Zachodzące słońce rzucało nieziemski blask na zatokę i przez moment wyspa zdawała się palić - pływający, czerwonopomarańczowy płomień na grafitowej powierzchni wody. Ale po chwili słońce zrobiło głęboki wdech i zanurzyło się w falach, a migotliwe złoto nieba zmieniło się w przyćmiony błękit. Deszczowe chmury napływały z północy - z Oregonu i Vancouver - i wyspa pogrążyła się w cieniu. Została tylko sylwetka lasu.

Podniosłam się porażona.

Co to za miejsce?

Nagle przyfrunęły do mnie słowa Larkin, cichy szept niesiony pierwszym podmuchem wiatru. Zrozumiałam, gdzie go znajdę.

Wyspa Anioła. Miejsce, gdzie zmarli idą umrzeć.

Nie było czasu zastanawiać się, czy nie jest za późno. Podeszłam na skraj północnego pylonu, uniosłam ręce nad głowę, przybierając perfekcyjną pozę do skoku, i odbiłam się. Ale tym razem nie spadłam.

Poleciałam.

Śmigalam jak szalona, przecinając wiatr i mgłę, i resztki gasnącego światła dnia, aż moje stopy wylądowały miękko jak kocie łapy na zimnej, kamienistej plaży. Zadrzałam lekko i spojrzałam dookoła, próbując rozpoznać otoczenie. W prawie całkowitej ciemności

widziałam majaczące kształty gigantycznych drzew madrone, z czarnoczerwoną korą łuszczącą się jak papier, porastających skraj plaży.

Nie wiedziałam, dokąd iść i gdzie szukać Patricka, ale postanowiłam trzymać się plaży, przynajmniej dopóki nie poznam wyspy. Te lasy naprawdę nie wyglądały przyjaźnie.

- Tak - powiedziałam sobie. - Z całą pewnością lepiej zostać na plaży.

Szczególnie po ciemku.

Ale kiedy ruszyłam wzdłuż brzegu, mimo mroku, bo księżyc schował się za mgłą, nie mogłam nie zauważyć, jak zaśmiecona jest wyspa. Wszędzie pełno było głazów, kłód i pni drzew wyrzuconych przez wodę. Coraz trudniej było je omijać. To miejsce wyglądało jak zrujnowane przez tornado.

Nawet odgłos własnych butów chrzęszczących w żwirze i piasku zaczynał mnie przerażać. Strach zakradał się do mojej głowy, kiedy każdy dźwięk zdawał się rozlegać pięćdziesiąt razy głośniejszy, niż powinien. Nagle poczułam, że ta moja mała wyprawa poszukiwawcza mogła okazać się bardzo, bardzo złym pomysłem.

W pewnej chwili moja prawa stopa o coś zahaczyła - chyba o gałąź - i omal nie padłam twarzą w piach, ale zatrzymałam się na kolanach. Wtedy zauważyłam coś dziwnego.

Piasek pachniał... inaczej. Niemal metalicznie. Wzięłam garstkę i przesypałam szorstkie, wilgotne granulki między palcami.

- Co to jest? - Nagle rozpoznałam ten zapach i błyskawicznie rzuciłam piasek, wzdrygając się.

Krew. Ten piach pachnie krwią. Podmyła mnie fala, mocząc mi dłonie, kolana i buty. Zapach przybrał na sile.

- Boże święty. - Zerwałam się na nogi i patrzyłam, jak pasma szkarłatu płyną po piasku, ścigając cofającą się wodę. - To... to jest w wodzie. Jest wszędzie. - Przeważenie sparaliżowało mi kończyny, unieruchamiając mnie. Chciałam się stamtąd wynieść. Natychmiast.

Spróbowałam się odwrócić, ale potknęłam się o wielką kłodę i poleciałam do tyłu. Usłyszałam cichy jęk, rozlegający się echem w ciemności, i wiedziałam tylko tyle, że nie wydobył się z mojego gardła.

Zamarłam, tak słaba i chora ze strachu, że nie mogłam oddychać.

- K-k-kto tam jest? - wydusiłam przerażona po sekundzie. Powoli i tak cicho, jak się dało, wstałam z ziemi i otrzepałam piasek z dłoni. Nikt nie odpowiedział.

Może mi się zdawało?

Księżyc wyrzwał przez dziurę we mgle, oświetlając linię brzegu jak niesamowity reflektor.

Przyjrzałam się lepiej kłodom drewna zaścielającym plażę. Tyle że to nie były kłody.

To były ciała.

Całe setki, rozrzucone po piasku - z kończynami powykręcanyimi jak połamane konary, z żebrami i łopatkami widocznymi przez cienką jak papier skórę,

z zapadniętymi policzkami, bladymi i połyskującymi w blasku księżyca jak śnieg. Zachłusnęłam się i zaczęłam trząść jak osika, ogarniając wzrokiem makabryczną scenerię. To było gorsze niż wszystko, co widziałam w książkach do historii. Wszędzie dookoła było morze twarzy, ciągnące się kilometrami. Morze złamanych, nieszczęśliwych dusz - nagich, krwawiących, potwornych i rozpadających się na moich oczach w pył. Albo piasek.

Zaczęłam gorączkowo otrzepywać piach z sukienki, rąk i twarzy. Ale im usilniej próbowałam się go pozbyć, tym bardziej kleił mi się do skóry. Był w butach, we włosach, pod paznokciami, w ustach. Kaszłałam i plułam, raz za razem, próbując go zdrapać z języka, ale wciąż czułam tylko smak żwiru i rdzy. I wilgoć wsiąkającą w moje pory, barwiącą moje dłonie na czerwono.

- Gdzie jesteś? - krzyknęłam. - Patrick, proszę, odpowiedz mi!

Wtedy odezwały się głosy.

- Jestem niewinny... Przysięgam na swoje życie, nie zrobiłem tego.

- Musicie mi wybaczyć. Błagam, czy ktoś mi wybaczy?

- Mama? Mamusiu, to ty?

- Okłamałaś mnie. Patrzyłaś mi w twarz i kłamałaś...

Wszyscy mówili jednocześnie, przekrzykiwali się - wołania były tak głośne, nieprzytomne i majaczące, że nie rozumiałam nawet połowy. Zaczęłam iść między tymi ludźmi, szukając choćby przeblysku spojrzenia czy uśmiechu. Ziemia wciąż chrzęściła i trzaskała mi pod butami, ale teraz wiedziałam już, że nie idę po muszlach.

- Patrick? - wołałam rozpaczliwie. - Jesteś tam?

- Uważaj - powiedział ktoś, kiedy moje stopy znalazły się za blisko.

- Przepraszam! - Odskoczyłam, ale nadepnęłam na kogoś innego.

- Hej!

- Strasznie mi przykro, przepraszam, nie chciałam...

Wciąż lustrowałam ich twarze. Miałam nadzieję dostrzec znajome rysy.

- Wszyscy wyglądają tak samo. - Zaczęłam panikować. Odwracałam nieruchomych, szukając siedemnastoletniego chłopaka. - Wszyscy są identyczni!

- Nieprawda - usłyszałam cichy, półprzytomny głos jakiejś dziewczyny.

Poderwałam głowę i rozejrzałam się po plaży.

- Halo? - zawołałam. - Kto tam jest? - Ruszyłam w stronę głosu, mijając ciało za ciałem, aż dostrzegłam postać z długim, wystrzępionym, czarnym warkoczem. Uklęknęłam i odwróciłam ciało na plecy tak ostrożnie, jak się dało.

A kiedy jej znękane oczy spojrzały w moje, wybuchnęłam płaczem. Larkin.

- Brie. - Jej głos był zaledwie szeptem. - Nie myślałam, że cię jeszcze zobaczę.
- Co ty tu robisz? - Uklękłam i jak najdelikatniej przesunęłam ją sobie na kolana. - Co się stało?

Patrzyła na mnie, nie mrugając, i przez chwilę wydawało mi się, że jej głos musiał być złudzeniem. Ale nagle jej wargi znów zadrżały i usłyszałam, że próbuje mówić.

- Nie mogłam znowu być sama. W mieście już nic mi nie zostało.

- Tak mi przykro - powiedziałam załamana. -Nie chciałam cię skrzywdzić. Nie chciałam, żeby do tego doszło.

- Naprawdę? Mówisz poważnie?

Otarłam piasek z jej twarzy i dopiero teraz dotarło do mnie z całą jasnością, w jakim jest stanie. To był tylko cień dziewczyny, która skakała z drapaczy chmur. Dziewczyny, która nauczyła mnie, jak o siebie zadbać, i która pokazała mi, że jestem silniejsza, niż sądziłam. Ale teraz z Larkin Ramsey nie zostało prawie nic. Rozpadała się w proch na moich oczach.

- Wszystko będzie dobrze - próbowałam ją zapewniać. - Wyciągnę cię stąd.

- Brie - szepnęła. - To ja wznieciłam pożar tamtej nocy w moim domu. Wiedziałaś o tym? Patrzyłam na nią skołowana.

- Nie obwiniaj się, Larkin. Wszyscy wiedzą, że to była świeczka. Wszyscy wiedzą, że to był wypadek. Straszny, potworny wypadek. Nic więcej.

Pokręciła głową.

- To moja wina. Nie wypadek. Zrobiłam to celowo. Chciałam umrzeć.

- Nie. - Kręciłam głową. - Proszę cię, nie mów tak.

- Ale to prawda. - Larkin uśmiechnęła się smutno. - Zawsze byłam sama. Zawsze czułam się samotna. Więc postanowiłam coś z tym zrobić. - Zaśmiała się słabo. - A potem oczywiście okazało się, że po drugiej stronie samotność jest jeszcze gorsza. - W jej głosie zabrzmiała gorycz. - Tyle że nie trwa już całe życie. Trwa wiecznie. - Położyła dłoń na mojej dłoni. - Bycie mną to kanał, co?

- Ale twoja uroczystość pożegnalna... - Przypomniałam sobie tamten wieczór w auli, kilka lat przed moim. - Przyszło tyle ludzi... tyle ludzi, których obchodziłaś.

- Nie przyszli tam dla mnie. Byłam tam. Widziałam poczucie winy na ich twarzach. Większość tych ludzi nigdy nie chciała mnie znać.

Jej słowa dały mi do myślenia. Przecież zauważyłam to samo: tak naprawdę nie znałam wielu z tych dzieciaków, które pojawiły się, żeby mnie pożegnać. I wydawało mi się to dziwne.

Tak jak Jacob, Larkin uświadomiła mi, że nawet jeśli zdaje ci się, że znasz kogoś od podszewki - nawet jeśli jest ładny, wydaje się ogarnięty, popularny - tak naprawdę nigdy nie wiesz, jak wygląda jego życie.

Chyba że zapytasz.

I będziesz słuchać.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - spytałam. - Dlaczego mi nie powiedziałaś, co ci się naprawdę stało?

Jej ciało zrobiło się tak przejrzyste, że zaczęło zlewać się z piaskiem.

- Nie wiem - odparła cicho. - Widocznie czasami pamięć za bardzo boli.

- Larkin, ja...

- Dlatego wróciłam. - Ścisnęła kurczowo moje przedramię. - Dlatego zdecydowałam się sprzedać duszę, żeby wrócić i wszystko naprawić. Ale to była pułapka, Brie. Próbowałam podjąć inne decyzje, przysięgam na Boga, ale to nic nie zmieniło. Ludzie wciąż mnie nie dostrzegali. Zachowywali się, jakbym była niewidzialna. - Zaczęła szlochać.

- Już dobrze - powiedziałam cicho, robiąc, co w mojej mocy, żeby ją pocieszyć. - Jestem przy tobie.

- Stąd mam ten tatuaż. - Wskazała swoje ramię. - Tak stałam się straconą duszą.

Chwileczkę. Straconą duszą? Gdzie ja to już słyszałam?

Nagle coś mi zaświtało. To graffiti, które widziałam nabazgrane po całym mieście i na ceglach koło Króliczej Nory. To był ten sam symbol, który Larkin miała na ramieniu.

- Najgorsze jest to - wyznała z drżącym podbródkiem - że chciałam to zrobić tobie. -

Zaczęła kręcić głową, więc ledwie ją słyszałam. - Chciałam ci ukraść duszę, Brie.

Chciałam jej użyć, żeby ratować siebie. Żeby zacząć od początku... żyć na nowo... naprawdę.

Kręciło mi się w głowie.

- Masz na myśli... Masz na myśli coś jak reinkarnacja?

Powoli skinęła głową.

- Stracone dusze od tysięcy lat przekradają się w ten sposób na ziemię. Kupują esencję nowej duszy, jakiś przedmiot, który łączy ją ze starym życiem, by zacząć jako ktoś zupełnie inny. - Uśmiechnęła się blado. - To jak karta „wychodzisz wolny z więzienia”.
Esencja duszy. Przedmiot, który łączy ją ze starym życiem.

Dotknęłam obojczyków. Mój naszyjnik.

- Ale cały pic polega na tym - ciągnęła - że ktoś musi ci oddać duszę, żeby zadziało. A jak nie odda... musisz wziąć ją sobie sama. - Umilkła. W jej oczach zobaczyłam wstyd. -
Musisz ją ukraść.

Ukraść?

- Strasznie mi przykro. Tak bardzo chciałam dostać drugą szansę. Po prostu chciałam być kimś innym. -Spojrzeniem błagała mnie o wybaczenie. - Chciałam być kimkolwiek, byle nie sobą.

Nie rozumiałam tego. Jak taka śliczna, inteligentna, zabawna dziewczyna mogła być tak strasznie samotna przez tak długi czas? A co gorsza, dlaczego nikt tego nie zauważył?

Łzy stanęły mi w oczach.

- Szkoda, że nie wiedziałam. Szkoda, że nie mogłam ci pomóc. Żałuję, że nic nie zrobiłam...

- Ale zrobiłaś. Zrobiłaś coś.
- Nie. - Pokręciłam głową. - Nie zrobiłam.
- Zawsze najbardziej na świecie chciałam mieć siostrę. Kiedy znalazłaś mnie w mieście, miałam ją. Moje życzenie się spełniło. Dziękuję ci za to. - Uścisnęła moją dłoń i spróbowała się uśmiechnąć. Potem dotknęła mojej twarzy; ledwie czułam jej palce. - Zrobisz dla mnie jeszcze jedno? Proszę cię.
Skinęłam głową.
- Co zechcesz.
- Nie zapomnij o mnie. - Oczy jej błyszczały, widziałam, że jest przerażona. - Zbyt łatwo zapomina się tu o ludziach. Nie zapomnij mnie, Brie.
- Ciii. Nie mów tak. Wszystko będzie dobrze. Wyjdiesz z tego.
Ale już w chwili, kiedy wypowiadałam te słowa, czułam, że odpływa. Poczułam, że jej ręce się rozluźniły, wysliznęły z moich i opadły na piasek. Powieki jej zatrzepotały i znieruchomiały.
- Larkin? - Mój głos rozległ się na plaży. - Larkin? - Potrząsnęłam nią, ale się nie poruszyła. Pochyliłam się i wzięłam ją w ramiona. Łzy płynęły mi po twarzy. -Dlaczego? Dlaczego wszyscy odchodzą?
Wtedy poczułam, że coś parzy mnie w szyję. Spojrzałam w dół i dostrzegłam miękką, niebieski blask. Mój naszyjnik świecił.
W oddali błysnął piorun, wiatr się wzmógł. Głosy wokół mnie umilkły jakby z szacunku dla zmarłej. Dotknęłam jej twarzy, przycisnęłam usta do czoła.

- Nie zapomnę. Przyrzekam.

Potem palcami wypisałam jej nazwisko na piasku. *Larkin Ramsey Przyjaciółka i siostra* Zerwałam niewielki, czarny oset spomiędzy kamieni i ułożyłam na jej dłoniach. W końcu otrzepałam piasek z policzków i rozejrzałam się po plaży. Tyle zdruzgotanych dusz. Co spotkało ich wszystkich?

Miłość, zrozumiałam. Spotkała ich miłość.

Każdy z nich mógł być Patrickiem. Musiałam go znaleźć, ale jak? Nie mogłam oglądać każdej twarzy. A nawet gdybym zdołała, to nie zniosłabym jego widoku, jeśli był w tak strasznym stanie jak Larkin. Nie wiedziałam, jak zareaguję, jeśli będę musiała pożegnać się z nim w takim miejscu. Spojrzałam w niebo i wyobraziłam sobie Larkin odlatującą do jakiejś innej galaktyki. Całą świetlistą. Może w tej chwili odrodziła się jako ktoś inny?

Jako całkiem nowe życie, nowy początek.

Bo wygląda na to, że jest taka możliwość.

Patrzyłam na gwiazdy i zastanawiałam się, czy mnie teraz widzi. Miałam nadzieję, że jest szczęśliwa, dokądkolwiek odeszła. Miałam nadzieję, że jest wol-na. Dostrzegłam kątem oka jakiś ruch. Odwróciłam się i skupiłam wzrok na zachodnim krańcu wyspy, gdzie z oceanu sterczała potężna skała.

- To ty? - szepnęłam. - To naprawdę ty? *Ty spadasz, ja spadam, pamiętasz?*

Na skraju świata, z twarzą uniesioną do nieba, stał Patrick.

*We Belong to the Light,
We Belong to the Thunder*

Biegłam. Biegłam tak szybko, jak mogłam, przez deszcz i fale, po brzegu zasłanym żywymi trupami. Gdzie nie stąpnęłam, wijące się ciała próbowały chwycić mnie za nogi, ciągnęły mnie w dół, żebym do nich dołączyła. Czułam, jak duszą mnie ich otwarte usta, niewidzialne ręce, milion zapomnianych snów i wspomnień.

I wiedziałam, że jeśli nie pobiegnę dość szybko, niedługo będzie milion plus jedno. Nie mogłam nabrać wystarczającej prędkości, żeby śmignąć prosto do niego, zresztą, powietrze było tutaj dziwne, ciężkie i zastałe, jakby nie obowiązywały go te same zasady co wszędzie. Więc wbiegłam w las, przedarłam się przez krzaki, aż trafiłam na drogę. Asfalt był niemal całkowicie zasłany liśćmi, a drzewa po obu stronach rozrosły się, tworząc tunel, do którego nie docierało światło księżyca.

* Przynależymy do światła, przynależymy do gromu.

Ale droga jest lepsza niż nic.

Pędziłam ile sił krętą drogą, na jedyną górę na wyspie. Wreszcie dotarłam do polany otwierającej się na wystającą skałę, z której widać było panoramę nocnego Pacyfiku - pełne trzysta sześćdziesiąt stopni.

A na polanie, wprost przede mną, stał chłopak.

Miał nagie plecy. Skrzywiłam się, widząc, jak przejrzysty się stał - deszcz dosłownie wsiąkał w niego, aż do kości. Jakby światło w nim wypaliło się niemal do zera. W głowie zabrzmiały mi jego słowa.

Aie wiesz, że cię kocham?

Odpowiedź brzmiała: tak. Bo ja też go kochałam. Z początku mnie nie zauważył.

Zbliżyłam się powoli od tyłu, nie chcąc go wystraszyć.

- Patrick?

Ale nie słyszał mnie. Burza była już zbyt głośna. Więc podeszłam do niego. Wyciągnęłam rękę, choć wiatr i deszcz smagały mi skórę na barkach niemal do krwi. A kiedy moje palce wreszcie dotknęły jego przedramienia, przeniknęło mnie niewiarygodne ciepło.

Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że moja dłoń zapalała tym samym błękitnym, migotliwym blaskiem co naszyjnik, jakby moimi żyłami płynął gwiazdny pył. Ciało Patricka znieruchomiało pod moim dotykiem.

- To ja - powiedziałam. - Jestem tutaj.

- Po co? - spytał ochryple. - Nie prosiłem cię, żebyś tu przychodziła.

- Patrick, ja...

- Powinnaś stąd iść. To nie jest twoje miejsce.
- Czekaj. Nie rozumiesz.
- Rozumiem. - Spuścił głowę. - Byłem głupi, że czekałem tak długo. Wytrzymałem tyle lat. I nie było warto.
- Nie mów tak. Proszę. Przygarbił się z rezygnacją.
- Wiedziałem, że któregoś dnia wejdziesz tymi drzwiami - wyszeptał. - I nareszcie weszłaś. Nareszcie pojawiłaś się znów w moim życiu, po prawie trzydziestu latach... i nie poznałaś mnie. Nie wiedziałaś, kim jestem.
- Jak miałam cię poznać? - spytałam błagalnie. - Patrick, nie byłam tą samą dziewczyną. Skinął głową.
- To prawda. Nie jesteś ta sama. Teraz to wiem.
- Nie o to mi chodziło. Nie słuchasz mnie.
- Byłem głupi, sądząc, że kiedykolwiek cię odzyskam. Że będzie tak jak dawniej. - Umilkł na chwilę, patrząc na horyzont. - To moja wina. To ja wszystko zepsułam.
- Nie rozumiesz? - spytałam. - Nie masz za co przeproszać. Nie zrobiłeś nic złego.
- Wszystko zrobiłem źle. Nie chciałaś ze mną jechać tego dnia... tak strasznie się bałaś. Ale wiedziałem, że ci się to spodoba, jak tylko spróbujesz. Więc cię namówiłem na tę przejażdżkę. - Głos mu się załamał, opuścił głowę. - To moja wina, że umarłaś. To moja wina, że nie mogliśmy być razem.

- Ten motocykl - szepnęłam. - Koszmar nie był snem. - Przycisnęłam czoło do jego pleców i otoczyłam ramionami jego gasnącą duszę.

- Zdołasz mi wybaczyć? - szepnął. Uściskałam go tak mocno, jak umiałam.

- To nie ja muszę ci wybaczyć. To ty musisz wybaczyć sam sobie.

Potężny grzmot rozległ się nad nami. Poczułam, że Patrick się do mnie odwraca. Poczułam jego dłoń na policzku. A kiedy otworzyłam oczy, nie mogłam uwierzyć w to, co widzę.

Wreszcie przekonałam się, co ukrywał tak długo pod koszulką i lotniczą kurtką. Wreszcie zrozumiałam, dlaczego nigdy nie zdejmował jej przy mnie. Widziałam teraz, że blizna na jego ręce - ta głęboka, poszarpana, straszna blizna - była niczym.

Niczym, w porównaniu z resztą.

Cały tors Patricka był pokryty koszmarnymi ranami. Jakby wiele razy nadział się na ostry nóż - i to nie był wypadek.

- Och, kochany - szepnęłam. - Co ty sobie zrobiłeś? - Gorące łzy piekły mnie w oczach, kiedy zaczęłam wodzić palcami po bliznach i pochyliłam się, by ucałować je lekko, jedną po drugiej.

- *Sui caedere* - powiedział. - Nie umiałem bez ciebie żyć.

Dotknęłam jego policzka. Przysunęłam czoło do jego czoła, nasze twarze dzieliły ledwie centymetry.

Zajrzałam mu głęboko w oczy, próbując pokonać dystans między nami.

- Przepraszam, Patrick. Nigdy nie chciałam cię zra...

Niebo rozbłysło i potężny piorun uderzył w plażę pod nami, zapalając kilka drzew. W ciągu sekund wyspa zaczęła płonąć.

- Nie poznałaś mnie - powiedział Patrick. - Tak strasznie chciałem ci powiedzieć, ale bałem się, że weźmiesz mnie za wariata. - Urwał. - No wiesz, jeszcze większego, niż do tej pory. - Uśmiechnął się blado i w jego uśmiechu zobaczyłam całą naszą katastrofalną historię, rozgrywającą się przed moimi oczami. Wszystkie dni, które spędziliśmy razem. Wszystkie plany, jakie snuliśmy. Jak płakał i bujał mnie w ramionach kilka minut po wypadku; jak błagał niebo, żeby zabrało jego zamiast mnie.

Wróciły do mnie wszystkie chwile, wszystkie wspomnienia, i przypomniałam sobie słowa, które wypowiedział Patrick, kiedy życie uchodziło ze mnie tego pięknego, letniego dnia 1983 roku, koło wraku motocykla płonącego na autostradzie.

Zaczekaj na mnie. Zaczekaj na mnie, i już zawsze będziemy razem.

- Zawsze i na wieki - szepnęłam tę samą obietnicę, którą złożyłam moim przyjaciółkom w całkiem innym życiu. Sadie, Emmie i Tess. One wszystkie będą musiały wybrać własne ścieżki, wygrać własne bitwy, stawić czoło własnym nieszczęśliwym miłościom.

Poczułam, że mój amulet rozgrzewa się na szyi, jak zawsze, ilekroć o nich myślałam. Ale tym razem to nie bolało. Tym razem wspomnienie przyniosło mi radość.

- To naprawdę ty? - Patrick objął mnie mocno. - Myślałem, że już nigdy sobie nie przypomnisz.

Wojna jest słodka dla tych, którzy nigdy nie wojowali.

- Teraz pamiętam. - Spojrzałam w jego głębokie, ciemne, znajome oczy. - I już nigdy nie zapomnę. - Nagle poczułam, jak betonowy mur we mnie zaczyna pękać. Poczułam, jak moje zamrożone wnętrze zaczyna tajać.

- Może zaczniemy od początku - zaproponowałam, wyciągając rękę. - Jestem Brie. Zaśmiał się i uścisnął ją lekko.

- Patrick.

- Miło cię poznać. Uśmiechnął się.

- Na nowo.

Pochyliłam się powoli, spodziewając się najlepszego pocałunku wszech czasów. Ale kiedy tylko nasze wargi się spotkały, uderzył kolejny piorun, odrywając nas od siebie.

Próbowałam chwycić go za rękę, ale było za późno - siła gromu odrzuciła Patricka do tyłu, poza krawędź skały. Poza zasięg mojego wzroku.

- Nie!

Błyskawicznie podczołgałam się do krawędzi. A kiedy spojrzałam w dół, zobaczyłam, że ledwie się trzyma.

Rzuciłam się do jego ręki i złapałam tak mocno, jak potrafiłam.

- Patrick!

Pożar pod nami się rozszerzał. Mimo wścieklej ulewy niemal cały brzeg stał już w płomieniach - setki nieszczęsnych, umierających dusz wiły się z bólu.

Larkin. Larkin jest na dole.

Ogień strzelił do stóp Patricka, na jego twarzy błysnął ból.

- Nie dam rady, Brie! Spadam!

Poczułam, że jego palce wyślizgują się z moich. Krzyknęłam. Zacisnęłam powieki i sięgnęłam głęboko w siebie, by wydobyć cały swój zapas siły, do ostatniej kropli. Po długiej chwili, która zdawała się trwać godzinami, zdołałam wreszcie wciągnąć go do pasa na skalną półkę. Jeszcze raz potężnie szarpnęłam go za rękę i wreszcie podciągnęłam go całego. Padliśmy na ziemię i leżeliśmy tak, dysząc ciężko, zalewani lodowatymi falami deszczu.

- Jeśli chciałaś się ze mną umówić - powiedział, kaszląc - wystarczyło poprosić.

- Następnym razem będę pamiętać - wychrypiałam.

Patrick usiadł i dopiero teraz zobaczyłam jego ramię. Na skórze miał wycięty taki sam znak, jak Larkin - małe kółeczko przekreślone większym iksem.

W głowie błysnęło mi wspomnienie naszego pierwszego spotkania.

„Jestem Patrick... tutejsza stracona dusza”.

- Należysz do nich - powiedziałam smutno.

- Zrobiłbym to jeszcze raz, gdybym musiał. Więc to była prawda. Sprzedał swoją duszę. I zrobił to dla mnie.

Teraz rozumiałam, że utknął tutaj, że był wiecznym więźniem zaświatów. Nigdy nie ruszy dalej. Nigdy nie znajdzie akceptacji. Nigdy nie zazna spokoju.

Spuścił głowę.

- Nie miałem wyboru, aniołku. Twoje życie dopiero się zaczynało. Należała ci się druga szansa. -Pogłaskał mnie po włosach, które deszcz przyklepał mi do twarzy. - Tylko tak mogłem ci to wynagrodzić, Lily. Wcale nie chciałaś wsiadać na ten głupi motor.

Czułam swąd pożaru coraz bliżej. Ogień już prawie dosięgnął! naszej skały. Wiedziałam, że jeszcze minuta, i przestanie mieć znaczenie, że nie zabiła nas burza, bo będziemy musieli stawić czoło temu piekłu.

Kiedy spojrzałam w oczy Patricka, zrozumiałam wreszcie, dlaczego wydawał mi się tak znajomy od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłam go w pizzerii. Dlaczego jego głos wydawał mi się tak znajomy.

Nie dlatego, że przypominał mi Toma Cruise'a z *Top Gun*, ani nie dlatego, że miał talent do serowych przezwisk. Dlatego, że w życiu, w śmierci i wszędzie pomiędzy Patrick zawsze był ze mną.

Zawsze był przy mnie.

I nagle wiedziałam już, co muszę zrobić. Nie zastanawiając się ani sekundy, zerwałam łańcuszek z szyi i wyciągnęłam do nieba. Przyszła kolej na mnie, żeby

złożyć ofiarę. On poświęcił dla mnie wszystko; teraz ja chciałam poświęcić coś dla niego. Bo miłość jednak jest tego warta.

- Moje serce należy do ciebie - szepnęłam. - Zawsze należało do ciebie.

- Czekał. - Sięgnął do mojej ręki. - Aniołku, nie! Oślepiająca, wrząca błyskawica uderzyła wprost

w złoty amulet, porażając nas oboje milionem woltów. Poczułam, że jakaś siła wyrywa mnie z ramion Patricka, że znów lecę przez czas, przestrzeń, gwiazdy, niebo i wszystko pomiędzy. Spadałam, aż zapomniałam, że spadam.

A potem cała Zatoka San Francisco - i całe niebo nad nią i całe piekło pod nią - eksplodowała światłem.

Somewhere Over the Rainbow

Usiadłam, gwałtownie wciągając powietrze.

Ale jedynym dźwiękiem, jaki dobiegł moich uszu był cichy pomruk sufitowego wiatraka; złoty łańcuszek do włączania uderzał w niego miarowym, kojącym rytmem.

Stuk mrr stuk mrr stuk mrr.

Padłam do tyłu na poduszkę, obolała, wykończona i obłądnie szczęśliwa, że leżę opatulona we własnym, bezpiecznym łóżku, pod własną kołdrą z gęsiego puchu. Zaburczało mi w brzuchu. Czułam, że w kuchni gotuje się coś pysznego.

Mmm, najwspanialsza lazania świata.

Starłam sen z oczu, ziewnęłam i zauważyłam miękki blask wieczoru przesączaający się przez białe, lniane zasłony. Żadnej burzy. Żadnego deszczu. Żadnych grzmotów czy błyskawic, wyspy czy pożaru. Była tylko moja czysta, bawełniana pościel i moja ukochana

* Gdzieś ponad tęczą.

poduszka. Wszystko jedwabiście miękkie i cudownie gładkie.

Moja pościel. Moje łóżko. Moje cudowne, wspaniałe łóżko.

Hm, chwileczkę.

Usiadłam tak szybko, że zakręciło mi się w głowie. Zmysły mi płonęły, puls pędził jak szalony, serce tłukło z dziesięć tysięcy razy na minutę, i...

Zaraz.

Przyłożyłam dłoń do piersi i mocno przycisnęłam. I poczułam. Łaskoczące, bijące ze mnie ciepło. A razem z nim zdeterminowane, głośnie puk, puk.

- O Boże.

Moje serce biło. Znaczy, miałam serce. I ono biło.

Zanim zdążyłam choćby zacząć się zastanawiać, co się dzieje, rozległ się znajomy głos, wołający do mnie z parteru.

- Brie? Kotku? Czy przed wyjściem mogłabyś rozładować zmywarke?

Znieruchomiałam. Mama?

Wyskoczyłam z łóżka; ciągle byłam w sukience. Otworzyłam drzwi pokoju i popędziłam w stronę głosu. Wszystko brzmiało, pachniało i wyglądało dokładnie tak samo. Szorstkie szuranie moich butów po wykładzinie na piętrze. Ciepły blask zabytkowej lampy, którą wiele lat temu dostaliśmy od dziadków. Zbieranina zdjęć w ramkach na ścianach korytarza. Jack w szóste urodziny, ja w dwunaste. Mama i tato

w podróży poślubnej. Sznycel jako szczeniak. To samo skrzypienie tej samej deski w podłodze, puchate, białe ręczniki zerkające na mnie z łazienki.

Wszystko na swoim miejscu.

Pognałam na dół po schodach, przeskakując ostatnie dwa naraz, jak zawsze. Lilie na stole w jadalni, w obrzydliwym zielonym wazonie, który zrobiłam dla mamy w siódmej klasie. Ciemne okulary taty na stoliku przy drzwiach wejściowych. Zapach bzu i płynu do prania - najwspanialszy zapach świata - wypełnił mi nos. Paul Simon śpiewający z głośników.

Hearts and Bones.

Ulubiona płyta mamy.

Usłyszałam pazury Sznycla stukające i ślizgające się po podłodze w kuchni, potem w bawialni, potem w salonie, pędzące do mnie bez opamiętania. I nagle był w moich ramionach, i obsypywał mnie psimi całusami. Myślałam, że zemdleję ze szczęścia.

- Kotleet!

Sapał i skowyczał, i szczekał, jakby nie widział mnie w domu od bardzo, bardzo dawna. Bo taka była prawda.

- A jemu co się stało? - Jack wszedł do bawialni i klapnął na naszą wielką, wygodną kanapę ze swoim nintendo.

Och, Jack.

Łzy stanęły mi w oczach, kiedy pomyślałam o Samie, o jego małej, piegowatej twarzy. Tak bardzo tęsknił za starszym bratem, że nie mógł tego znieść.

Jednym skokiem pokonałam dywan i wylądowałam na Jacku, atakując go tyłoma uściskami i całusami, ilu nie dostał ode mnie przez całe życie (a było tego dużo). Zaczął wrzeszczeć i śmiać się; sturlaliśmy się na dywan, żeby mocować się dalej, i żadne nawet nie skrzywiło się z bólu.

- Brie i Jack Eagan, dość tego! - rzuciła ze śmiechem mama, stając w drzwiach do kuchni z ręcznikami w dłoniach. Spojrzałam na nią. Na jej ciemne włosy i fajne, modne okulary. Na jej wysokie kości policzkowe i jasnozielone oczy. Była taka piękna. Natychmiast poderwałam się z dywanu i skoczyłam w jej ramiona.

- Brie! - wykrzyknęła, kiedy wpadłam na nią z impetem, omal jej nie przewracając. Miałam to gdzieś. Uściskałam ją tak mocno, jak nie ściskałam jej od lat. A ona to zauważyła. - Kotku? - Dotknęła mi czoła. -Dobrze się czujesz?

Mogłam tylko kiwnąć głową. Płakałam tak bardzo, że nie zdołałabym nic wykrztusić. Odsunęła się i chwyciła moją twarz w dłonie.

- Och, skarbie. - Odgarnęła mi włosy z oczu. -Dlaczego płaczesz? To naprawdę ty? To naprawdę, na serio, na poważnie ty?

Pokręciłam głową.

- Przepraszam - wyjąkałam. - Po prostu strasznie się za tobą stęskniłam. - Uściskałam ją jeszcze raz i nie miałam ochoty puszczać. Nigdy.

- Stęskniłaś się? - Roześmiała się, zaskoczona tą nagłą powodzią uczuć. - Przez pół godziny? - Spojrzała na mnie z troską. - Kotku, naprawdę mam nadzieję, że nie rozbiera cię jakaś choroba.

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

- W tym dzisiaj idziesz? - mruknęła w moje włosy. - Uwielbiam tę sukienkę.

- O czym ty mówisz? - spytałam, nie ruszając się na krok. - Gdzie idę?

Roześmiała się.

- Rany. Naprawdę zachowujesz się jakoś dziwnie. Nie masz dzisiaj ważnej randki? Z pewnym chłopakiem?

Chłopakiem?

Mama wskazała duży zegar wiszący na ścianie w kuchni.

- Skarbie, Jacob nie przychodzi po ciebie o ósmej? Odsunęłam się. Poczułam, że blednę.

- Jaki dzisiaj dzień?

Tym razem posłała mi naprawdę dziwne spojrzenie.

- Czwarty października. - Założyła ręce na piersi. - Okej, teraz się martwię. Co się z tobą dzieje?

Popędziłam do kuchni i złapałam gazetę leżącą na blacie. Czwarty października, tak jak powiedziała. Spojrzałam jeszcze raz i gardło ścisnęło mi się z przerażenia.

Czwarty października 2010 roku.

Zeszły rok.

Nagle do mnie dotarło.

Przeżywam to jeszcze raz. Naprawdę przeżywam wieczór swojej śmierci.

Upuściłam gazetę i cofnęłam się powoli.

- Nie czuję się najlepiej.

- Właśnie widzę. - Mama podeszła do mnie i zaczęła zbierać rozsypane stronice. - Ja się tym zajmę, kotku. Może powinnaś zadzwonić do Jacoba i odwołać wyjście?

Jacob.

- On żyje? - szepnęłam. Spojrzała na mnie podejrzliwie.

- Brie, to nie jest śmieszne. Nie rób sobie takich żartów. - Wyjęła ze zmywarki czyste sztućce. - Posłuchaj, zajmę się zmywarką, ale chciałabym, żebyś posprzątała kuchnię po powrocie, okej? - Otworzyła szufladę i zaczęła odkładać sztućce na miejsce. Noże i widelce podzwaniały, kiedy wrzucała je do przegródek. - I nie zapomnij wrócić najpóźniej o jedenastej. Mówię poważnie, jeśli masz się spóźnić choćby o sekundę, musisz do nas zadzwonić.

- Ale ja nie...

- Żadnych ale - rzuciła surowo. - Kupiliśmy ci telefon właśnie po to. A nie do pisania SMS-ów do Sadie i dziewczyn na lekcjach. Proszę, zadzwoń, jeśli będziesz się spóźniać. A może inaczej. - Założyła ręce na piersi. - Nie spóźniaj się.

Jack wpadł do kuchni jak minitornado, ścigany przez galopującego Sznycla. Otworzył drzwi lodówki i wyjął na wpół opróżniony kartonik soku capri sun, który natychmiast wyrwałam mu z ręki.

- Mmm! - Siorbnęłam przez słomkę. - Oceaniczna ochłoda! Boże, ależ to dobre.

- Hej! - Jack wziął się pod boki. - Mamo!

- Brie, nie drocz się z bratem. W lodówce jest nowy kartonik, weź sobie drugi.

Oddałam napój bratu.

- Sorry. Po prostu wyglądał tak pysznie, że nie mogłam sobie darować.

Usłyszałam zgrzyt otwieranych drzwi garażu. Warkot wjeżdżającego samochodu, wyłączanego silnika. Potem kroki, otwieranie drzwi i wreszcie...

- Hej, kolego? O czym wczoraj rozmawialiśmy? -Tato wszedł do kuchni z kilkoma torbami zakupów, wciąż w swoim lekarskim kitlu. Sznycel zaczął podskakiwać.

- Hm? - mruknął Jack, wysysając resztę soczku.

- Rower?

Jack znieruchomiał na sekundę, próbując sobie przypomnieć. Nagle na jego twarzy pojawił się najbardziej uroczy uśmiech świata.

- Oj! Zapomniałem! - Popędził na dwór, żeby wprowadzić rower do garażu.

- Jak ci minął dzień, kotku? - Mama cmoknęła tatę w usta, odbierając od niego torby. -

Dzięki, że zrobiłeś zakupy. - Zaczęła grzebać w szeleszczących torbach. - Skarbie, kupiłeś mi bakłazana?

- Mhm. - Tato kiwnął głową, nie spoglądając na nią. Przeglądał dzisiejszą pocztę.

Tato.

Patrzyłam na niego twardo. Znów był przystojny jak zawsze. Krótkie włosy, ogolona twarz. Ale choć

coś we mnie aż krzyczało, żeby podbiec i uściskać go mocno - przecież był moim ojcem, nie? - to jakoś nie mogłam się przemóc.

Zamiast tego wskoczyłam na szafkę i zaczęłam bębnić piętami o drzwiczki. Na tyle głośno, że tato uniósł głowę. Kiedy spojrzał mi w oczy, uśmiechnął się. Podszedł i głośno cmoknął mnie w czoło.

- Dobry wieczór, panno Mozzarella. Odsunęłam się.

Postaraj się bardziej.

Zrobił zdziwioną i trochę urażoną minę, że tak chłodno go przyjął.

- Co się stało? - Spojrzał na mamę. - Czyżby kłopoty z chłopakami?

Och, nie waż się nawet zaczynać. Nawet nie próbuj.

Mama pokręciła głową, grzebiąc w lodówce.

- Nie bardzo wiem, kotku. Ale z całą pewnością zachowuje się dzisiaj trochę dziwnie.

Wykonałam moją najlepszą imitację zbuntowanej nastolatki.

- Wcale że nie. - Spiorunowałam tatę wzrokiem, wściekła na niego za to, co miał zrobić naszej rodzinie.

Rozległ się dzwonek.

Spojrzałam na drzwi i nagle ogarnął mnie strach. Mama ruszyła do przedpokoju. Nie.

Proszę, nie otwieraj.

- Zobaczę, kto to! - Usłyszałam, jak Jack pędzi przez salon do drzwi. - Cheddar! - wrzasnął.

- To Jaaaacob!

- Chyba nie powinnam iść - wypaliłam, czując, że zaraz zwymiotuję. - Mam, hm, za dużo zadane.

Mama i tato spojrzeli na mnie, jakby na czole wyrosło mi trzecie oko.

- Kotku, od tygodnia mówisz tylko o tej randce - powiedziała mama. - Będziesz się świetnie bawić.

Hm, niezupełnie.

Ale nagle coś we mnie wstąpiło. Moje nogi i ręce zaczęły się poruszać bez mojego udziału, jakbym zmieniła się w jakiś gadżet na pilota. Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie zeskoczyć z blatu. Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie przejść przez salon, do drzwi.

- Nie, nie, nie, nie - szeptałam. Już widziałam znajomy cień przez jasne, lniane zasłonki. Stał na werandzie. Ktoś, kogo nie spodziewałam się już nigdy więcej zobaczyć. I choć był tylko cieniem, widziałam, że się wierci. Widziałam, że jest zdenerwowany. Jakby wcale nie chciał iść na randkę.

I nie dziwiłam mu się.

Moja dłoń dotknęła gałki drzwi.

Stop.

Powoli zaczęła ją obracać.

Proszę, nie. Chcę zostać w domu.

Ale kiedy wreszcie otworzyłam drzwi - choć z całych sił walczyłam z tym uczuciem - i tak zaparło mi dech.

Jego oczy były jak ocean. Tuż przed burzą.

How to Save a Life

Do restauracji jechaliśmy w milczeniu. Cała ta jazda była tak nierealna, że dosłownie szczypałam się co chwilę, żeby uwierzyć, że dzieje się naprawdę.

Jestem w jego samochodzie.

Szczip.

Naprawdę w jego samochodzie. Szczip.

On jest tutaj. I ja jestem. I jesteśmy razem w jego samochodzie.

Szczypszczypszczyp.

- Au! - krzyknęłam. To ostatnie szczyknięcie to była lekka przesada.

Jacob spojrział na mnie dziwnie.

- Dobrze się czujesz? Nerwowo kiwnęłam głową.

- Mhm. Absolutnie w porządku.

* *Jak ocalić życie.*

Nie licząc drobnego faktu, że było to absolutne kłamstwo. Dłonie miałam spocone, serce mi łomotało, tupałam nogami i... jestem pewna, że nawet drgała mi powieka.

- Na pewno? Jesteś jakaś dziwna. - Odchrząknął i zerknął na mnie. Przez całą drogę do Pasta Moon zerkał na mnie z ukosa.

Próbowałam się uspokoić. Wiedziałam, co się święci, i byłam przerażona.

Moja szansa. Moja jedyna szansa. A jeśli powiem coś nie tak? A jeśli on nie zechce mnie słuchać?

Obserwowałam go uważnie, zauważając szczegóły, których nie zauważyłam za pierwszym razem. Na przykład to, że cały czas nerwowo odchrząkiwał. Że bawił się radiem. Że ledwie na mnie patrzył. W końcu zajechaliśmy na parking, znaleźliśmy miejsce i poszliśmy do restauracji. Nie trzymał mnie za rękę.

Hostessa zaprowadziła nas do stolika. Zajęłam to samo miejsce co zwykle, w samym kącie sali, skąd miałam widok na całą restaurację. Zmówiliśmy napoje i przystawki - smażone kalmary i pałeczki z mozzarelli - ale byłam tak zdenerwowana, że ledwie zdołałam cokolwiek przełknąć.

Nie ja jedna.

Jacob był roztrzęsiony jak nigdy. Upaprał się, oblewając sobie koszulę octem balsamicznym, a więcej sosu marina trafiło na stół niż do jego ust. Kiedy wreszcie podano nam główne dania, patrzyłam, jak przepycha

swoje linguini z krewetkami po talerzu przez dobre dziesięć minut, zanim wreszcie się odezwał.

- Brie? Zaczyna się.

- Tak?

- Muszę ci coś powiedzieć. Patrzyłam na niego bez słowa.

Głos mu drżał i widziałam narastający strach w jego oczach. Patrzyłam na tę scenę drugi raz i było dla mnie oczywiste, że boi się mnie zranić.

Ale teraz dostrzegłam coś więcej - drugie oblicze tego lęku, którego nie zauważyłam za pierwszym razem.

Patrząc, jak nerwowo kręci na talerzu makaron, zastanawiałam się, czy Sadie знаła już jego tajemnicę, którą zamierzał wyjawić mi przy'kolacji.

Coś mi mówiło, że odpowiedź brzmi: tak.

I szczerze mówiąc, to było najbardziej bolesne. Ta świadomość, że Jacob, jeden z moich najlepszych przyjaciół, nie mógł mi się zwierzyć.

Bo moje głupie serce przeszkodziło mu, zanim zdołał to z siebie wydusić.

Ale nie tym razem. Dziś nie chodziło o mnie. Chodziło o niego.

I tym razem zamierzałam go wysłuchać.

Nie miałam pojęcia, czy cokolwiek, co powiem albo zrobię, zdoła odmienić przyszłość albo przeszłość. Larkin nie potrafiła zmienić swojej historii na lepsze. I najwyraźniej Patrick też nie.

Ale i tak musiałam spróbować.

Sięgnęłam przez stół i położyłam dłoń na jego dłoni.

- O co chodzi? - spytałam cicho. - Co się z tobą dzieje?

Spojrzał na mnie. Jego dłoń była zimna i lepka. Niemal widziałam jego słowa, wiszące między nami jak dym.

- Hm? - spytał. - Co masz na myśli?

Patrzyłam w jego oczy, usiłując się skupić. Chciałam mu przekazać spojrzeniem, że wszystko będzie dobrze. Że jest bezpieczny.

Spokojnie. Możesz mi powiedzieć. Milczał długą chwilę. Był coraz czerwieńszy i czułam, że ręce zaczynają mu drżeć.

- Brie?

- Jacob?

To już. Zaraz to usłyszę.

- Nie kocham cię.

Zamknęłam oczy, pozwalając, by te słowa po mnie spływały. Były bolesne, ale nie w taki sposób, jak to zapamiętałam. Tym razem był to raczej słodko-gorzki ból, a nie miażdżący cios.

Rozluźniłam się, kiedy dotarło do mnie, że świat się nie zawalił.

Otworzyłam oczy.

- To znaczy - poprawił się - kocham cię. Bardzo, bardzo cię kocham. Tylko... tylko nie tak, jak myślisz. - Wbił wzrok w talerz. - Chodzi mi chyba o to, że nie jestem w tobie zakochany.

Wzięłam głęboki oddech i zrobiłam, co w mojej mocy, żeby dobrać właściwe słowa. Takie, jakie powinnam była wypowiedzieć za pierwszym razem.

- Wiem, Jacob. W porządku. Ja też nie jestem w tobie zakochana.

Szeroko otworzył oczy. Był osłupiały.

- Co?

- Właśnie to. To, co sam powiedziałaś. Ja też nie jestem w tobie zakochana.

- Nie rozumiem. - Patrzył na mnie, jakbym nagle zaczęła mówić po japońsku. - Jest ktoś inny?

- Tak - potwierdziłam, nie potrafiąc ukryć uśmiechu. - Jest.

Przez minutę nie patrzył na mnie.

- Hej? - Pochyliłam się bliżej. - Wszystko dobrze? - Delikatnie uniosłam jego podbródek.

Nasze spojrzenia się spotkały i zobaczyłam, że Jacob jest na granicy łez.

- Przepraszam - powiedział. - Wszystko zepsułem.

- Nie. - Pokręciłam głową. - Nie zepsułeś.

- Jestem okropny.

- Nie jesteś.

- Nie rozumiesz.

- Rozumiem. - Uścisnęłam jego dłoń. - Możesz mi powiedzieć wszystko. Jestem twoją przyjaciółką. I zawsze nią będę.

Pociągnął nosem i wytarł twarz serwetką.

- Nie wiem, jak to powiedzieć.

- Powiedz to tak, jak chcesz.

Spuścił głowę i przez chwilę wpatrywał się we własne buty, zbierając się na odwagę.

- Myślę... myślę, że chyba jestem gejem. Wtedy zrobiłam coś, co powinnam była zrobić dawno temu.

Odsunęłam swoje krzesło. Przeszłam na jego stronę stołu, usiadłam obok niego i objęłam go.

- Bardzo się cieszę, że mi powiedziałeś. Pokręcił kilka razy głową, jakby mi nie wierzył. Albo jakby nie zrozumiał.

- Cieszysz się? Naprawdę? Skinęłam potakująco.

- Naprawdę.

- To znaczy... nie jesteś na mnie wściekła?

- No... - Postarałam się przybrać zirytowany ton. - Może trochę.

Zrobił zaniepokojoną minę.

- Och. - Poruszył się niespokojnie na krześle. - To chyba logiczne. Pójdę...

Chwyciłam go za łokieć i uśmiechnęłam się.

- No bo, jak mogłeś! Zjadłeś cały swój makaron i nie dałeś mi spróbować ani odrobiny.

Skołowany popatrzył na swój pusty talerz. Wreszcie się roześmiał.

- Okej, wkręciłaś mnie. Niezłe. Zachichotałam.

- Postawisz mi potem frosty i będziemy kwita. Jego niebieskie oczy spojrzały w moje i zobaczyłam, jaki jest wdzięczny. I jak mu ulżyło.

- Dzięki, Brie. - Pochylił się do mnie, pocałował mnie w policzek i klapnął z powrotem na krzesło z potężnym westchnieniem ulgi. - Tak strasznie bałem się ci o tym powiedzieć. Byłem pewny, że więcej się do mnie nie odezwiesz. Że mnie znenawidzisz.

Pokręciłam głową.

- Niemożliwe.

Uśmiechnął się i wziął mnie za rękę.

- Naprawdę jesteś najlepszą dziewczyną na świecie.

- Nie - odparłam cicho, bo do mojej głowy zakradło się wspomnienie Patricka. - Nie jestem.

Nagły ból przeszył mi pierś i padłam do tyłu na oparcie krzesła.

Zaraz. Nie. Co się dzieje? To nie powinno się stać.

Czułam, jak moje serce rozpędza się bez opamiętania.

Przecież wszystko naprawiłam. Tym razem zrobiłam wszystko inaczej!

- Brie? - zaniepokoił się Jacob. - Co się dzieje? Dobrze się czujesz?

Nagle, bez ostrzeżenia, ból stał się tak silny, że ledwie mogłam mówić. Wzrok mi się zamazał, restauracja zaczęła przybierać barwę mdlącej czerni. Dziwne głosy rozlegały się echem dookoła mnie - jak na plaży na Wyspie Anioła - i czułam jego ręce na barkach, kiedy próbował przywołać mnie z powrotem.

- Brie! - krzyczał Jacob. - Powiedz mi, co mam robić. Do diabła, co mam robić?!

- Bądź sobą - szepnęłam, jeszcze raz ściskając jego dłoń. - Po prostu bądź sobą. - Kolejna przeszywająca szpila bólu rozdarła moje ciało i przed oczami błysnęła mi twarz Patricka.

Me wiesz, że cię kocham? Nie wiesz, że zawsze cię kochałem?

W tej sekundzie świat zamilkł. Otworzyłam oczy. Restauracja zniknęła.

Stałam na porośniętej bujną trawą łące na skraju autostrady, z widokiem na wietrzny, rozmigotany ocean. Słońce było w zenicie i grzało mi barki, a niebo miało tak błękitny odcień, jakiego nigdy nie widziałam - tylko dwie czy trzy chmurki, jak kulki waty, unosiły się nad horyzontem.

Idealny letni dzień.

Co to ma być?

Wróciłam do swojego kawałka nieba? Najwidoczniej. Tak piękne dni nie zdarzają się w prawdziwym życiu.

- Aniołku? - usłyszałam za plecami męski głos. - Twój rydwan czeka.

Odwróciłam się powoli i zobaczyłam chłopaka na poharatanym, zajeżdżonym motorze. Rozpoznałam krótkie kasztanowe włosy. Znoszoną, szarą koszulkę. Miękką, wyblakłą skórzaną kurtkę.

- *Hiiiighwaaay to the dangerzone*- zaśpiewał Patrick i zaczął udawać elektryczną gitarę. Potem spróbował przegazować silnik, ale z tłumika buchnęła chmura

czarnego dymu, przesłaniając go. - Cholera - zakaszłał, rozganiając dym. - Tego nie miało być. Wybuchnęłam śmiechem.

- Chyba nie myślisz, że wsiadę na tego potwora. Bo z całą pewnością nie wsiadę!

- Oj, no chodź, kwiatku. Tylko kawałek autostradą. Spodoba ci się.

Kwiatku.

Nagle zrozumiałam. Lily. Lilia. Uśmiechnął się, aż koło jego oczu pokazały się kurze łapki. Och, ten uśmiech. Zaczęłam mięknąć.

- Nie - powiedziałam. - W życiu. Odmawiam jazdy na tej śmiercionośnej maszynie.

- No chodź - powtórzył, dostrzegając swoją szansę. - Jedna przejażdżka i postawię ci mleczny koktajl.

- No co ty, myślisz, że mnie przekupisz? - Pokręciłam głową. - Nic z tego.

- Tak po zastanowieniu - oczy błysnęły mu wesoło - postawię ci frosty.

Nie wytrzymałam dłużej. Co za manipulant.

Podbiegłam i zarzuciłam mu ręce na szyję. Po chwili odsunęłam się i spojrzałam mu prosto w oczy - dzisiaj bardziej zielone niż brązowe - i cmoknęłam go w nos.

- Och, no dobrze. Przejadę się z tobą. Raz. Ale na tym koniec!

Rozpromienił się.

- Nie pożałujesz, aniołku. - Podał mi mały czarny kask. Wskoczyłam na siodełko i objęłam go w pasie tak mocno, jak umiałam.

- Tylko jedź powoli, Patricku Darling. Bo zobaczysz.
- Co zobaczę? - zażartował. Odpowiedziałam mu żartem.
- Mnie z nowym chłopakiem.

Odwrócił się i spojrzał na mnie przez ramię, posyłając mi najcudowniejszy uśmiech świata.

- Wybacz, aniołku, ale nie wykręcisz mi się tak łatwo. - Zapalił silnik; poczułam, jak motocykl ożywa pode mną i rusza z kopyta.

- Powoli! - wrzasnęłam i palnęłam go w ramię. -Ja nie żartuję!

Ale już po chwili, kiedy zaczęliśmy nabierać prędkości, rozluźniłam się. Czułam, jak puszczają spięte mięśnie barków i pozwoliłam sobie zamknąć oczy. Wyobrażałam sobie, że latamy. Słońce i oceaniczne powietrze działały upajająco. Pochyliłam się do przodu i pocałowałam Patricka między łopatkami. Czułam się jak najszczęśliwsza dziewczyna na całym świecie.

Bo w tej chwili nią byłam.

Dostałam to, co najlepsze z obu światów. Wróciłam i naprawiłam wszystko w jednym życiu, żeby Jacob był bezpieczny. A teraz miałam być dziewczyną, którą się urodziłam, i obejmowałam chłopaka, który był moją miłością.

Ale nagle coś przyszło mi do głowy.

To słońce. To powietrze. Ta droga nad oceanem ciągnąca się kilometrami. Odgłosy burzy nadciągającej od północy.

Chwileczkę. Otworzyłam oczy.

Błagam, nie, tylko nie burzowe chmury. Ale były tam. Cichaczem prześliznęły się przez góry, groźne i szare, i czaiły się na nas jak potwory. Zupełnie jak w moim koszmarze. Nie. Proszę, Boże, nie.

Prawda zgmiotła mnie jak tona stali. Byłam głupia, sądząc, że przeżyję na nowo jedną śmierć, a druga mnie ominie.

Przecież żyłam dwa razy.

- Patrick! - zawołałam, przekrzykując wiatr. -Zawróć! Musimy wracać!

- Co? - odkrzyknął. - Nie słyszę cię! - Odwrócił się do mnie na ułamek sekundy, próbując zrozumieć, co mówię.

Niestety ten ułamek sekundy wystarczył.

Usłyszałam ryk klaksonu i pisk opon, a w następnej chwili zobaczyłam ciężarówkę pędzącą na nas przez środkową linię. Krew ścięła mi się w żyłach, kiedy patrzyłam, jak świat zawała nam się na głowy w zwolnionym tempie. Burza szkła, żaru i płonącego metalu. Wyrwało spode mnie motor.

A potem leciałam, z nosem pełnym smrodu płonącej benzyny, moich płonących włosów, naszych płonących marzeń.

- Aniołku! - usłyszałam Patricka, wołającego do mnie z bardzo oddali. - Gdzie jesteś?

Proszę cię, nie odchodź.

Kiedy palący żar wlewał mi się do ust, do gardła -kiedy przygotowywałam się na koniec -
moje myśli wróciły do listy słów Patricka.

Do tego, które zapisał na końcu.

Akceptacja

Zobaczyłam nóż Larkin, błyskający w świetle księżyca centymetry od mojej skóry.

- ... z prochu powstałeś... Błagam.

- ... i w proch się obrócisz... Nie, proszę, przestańcie.

- ... niech spoczywa w spokoju... Zobaczyłam błyskawicę uderzającą w jedyne, co
mi pozostało. Moje serce. Moją duszę.

Poczułam przenikającą mnie znajomą ścianę ognia i krzyknęłam, błagając o koniec -
błagając, żeby ktoś to zatrzymał, żeby to się już skończyło.

Nagle, gdzieś bardzo daleko, zaczęła piskliwie zawodzić syrena. Coraz głośniejsze i głośniejsze,
i głośniejsze, aż stała się tak przeszywająca, że rozsadzała mi bębenki.

Aż poczułam czyjeś ręce, obejmujące mnie. Łódź ratunkową, przyslaną, by ocaliła mnie
od tego palącego, morderczego żaru.

Ciepłe, bezpieczne, znajome ręce.

Jeszcze raz otworzyłam oczy.

Tata.

Płakał.

- Wszystko będzie dobrze, mała. Wyjdiesz z tego.

Słyszałam wycie karetki, kiedy pędziliśmy ulicami San Francisco. Widziałam strach w oczach taty, słyszałam nagłą ton kierowcy, który przez radio zawiadamiał szpital, że jesteśmy w drodze.

- Dziewczyna. Lat piętnaście. Ostra niewydolność serca.

- Tato?

- Jestem tu, Brie. Nigdzie nie idę.

Tak długo byłam na niego wściekła. Potwornie wściekła. Świadomość, że wybrał nową rodzinę zamiast nas, wciąż na nowo łamała mi serce. Pękało na myśl o mamie, tacie, Jacku, Sznyclu i mnie; na myśl o wszystkim, czym byliśmy i czym mieliśmy być.

Ale kiedy patrzyłam na niego w karetce, zrozumiałam trochę lepiej, dlaczego zrobił to, co zrobił. Wciąż mi się to nie podobało - wciąż się z tym nie zgadzałam - ale dzięki Larkin nareszcie zrozumiałam.

Czasami pamięć za bardzo boli.

Widząc tatę w tej chwili - widząc, jak bardzo był przejęty i jak bardzo mnie kochał, mimo błędów, jakie popełnił - nie mogłam mu nie wybaczyć. Nie mogłam nie wybaczyć, że nie jest doskonały.

Bo kto jest, tak naprawdę? Uznałam, że jeśli ja zasługiwałam na drugą szansę, to on też.

Uścisnęłam jego dłoń najmocniej, jak potrafiłam. Poczułam, jak ostatnia łza płynie mi po policzku i trafia do rowka nad obojczykiem. Kiedy pikanie elektrokardiografu zaczęło słabnąć, spojrzałam w oczy ojca

i ośmieliłam się wypowiedzieć jedno, ostatnie życzenie. Wiedziałam, że to pewnie i tak niczego nie zmieni.

Ale mogłam mieć nadzieję.

- Opiekujcie się sobą.

I umarłam.

CZESC 6

AKCEPTACJA

All You Need is Love

Szłam przez ciemność, przez mgłę i deszcz, przez rozgwieżdżone niebo, aż dotarłam do domu. Magellan Avenue 11.

Na koniec naszego podjazdu. Miałam do załatwienia jeszcze jedną sprawę.

Powoli zaczęłam długi marsz pod górkę, w stronę domu. Minęłam żółte i białe begonie obrzeżające dróżkę. Minęłam żywopłot, w którym tato pokazał nam kiedyś gniazdo sójek. Minęłam dąb, na którym Jacob wyciął swoim szwajcarskim scyzorykiem nasze inicjały.

JF + BE = V

I nagle, jeden po drugim, w drobnych rozbłyskach światła, wszystkie duchy przeszłości wyszły się pobawić.

Zobaczyłam Jacka jadącego na trójkołowym rowerku, który dziadkowie kupili mu na urodziny. Siebie, trzynastoletnią, ćwiczącą hamowanie z obrotem

** Potrzebujesz tylko miłości.*

na rolkach. Emmę, Tess i Sadie w niekończącym się pojedynku, kto dłużej zakreśli hula-hoop. Tatę myjącego samochód i podstępnie spryskującego mamę wężem, kiedy wyszła po pocztę. Ich oboje, przemoczonych. Roześmianych. Szczęśliwych. Oślepiający blask letniego słońca, wyzierającego zza północno-kalifornijskich chmur. Sznycla przebiegającego pod zraszaczem, szczekającego i kłapiącego na strumieniu wody. Słyszałam to wszystko, widziałam to wszystko i czułam to wszystko - wszystkie te wspomnienia wirujące i migoczące wokół mnie.

Moje wczoraj, moje teraz, moje zawsze i na wieki.

Odwróciłam się i zobaczyłam Patricka przyglądającego się mi ze skraju trawnika. Kiedy ruszył w moją stronę, mój żołądek zrobił potrójne salto.

- Jak? - spytałam drżącym głosem. - Jak się tu znalazłeś?

- Powiedzmy, że Pani Krzyżówka była mi winna dużą przysługę po latach pomocy przy krzyżówkach. - Spojrzał na mnie podejrzliwie. - Chociaż... wspomniała coś, żebym zawsze używał ołówka. Cokolwiek to znaczy.

Nie mogłam uwierzyć w to, co mówi Patrick. Czy nareszcie był wolny? Naprawdę wolny?

- Rozgrzeszyła cię ze sprzedaży duszy, czy jak? - spytałam bez tchu. - Ona w ogóle ma taką moc?

- Nie. - Machnął ręką. - Żartowałem tylko. Pani Krzyżówka nic nie zrobiła. - Umilkł na moment. - Ty zrobiłaś.

Poczułam, że moje policzki przybierają odcień ultrafioletu i szybko spojrzałam na własne stopy. Patrick delikatnie uniósł moją twarz. Nasze spojrzenia się spotkały.

- Cóż, chyba od czasu do czasu wszechświat potrafi rozpoznać, że dzieje się coś dobrego - powiedział z uśmiechem. - Chyba że nasze pokręcone karmy wyzerowały się nawzajem. Roześmiałam się.

- Minus z minusem daje plus.

- No więc mamy plus! - Uniósł ręce w górę, wiwatując. - Oto wspaniała opowieść dla wnucząt.

- Myślałam, że nie przekraczamy pewnych granic? - zażartowałam.

- Hm. - Przyciągnął mnie do siebie. - Może niech to będzie opowieść dozwolona od lat piętnastu.

Pocałował mnie.

I wow. Po prostu wow.

Okej, tak. Z pewnością będę chciała zobaczyć powtórkę. Tak, tak, tak.

Me ma sprawy, powiedział Patrick w mojej głowie. Pochylił się, żeby pocałować mnie jeszcze raz.

- Hej! - Uchyliłam się w ostatniej sekundzie. - Żadnego szpiegowania przy pocałunkach!

- Nie ma mowy, kwiatku - odparł. - Twoje myśli są zbyt interesujące. - Znów się pochylił i tym razem nie uciekłam. Tak chciał los.

Po dłuugiej serii powtórek odwróciliśmy się wreszcie oboje, żeby popatrzeć na moje wspomnienia.

Wiedziałam, że on też je widzi. I wiedziałam, że rozumie.

Skinał głową, żebym poszła się pożegnać.

- Nie spiesz się. Poczekam na ciebie tak długo, jak będzie trzeba.

- Nie - powiedziałam. - Chodź ze mną.

Pomału weszliśmy po schodkach werandy i zatrzymaliśmy się pod drzwiami. To było dziwne. Tak długo miałam zakaz wstępu, że nie wiedziałam, czego się spodziewać.

Odetchnęłam głęboko i powoli wyciągnęłam rękę.

Tym razem metalowa gałka obróciła się przy pierwszej próbie.

W domu panowała cisza. Był wczesny ranek.

Przeszliśmy przez salon i wspięliśmy się na piętro; zobaczyłam, że drzwi sypialni rodziców są uchylone. Zajrzałam ostrożnie i natychmiast zauważyłam trzy pary stóp (no, cztery, jeśli liczyć łapy Sznycla) wystające spod kremowej kołdry, pod którą wślizgiwałam się milion razy.

Ale dopiero kiedy przekonałam się, czyje to stopy, łzy stanęły mi w oczach.

Mama.

Jack.

I tato.

- Jest tutaj - szepnęłam. - Jest tu, gdzie powinien być. Moje życzenie się spełniło. Jednak coś działo się. Schyliłam się i pocałowałam go w policzek, a potem przeszłam na stronę mamy.

Och, mamó.

Wyglądała tak pięknie, i po raz milionowy zasnęła w okularach. Skoncentrowałam energię i zdjęłam je pomalutku, uważając, żeby nie wydać żadnego dźwięku. Poruszyła się, kiedy złożyłam je i umieściłam na nocnej szafce, ale nie przestała obejmować Jacka, który spał zwinięty obok niej w pizamie z Batmanem - tej, którą dałam mu pod choinkę w moje ostatnie święta. Już prawie z niej wyrósł, ręce i nogi sterczały mu z rękawów i nogawek. Trochę przypominał mi Alicję, kiedy ugryzła dziwny grzyb.

Nic nie mogłam na to poradzić: czułam ulgę na myśl, że mój brat może jednak o mnie nie zapomni. Nawet kiedy będzie już dorosły, kiedy będzie już mieszkał gdzieś indziej z własną rodziną, zostanie mu wspomnienie tej pizamy. (Ale na wszelki wypadek zapisałam sobie w pamięci, żeby zorganizować anonimową paczkę, która pojawi się w domu w okolicy Bożego Narodzenia).

Wyciągnęłam rękę i połaskotałam Sznycla w przednią łapę.

- Dobry piesek. - Uszy mu zadrżały; przekręcił się na swój plamisty brzuch, chrapiąc w najlepsze. Miałam nadzieję, że śni o mnie.

Kiedy patrzyłam, jak jego żebra unoszą się i miarowo opadają, ogarnął mnie spokój. Może zmiana nie była wielka, ale jakimś cudem pomogłam na nowo napisać historię mojej rodziny. Mnie wciąż nie było, ale tato znalazł inny sposób na poradzenie sobie

z żalobą. Sposób, który nie wymagał udziału innej kobiety.

Wiedziałam, że wszystko będzie dobrze. Że nasza rodzina sobie poradzi.

- Masz. - Patrick dał mi mój wisiołek, tak samo błyszczący jak pierwszego dnia, kiedy go kupiłam, mimo wszystkiego, co przeszedł. - Może im go zostawisz?

Nic nie rozumiałam. Przecież poświęciłam wisiołek, żeby Patrick był wolny, żeby wreszcie mógł ruszyć dalej. Jak mógł mi go oddawać?

- Ale on jest twój - powiedziałam. - Dałam go tobie.

- Nie potrzebuję go. - Położył dłoń na moim sercu. - Teraz mam oryginał. To o wiele lepsze.

Zaczerwieniłam się po raz osiemdziesiąty i przesunęłam palcami po złotym serduszku.

Idealnie ciepłym. Idealnie gładkim. Ucałowałam je delikatnie i położyłam na mahoniowej komodzie rodziców, obok portretowego zdjęcia naszej rodziny.

Czułam, że będą wiedzieli, że to ode mnie.

Zanim odwróciłam się, żeby odejść, coś jeszcze przyciągnęło mój wzrok. Czarno-białe zdjęcie w ramce, którego nie widziałam nigdy wcześniej.

Schyliłam się, żeby się przyjrzeć.

Chwileczkę. To niemożliwe. Prawda?

Zza szkiełka uśmiechały się do mnie Emma, Sadie i Tess - wystrojone i radosne, oświetlone mnóstwem dyskotekowych świateł. Nad nimi wisiał ręcznie malowany banner (udekorowany milionem różnych gatunków sera), rozciągający się przez całą aulę.

BAL MATURALNY 2011, JEDENASTEJ I DWUNASTEJ KLASY LPC, PAMIĘCI BRIE EAGAN (KOCHAMY CIĘ, BRIE!!!!!!)

- O Boże. - Obróciłam się do Patricka i wepchnęłam mu zdjęcie w dłoń. - Zdaje się... zdaje się, że moje kumpele urządziły mi bal maturalny z serowym motywem przewodnim.

- Spojrzeliśmy sobie w oczy i po kilku sekundach wybuchnęliśmy histerycznym śmiechem. To bez wątpienia najbardziej idiotyczna, a zarazem najwspanialsza impreza, jaką ktokolwiek urządził na moją cześć.

Patrick w końcu złapał oddech i wskazał zdjęcie.

- A to co za wesolek?

- Kto? - spytałam, wciąż chichocząc. - Jaki wesolek? - Pochyliłam się, żeby spojrzeć jeszcze raz, po czym wyrwałam mu ramkę z rąk.

- Nie gadaj. - Uszczypnęłam się dwa razy, żeby sprawdzić, czy nie śpię, śliniąc się, w moim starym boksie w Kawałku. Ale nie, uszczypnięcia bolały. Z całą pewnością nie spałam. Z całą pewnością wciąż byłam w sypialni rodziców i z całą pewnością gapiłam się na najcudowniejsze zdjęcie wszech czasów.

A powód, dla którego było tak cudowne?

Bo tuż za moimi przyjaciółkami, z wyciągniętymi rękami i z uśmiechem sportretowanym po wsze czasy, stał Jacob.

Byłam totalnie ogłuszona. Jakim cudem od razu go nie zauważyłam?

Z powodu smokingu, zrozumiałam. Jest w smokingu.

W oczach stanęły mi łzy szczęścia.

- Jaki mamy dzień? Jaki miesiąc?!

Patrick zerknął na iPad taty, nastawiony na budzik, na nocnej szafce po drugiej stronie łóżka.

- Czerwiec. Dwunasty czerwca.

Dwunasty czerwca. Dwunasty czerwca. Dwunasty czerwca!

Jeszcze raz spojrzałam na zdjęcie, by się upewnić, że nie mam halucynacji.

- To on - szepnęłam. - To naprawdę on.

Moja pierwsza miłość, mój pierwszy chłopak się uśmiechał. Był szczęśliwy. A co najważniejsze był żywy. To zdjęcie wystarczyło mi za dowód. Bal maturalny odbył się jak zwykle. A Jacob go dożył.

Dożył go.

Zarzuciłam Patrickowi ręce na szyję, wdychając zapach miękkiej skórzanej kurtki.

Czułam, że na świecie wreszcie wszystko jest w porządku.

W moim dziwacznym, doskonałym świecie.

Patrick pocałował mnie w czoło.

- *Ecce potestas casei*. Oto potęga sera.

Staliśmy tam jeszcze chwilę, patrząc, jak moja rodzina śpi, ale w końcu wyszliśmy na korytarz i po cichutku zamknęliśmy za sobą drzwi. Minełam łazienkę i schowek na pościel, i pokój Jacka. Zostało jeszcze jedno pomieszczenie. Pojedyncze drzwi czekające cierpliwie na samym końcu korytarza.

Zamknięte do odwołania. Uwaga, roboty budowlane. Nikogo nie ma w domu. Ale ja już jestem w domu.

Otworzyłam drzwi mojego pokoju i przywitał mnie podmuch lodowatego powietrza. Różowy jak płatki kwiatów dywan zachrząścił lekko pod moimi stopami, kiedy weszłam do środka. Mój pokój. Moje łóżko. Moje okna i regał, i całe rzędy książek, i kołdra, pod którą sypiałam co noc od dziecka, z jedną nogą pod spodem, jedną na wierzchu. Mój dziecięcy kocyk, żółty i pełen małych, białych kulek z kudełków, które kręciłam w palcach, zasypiając.

Pokój był ciemny, zakurzony i upiornie cichy. Jak uśpiony, zatrzaśnięty grobowiec, pełny złych snów, złamanych serc i smutnych wspomnień. Wyglądało na to, że nikt nie ośmielił się tu wejść, od kiedy umarłam. Podeszłam do ławy pod oknem, kiedyś przytulnej i pełnej poduszek, na której grywaliśmy z Jackiem w czwórki. Poduszki były ułożone w stos w jednym końcu. Zasłony zaciągnięte. Okna zabezpieczone zamkami.

Pootwierałam zamki.

Odsunęłam zasłony i zaczęłam mocować się z oknami, próbując unieść je do góry. Zacięły się od rdzy, więc pchałam, szarpałam i ciągnęłam, aż wreszcie usłyszałam, że jedna z ram zaczyna skrzypieć.

No dalej, no dalej.

Poczułam, że ustępuje odrobinę.

Otwieraj się, otwieraj.

Na moim czole pojawiły się kropelki potu.

No już. Już.

Usłyszałam nagle trzaśnięcie; krzyknęłam, kiedy okno podjechało do góry i ciepły poranny wiatr wlał się do pokoju - mocny, żywy - pełen kolorów, muzyki, energii, śmiechu i przebaczenia.

Ściany pokoju zaskrzypiały i zajęczały, sufit zadrżał, jakby miał się zawalić. Dom zrobił wdech, wydech, i znów wdech, kiedy świeże powietrze na nowo tchnęło życie, ciepło i miłość w jego szkielet. A potem zaczęło bić jego serce. Pulsujący rytm. Pamięć. Przebudzenie.

Klapnęłam na dywan, odetchnęłam głęboko. Zamknęłam oczy, starając się zatrzymać w sobie moją historię. Zapamiętywałam dźwięk wietrznych dzwonek, które tato wiele lat temu powiesił za moimi oknami. Chłód i szorstkość dywanu pod plecami. Ledwie wyczuwalny zapach jabłek. Mama zawsze mówiła, że w moim pokoju pachnie jabłkami. Nagle poczułam, że łaskocze mnie migotliwy promień światła. Otworzyłam oczy i zauważyłam małą plamkę słońca tańczącą na najdalszej ścianie. Światło odbijało się od złoczonej ramki wiszącej nad toaletką. Za szkłem była kartka, a na kartce wiersz, który dziadek napisał dla mnie na ostatnie urodziny. Piętnaste.

Wstałam i podeszłam do toaletki. Krawędzie ramki były złotawe, lekko zardzewiałe, znajome. Widziałam swoje odbicie w błyszczącym szkłe. Widziałam swoje długie, ciemne włosy. Ciepłe, różowe policzki. Zielone oczy. Trochę starsze. Trochę mądrzejsze.

Wyciągnę-

łam rękę i lekko dotknęłam szkła, obwiodłam palcami swoją sylwetkę.

Byłam piękna, tak jak powtarzała mi to mama. Szkoda, że jej nie wierzyłam. I szkoda, że nie mogłam jeszcze raz powiedzieć im wszystkim, ile dla mnie znaczyli. I ile będą zawsze znaczyć. Ale przede wszystkim żałowałam, że nie rozumiałam za życia, jaką jestem szczęściarą, że ich mam.

Że żyłam. Że kochałam. Że byłam kochana.

Czego więcej może pragnąć dziewczyna?

- Aniołku - usłyszałam szept Patricka.

Zrozumiałam, że już pora.

Wreszcie byłam gotowa.

W mojej piersi wezbrało uczucie - nie ten drący, przeszywający ból, który czułam, umierając, ale przyjemne ciepło; ciepło i światło przepływające przeze mnie, wymazujące bliznę, która została po moim pękniętym sercu. Po łzach i przekonaniu, że zostałam zdradzona. Teraz już wiedziałam, że Sadie i Jacob nigdy nie chcieli przysporzyć mi bólu. Padłam na kolana, a pokój wokół mnie zaczął giąć się, wypaczać, wyrywać z otchłani smutku. Wirujący tunel powietrza uniósł mnie łagodnie. Spojrzałam w dół, na swoje ciało. Zaczynałam znikać.

Głos Patricka załśnił obok mnie.

Złap mnie za rękę.

Złapałam.

A potem, w tej ostatniej chwili na ziemi, moje spojrzenie padło na ostatnie wersy wiersza dziadka -

zawsze były wyjątkowe, ale tak naprawdę zrozumiałam je dopiero teraz.
I choć znałam je na pamięć, przeczytałam je na głos.

W szczęściu czy rozpaczy w smutku

czy radości w zabawie czy w bólu:

Rób to, co słuszne, a znajdziesz spokój.

Nie ma większego daru niż on,

z wyjątkiem miłości.

Obyś zawsze zaznawała miłości...